PISMA

KAROLA DRZEWIECKIEGO

ZEBRANE I WYDANE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

POZNAŃ.
NAKŁADEM J. K. ŻUPAŃSKIEGO.
1880.

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

SPIS RZECZY.

RESTAURACYA.

KROTOCHWILA W JEDNYM AKCIE.

UCZNIOM

LYCEUM WOŁYŃSKIEGO

A

SWOIM SZKOLNYM KOLEGOM

TĘ PEDAGOGICZNĄ KROTOCHWILĘ

POŚWIĘCA

AUTOR.

OSOBY.

PAN PODKOMORZYC.
PANI PODKOMORZYCOWA.
KANAFALSKI, służący, faworyt pana.
MACIEJOWA, klucznica, faworyta pani.
LEWANDOWSKI, guwerner.
JÓZIO, synek państwa Podkomorzycostwa.
MICHAŁEK, sierota.
PUŁKOWNIK, brat pani Podkomorzycowej.
SŁUŻĄCY.

Scena I. — Pokój.

(PODKOMORZYC *w szlafroku pije kawę i lulkę pali* — KANAFALSKI *stoi, ręce w tył założywszy* — *wchodzą później* PANI PODKOMORZYCOWA — MACIEJOWA.)

PODKOMORZYC.

A folwarczne — dobrze wyglądają?

KANAFALSKI.

At — zwyczajnie chudoba w robocie.

PODKOMORZYC.

A — twoja to rekomendacya kochanku — ja mówiłem, że ten Telembecki niedbajło.

KANAFALSKI (*na stronie*).

A ha, niedbajło, dopiero trzy lat tu służy, a już ma 2,000 rubli na procencie. (*Głośno.*) Gdzie tam panie niedbajło, to on sławny z tego, jak koło chudoby chodzi.

PODKOMORZYC.

A cóż mówisz? — Kochanku, śmietanka nie dobra?

KANAFALSKI.

To panie mówię, że chudoba w robocie — a okrągła jak ogórki.

PODKOMORZYC.

U mnie tak zawsze chudoba w robocie, a kropla się nie utrzyma — u mnie tak zawsze. Widzisz, bydlę pracuje dla człowieka — a człowiek... pracuje dla bydlęcia — u mnie zawsze pierwsza rzecz chudoba.

KANAFALSKI.

To też i gospodarstwo idzie.

PODKOMORZYC.

A, prawda — już to i to robi, że sam we wszystko wzieram — a pszenica — jak tam wygląda?

KANAFALSKI.

Ot — powiem panu — nie bardzo.

PODKOMORZYC.

A widzisz — a mówiłem — otóż to twoja rekomendacya, kochanku.

KANAFALSKI.

Z jesieni tak ślicznie zieleniało.

PODKOMORZYC.

Ja z jesieni nie widziałem — ale jakem — tak — miesiąc temu, jechał do pani Marszałkowej na św. Wojciech, to powiem ci, nie było się czem chwalić. A ty kochanku mówiłeś, błyszczy, błyszczy, otóż masz błyszczy.

KANAFALSKI (*na stronie*).

Jak ma być na wiosnę, kiedy pośladem posieli. (*Głośno.*) To powiem panu, te przeklęte wiatry marcowe tak wysmalili.

PODKOMORZYC.

Co to kochanku mówisz — wiatry marcowe, zapomniałeś — jak mówił pan marszałek, że śnieg leżał przez cały Marzec?

KANAFALSKI.

Co? pan wierzy panu marszałkowi, toż pan sam z okna widział.

PODKOMORZYC.

No prawda, że na dziedzińcu zginął w Lutym — ale w polu.

KANAFALSKI.

W polu jeszcze gorzej. Ot, powiem panu, jak zacznie wiatr sobie — a mróz sobie.

PODKOMORZYC.

A, prawda kochanku — to wszystkie soki żywotne z ziemi wyciągają. Ale to wszystko kochanku nic nie znaczy; i jak dobry ekonom...

KANAFALSKI.

Ale, po tym ostatnim deszczu, dobrze się poprawiła.

PODKOMORZYC.

Piękna?

KANAFALSKI.

To jest. — Nie tak to gęsta, ale, taka bywa lepsza, jak gęsta, i jak Pan Bóg da deszczu...

PODKOMORZYC.

Co to rachować, jak dobry ekonom...

KANAFALSKI.

I po tym deszczu co był, powiem panu, tak zazieleniało.

PODKOMORZYC.

Liść szeroki?

KANAFALSKI.

Jak szuwar.

PODKOMORZYC.

A gęsta?

KANAFALSKI.

To, powiem panu, wąż się nie prześliznie. Ale, wie pan, coś musi być dobrze z żytem, żydki się kręcą.

PODKOMORZYC.

Bo u mnie kochanku, zawsze pszenica jak szuwar, aż sąsiedzi się dziwią. To mówią ludzie, pańskie oko, konia tuczy, a ja mówię, kochanku, pod pańskiem okiem, pszenica rośnie. — Moja pszenica...

KANAFALSKI.

Był wczoraj Berko — i pyta się — pan wie, jak żydzi — o to — o wo — a na końcu, czy pan nie sprzeda żyta — a ja powiedziałem...

PODKOMORZYC.

No, coś powiedział kochanku?

KANAFALSKI.

Że naszego żyta za lada co nie kupi.

PODKOMORZYC.

Dobrześ powiedział, kochanku — było dodać, że za to żyto dawali dwa ruble.

KANAFALSKI.

Mówiłem.

PODKOMORZYC.

A ja, nie chciałem.

KANAFALSKI.

Mówiłem.

PODKOMORZYC.

Że to takie żyto...

KANAFALSKI.

I to mówiłem.

PODKOMORZYC.

Jakiego on nie dostanie.

KANAFALSKI.

Mówiłem.

PODKOMORZYC.

A on co?

KANAFALSKI.

Ot, nie wiedzieć, co gada.

PODKOMORZYC.

Przecież — co?

KANAFALSKI.

Ot — zwyczajnie żyd.

PODKOMORZYC.

No?

KANAFALSKI.

Mówi, że wtedy, kiedy dawali — trzy lat temu — to każde żyto było po dwa ruble.

PODKOMORZYC.

To bestya.

KANAFALSKI.

Że nasze żyto waży wszystkiego pięć pudów,

a on dostanie po 5 złotych na pięć pudów, funtów dziesięć.

PODKOMORZYC.

No, proszę! Nie kanaljaż to — moje żyto — jak myślisz, kochanku — spuścić po 12 złotych? Ale nie — nie doczeka się.

KANAFALSKI (*na stronie*).

A, mówiłem durniowi — niech poczeka, jak przyjdzie egzekucya za podatek, to za półpięta kupi.

PANI PODKOMORZYCOWA (*wpada*).

Już to co tego, to nadto! Cóż to on myśli, że to chłopskie dziecko — ten gałgan — Prowizorowicz aha! myśli, że ja się nie dowiem?

PODKOMORZYC.

Co za Prowizorowicz?

PANI PODKOMORZYCOWA.

A, zapewne, że Prowizorowicz — kiedy jego ojciec był prowizorem aptekarskim w Międzybożu.

PODKOMORZYC.

Ale czyj ojciec?

PANI PODKOMORZYCOWA.

Otóż to wasze gadania — nie mięszaj się — spuść się na niego — na co podzierać. A teraz masz — skaleczyć chłopca — to żadne zdrowie nie wytrzyma.

PODKOMORZYC.

Dla Boga — cóż się stało?

PANI PODKOMORZYCOWA.

Co? ty tu śpisz — a ten aptekarczyk...

PODKOMORZYC.

Co za aptekarczyk?

PANI PODKOMORZYCOWA.

Wasz pan Lewandowski, tak obił mego Józia, że aż spuchł.

PODKOMORZYC.

No proszę, ktoby się był spodziewał?

PANI PODKOMORZYCOWA.

I jak go zaraz z domu nie wypędzisz — to dalipan, ja go sama wypędzę.

PODKOMORZYC.

Sama — sama — wszak wiesz kochanku, że się tu bezemnie nic nie robi — pff — a może posłać po doktora.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Trzeba pierwej chłopca zobaczyć.

PODKOMORZYC.

Jak to kochanko, toś nie widziała? A któż powiedział?

MACIEJOWA (*wsuwa sie do pokoju*).

To panie, nie ja powiedziała — jak Bóg na niebie, to panie, nie ja powiedziala — to proszę pana, sama pani słyszała, jak biedny chłopiec płakał — i pokazywał, jak mu spuchła — proszę pana, ręka spuchła.

PODKOMORZYC.

A, aspani tu znowu czego? — z językiem.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Już to u ciebie każdy, co przeciwko mnie,

zawsze ma racyę — ale co teraz, to wyraźnie powiadam, że jak go zaraz z domu nie wypędzisz, to dalipan, ja go sama wypędzę. (*Wychodzi.*)

PODKOMORZYC.

Ależ, poczekajno kochanko. Nie tak prędko, sprawiedliwość przed wszystkiem. (*Zostaje — do Maciejowej.*) Aspani mi zawołaj Lewandowskiego. (*Do Kanafalskiego.*) Widzisz kochanku, ja tu jestem głową domu — pff — i muszę równowagę utrzymać — bo inaczej... (*Odchodzi.*)

MACIEJOWA.

Już to jak Bóg na niebie, to nie wiem czego pan Kanafalski proteguje tego Lewandowskiego.

KANAFALSKI (*z miną ważną*).

Bo widzę — że dobry guwerner, powiem Imości — mahometyk taki, jakiego w całym powiecie... Przy tem filozof, a do rysuku, powiem Imości, jak zrobił pana Podkomorzyca, na czarno, to kubek w kubek. Już to prawda, że koło panicza, nie tak czysto, jak za Niemca — bywało, glanc na butach, jak lustro — ale za to...

MACIEJOWA.

Już to prawda, że Niemca trzeba było koniecznie wysadzić — a pięknego mu się chciało, i do toku zazierać, i do spiżarni — a wara tobie pludrze! A, wie pan Kanafalski, że dotąd siedzi na bruku?

KANAFALSKI.

A, widzisz Imość — jak to nie rozumiecie swojej polityki! A ten, swego nosa pilnuje, w cudze

ingredyencye się nie wdaje — a przytem, powiem Imości, że mi go pan Pułkownik bardzo suspicyalnie rekomendował.

MACIEJOWA.

A, i ten także potrzebny.

KANAFALSKI.

Już to, czy potrzebny, czy nie potrzebny, ale jak przyjedzie — to skweres — on sobie komenderuje, jak w domu, a my za drzwi — ani do pana przystąpić, ani do pani.

MACIEJOWA.

No — a ja mówię panu Kanafalskiemu — że ja taki, tego Lewandowskiego wysadzę — żeby i dziesięciu Pułkowników! I wielkie rzeczy, że jak raz w rok przyjedzie, to powie, głupia baba, to i ja sobie potrafię cichutko powiedzieć — już wiem co — jak żebym miała znosić od tego bałwana — fe mina — ja ani fi drągalu, ani mina — tylko na chrzcie świętym Apolonia — fe mina.

KANAFALSKI.

Ależ moja Imość.

MACIEJOWA.

I ja mam za niego od pana obrywać? z językiem wysadzę — dalipan wysadzę — i jak mi pan Kanafalski będzie przeszkadzał — to już wiem co zrobię.

KANAFALSKI.

No, moja Imość, nie gniewajmy się — sama widzisz, że na mnie leży równowaga domu. No, ja ci podaruję Lewandowskiego — ale za to...

MACIEJOWA (*wdzięcząc się*).

Już to pan Kanafalski — zawsze ze mną zrobi co zechce — i...

KANAFALSKI.

Ot, dasz mi Imość dobrą radę. — Nieborak Telembecki miał wypadek — pod wiosnę paszy nie stało i konie folwarczne jakoś z biedy sparszały. — Już cztery zdechło, a do pana ani z tem przystąpić. — Otoż — ja się boję żeby Pani...

MACIEJOWA (*półgłosem*).

Ja na panią mam — motki nie dochodzą do wagi — a konie w remanencie są?

KANAFALSKI.

Są?

MACIEJOWA.

To dobrze — nasza pani remanenta patrzy — (*odchodzi i wraca*) a w lecie... dwa zjedli wilki... a dwa złodzieje. (*Odchodzi.*)

KANAFALSKI.

Dalipan dobra rada. — No — teraz sam się trzymaj Lewandosiu — i wielkie rzeczy od Pułkownika, raz w rok, kpa oberwać. (*Odchodzi.*)

Scena II. — W pokoju dziecinnym.

Stoją łóżka, jedno duże i dwa małe — na środku stolik — obok tablica.

LEWANDOWSKI — JÓZIO — MICHAŁEK (*później przychodzą*) MACIEJOWA — Pan PODKOMORZYC. — PANI PODKOMORZYCOWA.

LEWANDOWSKI.

Józef — znowu dzisiaj nic nie umie — (*zapi-

suje w książeczkę) żaden — znowu żaden — dawniej przynajmniej bywało mierny, nadmierny — czasem dobry (*chodzi po pokoju*). Nie mogę wprawdzie dojść przyczyny tego opuszczenia się w naukach, którem chcesz zmartwić szanownych rodziców.

JÓZIO (*na stronie*).

To papa tak dba oto, jak Santynelek o chleb razowy (*daje Michałkowi dulkę w głowę*), masz durniu.

MICHAŁEK.

Ja się nie poskarżę, ale oddam.

LEWANDOWSKI.

Którzy mnie swoją nieograniczoną ufnością zaszczycają.

JÓZIO (*na stronie*).

Wylecisz ty ztąd nudziarzu, a mnie będzie wolno siedzieć w kredensie, ile zechcę — i chodzić na przepiórki z Dubyną — już jak Maciejowa obiecała...

LEWANDOWSKI.

Ile, że nie widzę ze swojej strony najmniejszego opuszczenia.

JÓZIO (*daje znowu dulkę Michałkowi, Michałek mu ją z nawiązką oddaje płacząc*).

Proszę pana, Michałek się bije.

LEWANDOWSKI.

Cóż to znowu takiego — Michałek.

MICHAŁEK.

To panie, Józio dał mi dwie dulki, a ja jemu oddałem jednę, ale dobrą.

JÓZIO (*płacząc*).

Czego ty mnie zaczepiasz, kiedy ja z tobą nie zachodzę.

LEWANDOWSKI (*zawsze chodząc*).

Józef, jest winniejszy, jak zaczynający — Michałek mniej winny, jako używający juris talionis — chociaż nieprawnie, albowiem to do władzy należy. — Jednak przestrzegam panów, że skłonię się raczej do systematu uczonego Strzeleckiego, który w podobnych razach obie strony do klęczenia zasadzał. — A więc sza. — Następujące podanie (*zbliża się do tablicy i kreśli*). To podanie światły Wojciech Jarkowski, uczeń akademii krakowskiej, nazywał młynkiem, z powodu podobieństwa figury do wietrznego młyna — proszę uważać. (*Uciera nos uroczyście.*) W trójkącie prostokątnym kwadrat z przeciw prostokątnej, równa się dwom kwadratom, Józef uważaj — z dwóch boków kąt prosty obejmujących. (*Józef patrzy ku drzwiom, którędy weszła Maciejowa.*) Józef — tu patrzaj, a nie tam (*spostrzegłszy Maciejową*) foeminam fortem, quis inveniet.

MACIEJOWA (*na stronie*).

Znowu mina — poczekaj ostatni to tobie raz, klnąć mnie po niemiecku.

JÓZIO (*cicho do Maciejowej*).

A co masz? daj.

MACIEJOWA (*cicho*).

Jabłko i chleb z powidłami. (*Oddaje z za siebie, żeby Lewandowski nie widział). — Józio poka-*

zuje figę Michałkowi i chowa do szuflady). Zaraz tu pan idzie — i będzie jemu, że śmiał panicza uderzyć. — (*Do Lewandowskiego słodko*). To proszę pana, ja przyszłam od pana. — Prosi pana do siebie.

LEWANDOWSKI.

A nie wiesz, moja zacna pani Maciejowa, czy rzecz pilna, — bo właśnie zacząłem podania o kwadracie z przeciw prostokątnej...

MACIEJOWA.

To już to pan sam lepiej wie, czy zaraz iść, ja proszę pana prosta sługa i nie zacna.

LEWANDOWSKI.

Owszem, zacna — moja pani Maciejowa. — Sługa przywiązana do panów, tak jak ty jesteś, i pełniąca sumiennie obowiązki — jest zacniejsza od wielu...

MACIEJOWA.

To proszę pana jak pan zechcesz. (*Kłania się nizko i odchodzi*).

LEWANDOWSKI.

Więc zaraz idę. (*Składa powoli kredę i gąbkę, i wybiera się wychodzić*). Proszę na mnie poczekać spokojnie, bez zwady, bo bez ceremonii pójdziecie oba klęczeć, (*idzie w stronę drzwi. — Józio mu nosa pokazuje — wchodzi pan Podkomorzyc sapiąc*) właśnie chciałem się stawić na rozkaz pana Dobrodzieja.

PODKOMORZYC.

A — mój panie — ja nie mam czasu — pół dnia czekać — pff — u mnie w głowie, nie tere

bzdere, — nie kąty, nie trójkąty — pff, na mnie cały dom — całe gospodarstwo — mój panie. (*Siada*).

JÓZIO (*cicho do Michałka*).

To papa przyszedł, żeby wypędzić Lewandowskiego — a ty durniu pójdziesz świnie paść — (*dobywa z szuflady chleb z powidłami i je ukradkiem*).

LEWANDOWSKI.

Właśnie mi w tym momencie pani Maciejowa przyniosła pańskie wezwanie i szedłem...

PODKOMORZYC.

Długie momenta. — Jak kto nie ma o czem myślić — to długie momenta — pff — ale u mnie — ja nie mam czasu — czekać — trójkąty — pff. — To pan mnie chybiasz — w moim domu — chybiasz — pff.

PANI PODKOMORZYCOWA (*wchodzi, Józio przestaje jeść*).

Już to ja się do edukacyi nie mieszam — ale pan pozwolisz, że w takim razie — pan darujesz — ale ja matka — dozwolić nie mogę.

PODKOMORZYC.

Wyraźne uchybienie — pff.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Ja powiadam — nigdy się do tej edukacyi nie mieszam — ale to już przechodzi miarę.

LEWANDOWSKI.

Ale cóż za związek mieć może z edukacyą?...

PODKOMORZYC (*do żony*).

Widzisz — nie zacząłem jeszcze mówić o tem.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Pocóżeś przyszedł? — to ja sama potrafię. — (*Do Lewandowskiego.*) Ja powiadam, to już przechodzi miarę — i żadne zdrowie nie wystarczy.

LEWANDOWSKI.

Nie wiem wcale...

PANI PODKOMORZYCOWA.

Tylko pan nie udawaj — pan bardzo dobrze wiesz o co idzie — jak powiadam, trzeba nie mieć sumienia, żeby dziecko tak obić, żeby aż spuchło.

LEWANDOWSKI.

Ależ ja nikogo nie obiłem...

PANI PODKOMORZYCOWA.

A to dalipan paradnie. Kiedy ja pewnie wiem, żeś pan mego Józia obił, tak że spuchł.

LEWANDOWSKI.

Pozwoli sobie pani Dobrodziejka zauważyć...

PANI PODKOMORZYCOWA.

To nie sztuka się wytłumaczyć.

LEWANDOWSKI.

Że podług moich zasad pedagogicznych, kara cielesna jest to dopiero ultima ratio, i takowej dotąd nigdy nie używałem.

PANI PODKOMORZYCOWA.

A to paradnie.

LEWANDOWSKI.

Wszelako: gdy Józef kilkakrotnie, nie zważając na napomnienie, obrażał swego kolegę, wyrazami ubliżającemi...

PANI POKOMORZYCOWA.

Kolegę — kolegę?

LEWANDOWSKI.

Osądziłem za rzecz potrzebną, ukarać go placentą, która jest najniższym szczeblem w hierarchii kar pedagogicznych.

JÓZIO.

Ja jemu powiedziałem chłop — abo wun nie chłop.

LEWANDOWSKI.

W twojej ciasnej głowie — chłop jest to wyraz ubliżający — chociaż z kąd inąd...

PANI PODKOMORZYCOWA..

Proszę nas uwolnić od kazania.

JÓZIO.

Niech mama jemu nie wierzy — bił — bił.

LEWANDOWSKI.

Ukarałem go placentą — to jest uderzyłem tą linijką w łapę.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Jak to, tylko w rękę uderzył?

JÓZIO.

Bił — bił — aż ręka spuchła. — Niech mama patrzy. — (*Pokazuje prawą rękę*).

PANI PODKOMORZYCOWA (*z gniewem*).

Dalipan spuchła. A co, nie mówiłam, że spuchła.

LEWANDOWSKI.

Józefie — kłamiesz — i podług przepisu, za

kłamstwo klęczyć będziesz kwadrans. — Uderzyłem cię w lewą rękę, — bo prawa będąc przeznaczona do pisania...

PANI PODKOMORZYCOWA (*w furyi*).

A to dalipan bezprzykładna zuchwałość — przy rodzicach — otóż nie będzie klęczyć — bo pan sobie od dziś dnia z kwitkiem pójdziesz. — A — to dalipan paradnie — kłamie — to i ja kłamię?

LEWANDOWSKI.

Pani Dobrodziejka, tylko się mylisz — jak rozżalona matka.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Proszę bez kazania — a to dalipan paradnie, (*do męża*) i cóż ty tu siedzisz?...

PODKOMORZYC.

A, tak mój panie — ja nie mam w głowie tere bzdere — pff — i nie mam czasu czekać aż czyjaś łaska — wyraźne uchybienie...

LEWANDOWSKI.

Ależ pozwól mi pan Dobrodziej powtórzyć...

MACIEJOWA. (*wsuwa się*).

A wyraźnie, proszę pana mówił, że nie może zaraz iść do pana, bo zaczął frójkątną. — A ja mu powiedziała, to jak pan zechce — sam panicz słyszał.

JÓZIO.

Tak — tak — a jak mnie Michałek bije, to on widzi i siedzi jak malowany.

PANI PODKOMORZYCOWA.

No proszę. (*Do męża.*) — A jakem go postawiła przy ważeniu żelaza, to mu z przed nosa Dubyna ukradł trzy funty i pół — Maciejowa wyszpiegowała.

MACIEJOWA.

A tak proszę pana, Dubyna powiedział Motrze, że schował w hajdawary — a ja...

PODKOMORZYC.

No, no, no, — pan sam widzisz — pff — żeś sam sobie winien — strata miejsca — pff — przymuszony jestem sprawiedliwość wymierzyć — i utrzymać równowagę — pff — (*wstaje*) a zaległą pensyę — to zapłacę — za sprzedażą żyta (*odchodzi do żony*), a może kochanko, niech Kanafalski pojedzie do Lubaru, przecie zobaczy, tego Francuza, co mówisz?

PANI PODKOMORZYCOWA.

A dobrze (*do Lewandowskiego*) i wybieraj się pan czem prędzej Sak und Pak (*odchodzi*).

JÓZIO. (*Pokazuje mu nosa.*)

MACIEJOWA (*na stronie*).

A może byłby i nie wyleciał, gdybym go zaraz zawołała do pana? — (*Odchodząc Lewandowskiemu do ucha*) fe mina.

LEWANDOWSKI (*sam*).

I Arystydes niesłusznie ostracyzmem ukaranym został.

Scena III. — Ten sam pokój, co w pierwszej.

(KANAFALSKI *wchodzi z jednej strony, widać z wózka,* MACIEJOWA *wbiega ze strony przeciwnej.*)

KANAFALSKI — MACIEJOWA — Później wchodzą: PODKOMORZYC. — PANI PODKOMORZYCOWA. — PUŁKOWNIK.

MACIEJOWA.

A co?

KANAFALSKI.

Ot — powiem Imości, nic z tego nie będzie.

MACIEJOWA.

Albo co — już ma służbę?

KANAFALSKI.

Nie to — za mądry, powiem Imości.

MACIEJOWA.

No?

KANAFALSKI.

Jakiś wielki pan — choć coś djable goło koło niego — nawet mnie nie prosił siedzieć.

MACIEJOWA.

Proszę.

KANAFALSKI.

Ja mu powiedziałem interes — a on — zajrzał do jakiegoś szpargałka — a potem — pan Pokamasze, a wesz Nowoszulka.

MACIEJOWA.

Nu, a no.

KANAFALSKI.

Wesz, powiem Imości, to po francuzku zna-

czy wieś — a ja powiedziałem — tak, Nowosiołki.

MACIEJOWA.

A zkąd się już dowiedział?

KANAFALSKI.

A on zaczął trząść głową — Ne, ne, ne, ja tam puit — tam szlugi komenderuj.

MACIEJOWA.

A jemu co do tego?

KANAFALSKI.

I potem przyszedł jakiś drugi Francuz — i zaczęli coś między sobą szwargotać po francuzku — tamten się widać na niego gniewał — mówił ciągle modni bet, to po francuzku znaczy nic nie rozumiesz — a potem siadł i napisał, ot to. Ale z tego nic nie będzie.

MECIEJOWA.

Cóż to takiego?

KANAFALSKI.

Jego kondycye. — I — taki, powiem Imości, wcale mi się nie podobał, — jakiś furfant — i przytem — z kiepskim oxentym gada po francuzku.

MACIEJOWA.

Mnie, widzi pan Kanafalski, nie koniecznie idzie o Francuza, — ale się boję żeby tamten nie został — bo coś pani zaczyna stygnąć — a jakie kondycye pan Kanafalski wie?

KANAFALSKI.

Mówił mi ten drugi Francuz — to jakiś po-

rządniejszy — ot, takie kondycye powiem Imości — że nic z tego nie będzie.

MACIEJOWA.

Pan idzie (*szybko*). Ale kiedy już po tamtego posyłać nie będziecie, to chyba niech pan Kanafalski wyrobi u pana umyślną furę, bo na ten raz nie wypada bez wiadomości (*Kanafalski daje jej znak, żeby odeszła — odchodzi*).

PODKOMORZYC (*wchodzi*).

A, jak się masz kochanku? (*Kanafalski bierze go za kolano.*) A jechałeś koło pszenicy? — No, jak tam?

KANAFALSKI.

Poprawia się, powiem panu — widziałem Francuza.

PODKOMORZYC.

No i cóż?

KANAFALSKI.

A — jakiś grzeczny człowiek — grzecznie mnie przyjął.

PODKOMORZYC.

Przecie.

KANAFALSKI.

Cóż — powiem panu, — nie mnie o tem sądzić.

PODKOMORZYC.

Jednak.

KANAFALSKI.

Tak — prawdę powiedzieć — to się zdaje — jakiś furfant.

PODKOMORZYC.

Jak to kochanku — furfant?

KANAFALSKI.

I — powiem panu — pytałem się żydków. — (*Trzęsie głową*).

PODKOMORZYC.

No, już to oni zawsze najlepiej wiedzą.

KANAFALSKI.

Żydki — powiem panu — zawsze mają swoje wiadomości.

PODKOMORZYC.

No, jednak kochanku.

KANAFALSKI.

A jakie fanaberyi (*oddaje mu papier*) — kondycye.

PODKOMORZYC (*czyta z trudnością*).

Kondysyą de Mosie Zak Neserię on ka de plasman sze Mesie le Cont — to kochanku oddasz mojej żonie — a wiesz jakie kondycye?

KANAFALSKI.

Pensya — 150 cz. złt.

PODKOMORZYC.

Pff...

KANAFALSKI.

Gratyfikacyi po trzech latach — 150 cz. złt.

PODKOMORZYC.

Psz...

KANAFALSKI.

I pan może go — i przed tem odprawić — byle zapłacić za trzy lata i pensyę i gratyfikacyę.

PODKOMORZYC.

Jak to kochanku — to żebym go i po roku odprawił — to mam wszystko płacić?

KANAFALSKI.

Powiem panu, żeby i za pół roku.

PODKOMORZYC.

Ale to kochanku — dureń ten Francuz.

KANAFALSKI.

Toż ja panu mówiłem że furfant. — (*Wchodzi pani Podkomorzycowa*).

PODKOMORZYC.

A to jakiś zabawny Francuz — patrzno kochanko (*Kanafalski kłania się i oddaje pani papier*).

PANI PODKOMORZYCOWA (*przejrzawszy papier*).

No i cóż ty na to?

PODKOMORZYC.

Jak to, co na to? — wszak sama widzisz kochanko — że nie podobna przyjąć.

PANI PODKOMORZYCOWA.

A ja tego wcale nie widzę — nie podobna — dla czego nie podobna — pani Marszałkowa płaci swojemu 200 cz. złt. — a my nie możemy 150 cz. złt — dla czego nie podobna?

PODKOMORZYC.

Ależ.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Z samych kondycyi widać, że porządny człowiek i bywał po wielkich dworach — osobna

usługa, konie na spacer — porządnego człowieka za lada co mieć nie można.

PODKOMORZYC.

I furfant.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Już to jak chcesz kochanku, ale ja potrzebuję spokoju — już mnie ten ciągły dozór kością w gardle stanął — muszę mieć porządnego człowieka, na któregobym się mogła spuścić.

PODKOMORZYC.

A jak go za pół roku odprawić — to wszystko za trzy lata zapłacić — pff.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Otóż to jak koniecznie expens to żałujesz — a jak w gospodarstwie wszystko nie wiedzieć jak idzie...

PODKOMORZYC.

No, no, no, — jak chcesz — ale z tego nic nie będzie.

PANI PODKOMORZYCOWA.

A to dalipan pięknie...

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Proszę pani, ktoś z gości jedzie — już na dziedzińcu.

PANI PODKOMORZYCOWA.

A to nieszczęśliwa moja godzina — przed samym obiadem — Maciejowa! — zobacz Kanafalski, kto taki czy nie pani Marszałkowa — (*Kanafalski wchodzi*). Maciejowa! pokrowce w meblów

pościągać. Maciejowa! (*Wbiega Maciejowa.*) Dorobić leguminkę, postaw konfitury (*i dalej cicho konwersacya*).

KANAFALSKI (*wchodzi*).

To pan Pułkownik.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Brat.

PODKOMORZYC.

Pan brat.

KANAFALSKI (*cicho do Maciejowej*).

Wynośmy się (*wychodzą*).

PUŁKOWNIK (*wchodzi*).

A — jak się macie? (*Odwraca się do służącego.*) Konie popaść — nie prędko poić — rozumiesz? — bo zgrzane (*witają się*).

PANI PODKOMORZYCOWA.

Przecież...

PODKOMORZYC.

Rzadki gość.

PUŁKOWNIK.

Dobrze wam perebendyować — co wam na świecie, jak u Pana Boga za piecem. A ja, co się całe życie tłukę na wózku, jak Marek po piekle — tych 16 mil — a djabła tam 16 mil. (*Przez drzwi do przedpokoju.*) Słuchaj no, niech szpaczka w ręku przeprowadzą. (*Wracając.*) Bo djable coś w końcu nie wesoło patrzał — no — jak się macie? wszyscy zdrowi — to dobrze.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Spodziewam się, że choć parę dni z nami zabawisz.

PUŁKOWNIK.

Trzy godziny, pani siostro, trzy godziny — jadę do Żytomierza — z tym przeklętym działem rady sobie dać nie mogę.

PANI PODKOMORZYCOWA.

A, to grzecznie!...

PODHOMORZYC.

Daj kochanko pokój. — Interesa. U mnie interesa przed wszystkiem.

PUŁKOWNIK.

U ciebie, panie bracie, interesa — kawę wypić i lulkę wypalić.

PODKOMORZYC.

A, gdzie tam — nie uwierzysz. — Każdy ma swego mola.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Zastajesz nas, kochany bracie, w największym ambarasie — i dobrze żeś przyjechał. — Ale może ty zjesz co przed obiadem?

PUŁKOWNIK.

A, dobrze — każ mi dać twojej domowej — wiesz — karambambuli — i pierniczka — a nic więcej, bo obiad przepadnie. (*Pani Podkomorzycowa wychodzi.*) A cóż cię przybyło, panie bracie? (*Klepie go po brzuchu.*)

PODKOMORZYC.

U mnie tak zawsze — nie uwierzysz, im więcej pracuję...

PANI PODKOMORZYCOWA (*wchodzi*).

Bo to widzisz panie bracie, ty nas najlepiej rozsądzisz. Trafia się nam bardzo porządny człowiek na guwernera — a mój mąż — co wiesz — jak się uprzedzi...

PUŁKOWNIK.

A Lewandowski?

PANI PODKOMORZYCOWA.

Rozeszliśmy się.

PODKOMORZYC (*kiwa ręką*).

Pff.

PUŁKOWNIK.

No — no — słucham.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Otóż, jak powiadam, trafia się nam pan Nesajtrien, bardzo porządny człowiek...

PODKOMORZYC.

Furfant.

PUŁKOWNIK.

To go znacie?

PANI PODKOMORZYCOWA.

Nie.

PUŁKOWNIK.

A od kogoście o nim słyszeli?

PANI PODKOMORZYCOWA.

Nie słyszeli. — To Maciejowa się o nim do-

wiedziała, że bardzo porządny człowiek — zresztą widać z kondycyi.

KANAFALSKI (*wchodzi*).

Proszę pana, śniadanie na stole.

PUŁKOWNIK.

A — jak się ma pan Kanafalski?

KANAFALSKI.

Całuję nuzi. (*Bierze za kolano.*)

PUŁKOWNIK.

No — chodźmy, przetrącić. (*Odchodząc,*) Słucham.

Scena IV.

Pokój dziecinny, jak wyżej.

(LEWANDOWSKI *sam wchodzi. Poźniej wszyscy.*)

LEWANDOWSKI.

Pojąć nie mogę, co się stało — A co mnie najbardziej boli, to złe skłonności Józefa, który...

PUŁKOWNIK (*wchodzi*).

A, mój ty Korneliuszu, Salustiuszu, Owidiuszu, Cyceronie, Newtonie, Bakonie. Jak się masz? Ale żebyś to się na włos odmienił? (*Ściska go.*)

LEWANDOWSKI.

Już lat kilka — jak Pułkownika nie widziałem — i właśnie nie miałem sposobności szczerze mu podziękować, za rekomendacyę — chociaż ta dzisiaj... (*Westchnienie.*)

PUŁKOWNIK.

Ale powiedzno mnie — Co się stało? — unde irae, quae lacrimorum causa...

LEWANDOWSKI.

Lacrimarum, lacrima do formy pierwszej — co się stało? Pojąć nie mogę co się stało. A co mnie najbardizej boli — to złe skłonności Józefa — czy to rzecz słychana za naszych czasów — kłamać na nauczyciela.

PUŁKOWNIK.

Masz racyę — bo przed nauczycielem to co innego — więc nie ty się zrywasz?

LEWANDOWSKI.

Ja? ja przylgnąłem do domu tego. — Sam pan Podkomorzyc zawołany gospodarz...

PUŁKOWNIK (*żywo*).

A to on?

LEWANDOWSKI.

Tak jest — nawet stara się — nowe teorye do praktyki przystosowywać. Pani Podkomorzycowa, chociaż słabego zdrowia i nie cierpiąca zatrudnień około domu — jednak z przekonania oddająca się im gorliwie, jak na kobietę przystało.

PUŁKOWNIK.

A — Marcialisie, Juwenalisie...

LEWANDOWSKI.

Wierność i przywiązanie sług...

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Ale nie — to on tak doprawdy mówi. (*Głośno.*) To ty widzę stworzony jesteś do tego domu.

LEWANDOWSKI.

Dobrze Pułkownik mówisz — stworzony — i czuję to po boleści, którą mi sprawia rozstanie. — Cóż ci powiem Pułkowniku, i ta poczciwa Maciejowa, prawa ręka swojej pani — dziś mnie z płaczem żegnała.

PUŁKOWNIK.

No, więc zostań. Bo o to, żeś obił chłopca...

LEWANDOWSKI.

Ja? — czy Pułkownik zapomniałeś — jak dalece kara cielesna sprzeciwia się wszystkim moim pedagogicznym zasadom — chyba w ostatnim razie.

PUŁKOWNIK.

Więc — o cóż idzie? do stu par djabłów.

LEWANDOWSKI.

Nie wiadomo. Pan Podkomorzyc wziął mi za złe, żem się natychmiast nie stawił — chociaż poszedłem natychmiast, jak tylko mnie Maciejowa przyniosła wezwanie. — Zresztą dziś, jeszcze raz, chciałem prosić o pozwolenie wytłumaczenia się — ale szczęściem ta poczciwa Maciejowa przestrzegła mnie, że pani Podkomorzycowa wielce na mnie zagniewana, i że tem sobie jeszcze pogorszę interes.

PUŁKOWNIK.

Maciejowa tędy, Maciejowa owędy — poczekaj — za pięć minut ci tego Sfinxa odgadnę. — Jest tam kto?

LEWANDOWSKI.

Z serca życzę przenikliwości edypowej (*Wchodzi służący*).

PUŁKOWNIK.

Zawołać mi Józia.

SŁUŻĄCY.

Panicz w kredensie.

PUŁKOWNIK.

To go z kredensu wyprowadź — i tu go przyprowadź. Nie słyszysz? (*Służący po wahaniu się odchodzi. Pułkownik siada.*) Powiedz mi mój Lewandowski — zebrałeś ty co na pedagogice?

LEWANDOWSKI.

Przy mojej, jak Pułkownikowi wiadomo, cynicznej filozofii, udało mi się zebrać 4000 złotych, i te ulokowałem u pana Stefanowicza.

PUŁKOWNIK.

Dobra lokacya!!

LEWANDOWSKI (*z uśmiechem*).

Nawet tak dbały o moje dobro, że mi odmawia procentów, ażeby te przyrastały do kapitału.

PUŁKOWNIK.

To on ci tak do sądnego dnia będzie kapitał powiększał.

LEWANDOWSKI.

Pułkownik żartuje — mam jego słowo — przytem należeć mi się już będzie parę tysięcy od pana Podkomorzyca.

PUŁKOWNIK.

To oddadzą — jednak się upomnij.

LEWANDOWSKI.

Byłoby niewdzięcznością upominać się, kiedy się jego chleb jadło — z resztą...

PUŁKOWNIK.

Odejdź, proszę, na moment, bo słyszę, że chłopca prowadzą. (*Lewandowski odchodzi.*) I oni tę pedagogiczną perłę chcieli wymienić na pierwszego lepszego Francuza? o którym ani słyszeli.

JÓZIO (*wchodzi*).

Jak się ma wujaszek? (*Chce go całować w rękę.*)

PUŁKOWNIK.

No, — no. — Czy ci dał w skórę Lewandowski? Słyszysz?

JÓZIO.

Bił. — Bił.

PUŁKOWNIK.

Kłamiesz.

JÓZIO (*odwracając się*).

Do mnie nikt nie ma prawa.

PUŁKOWNIK (*zrywając się z kanapy*).

A ty bębnie! — Jest tam kto? (*Do służącego.*) Przygotować rózgę, i dwóch ludzi niech będzie w przedpokoju (*Służący odchodzi. — Pułkownik siada. — Józio zkonfundowany.*) Kłamiesz. — Czego kłamiesz? (*Józio płacze.*) Czegoś przed matką kłamał? (*Józio płacze.*) Odpowiedz?

JÓZIO (*z płaczem*).

Mnie Maciejowa mówiła, że jak przed mamą powiem, że bił — to Lewandowskiego odpędzą, —

a do mnie nikt nie będzie miał prawa. (*Crescendo.*) Niech wujaszek daruje — już więcej nie będę. (*Chce mu padać do nóg.*)

PUŁKOWNIK.

Stać — w kącie. — Panie Lewandowski! (*Lewandowski wchodzi.*) Jest Sfinx.

LEWANDOWSKI.

Cóż takiego?

(*Wchodzą Podkomorzyc i pani Podkomorzycowa, kłaniają się bardzo zimno Lewandowskiemu.*)

PANI PODKOMORZYCOWA.

Cóż bracie, nie przyjdziesz?

PUŁKOWNIK (*bierze siostrę pod rękę, tymczasem Podkomorzyc na Lewandowskiego sapie*).

Oto pani siostro, ponieważ widzę, że Lewandowski żadną miarą u nas zostać nie chce — a pani Marszałkowa gorąco mnie prosiła, abym jej dał wiedzieć, jak tylko będzie wolny — więc chciałem cię prosić...

PODKOMORZYCOWA.

Jakto, on nie chce?...

PUŁKOWNIK.

Na żaden sposób — chciałem cię tedy prosić, żebyś za mnie napisała — rozumiesz, (*rzuca ją i bierze pod rękę pana brata. — Pani Podkomorzycowa chce się zbliżyć do Lewandowskiego. — Lewandowski przelękniony rejteruje się*). Widzisz panie bracie, pani siostra przystaje na twoje zdanie. — Daruje ci Francuza i woli zostać przy Lewandowskim.

PODKOMORZYC.

Jużto, panie bracie, ja nie jestem obraźliwy,— i dopóki mi kto nie chybi... ale jak raz chybi — to póki życia nie zapomnę.

PUŁKOWNIK.

Ale co ci się dzieje, panie bracie, czyż nie widzisz, że to babski figiel?... Maciejowa mu dała znać przed samem twojem przyjściem.

PODKOMORZYC.

O — z językiem.

PUŁKOWNIK.

Oto Francuz — to ci istotnie chybił temi kondycyami — jak na śmiech.

PODKOMORZYC.

A, dobrze mówisz, na śmiech.

PUŁKOWNIK.

A Lewandowskiemu się szczerze nie chce nas rzucać, a wiesz dla czego?

PODKOMORZYC.

No?

PUŁKOWNIK.

Chciałby na starość gospodarować... a tymczasem tu się gospodarstwa przyuczyć.

PODKOMORZYC.

A, i owszem, panie bracie — ja się z niczem nie taję — niech się przypatruje. (*Zbliża się do Lewandowskiego i po pauzie.*) Będzie deszcz, dobry czas na zboże (*Cicha konwersacya*).

PUŁKOWNIK (*zbliżywszy się do siostry*).

No, zrobiłem ci inteses — pan brat pozwala

na Francuza — byleś mu dała słowo, że go do trzech lat nie oddalisz.

PANI PODKOMORZYCOWA.

A to — a jak się pokaże jaki gałgan? — Ale wiesz co, panie bracie — ja nie lubię odmieniać — czy nie możnaby zdecydować Lewandowskiego, żeby został?

PUŁKOWNIK.

Nie wiem.

PANI PODKOMORZYCOWA.

To widzisz, dobry człowiek, i niewiem, czego on się tak formalizuje. — To tylko Józio winien, że...

PUŁKOWNIK.

No, to widzę — znowu coś nowego — to chcesz — żebym z nim gadał?

PANI PODKOMORZYCOWA.

Proszę cię — koniecznie. — On nieraz mówił, że niema rzeczy, którejby dla ciebie nie zrobił.

PUŁKOWNIK.

Trzebaby go jednak przeprosić.

PANI PODKOMORZYCOWA.

To Józio winien.

PUŁKOWNIK.

To dobrze, to Józio weźmie w skórę i basta. (*Zbliża się do Lewandowskiego.*) Zostajesz na miejscu — tylko, daj się przeprosić.

LEWANDOWSKI.

Nie rozumiem.

PUŁKOWNIK.

Tu oto nie chodzi, żebyś rozumiał — powiedzno mnie — wszak ty byłeś zawsze uczniem celującym? — dwakroć medalowym.

LEWANDOWSKI.

Srebrny i złoty.

PUŁKOWNIK.

A ja, byłem osłem.

LEWANDOWSKI.

Nie. — Nie zupełnie — mierny, nadmierny, czasem dobry — jednak, wyznaję, żem się nie spodziewał, żeby Pułkownik wyszedł na tak porządnego człowieka.

PUŁKOWNIK.

Rzecz dziwna. — No, państwo braterstwo — pan Lewandowski zapomniał o wszystkiem.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Już to pan Lewandowski wie dobrze — że posiada nasze nieograniczone zaufanie — i że ja się wcale do edukacyi nie mieszam — chociaż czasem, jako matka — radabym wiedzieć...

LEWANDOWSKI.

Wszystkie nieporozumienia ustały.

PANI PODKOMORZYCOWA.

I pan widzisz...

PODKOMORZYC.

A przypatruj się sobie — ja się z niczem nie kryję.

PANI PODKOMORZYCOWA.

I pan sam widzisz, — że to Józio wszystkiemu winien — i wartoby go ukarać.

PUŁKOWNIK.

Żeby się sprawdziło, co powiedział, dać mu w skórę.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Tak, i koniecznie.

JÓZIO (*płacząc*).

Już nie będę — przysięgam Bogu — to już ostatni raz.

LEWANDOWSKI.

Nie radbym zachmurzyć dnia, w którym mi jest przywrócona ufność obojga państwa Podkomorzycostwa; dla tego proszę za winowajcą, i zaręczam, że się poprawi.

PANI PODKOMORZYCOWA.

Jak pan chcesz.

PUŁKOWNIK (*do Józia*).

Chodź tu — wiesz, co to kłamstwo — stój prosto — a to, wiesz? żeby cię pieczono, smażono w smole, nie mów co się dzieje w szkole — patrz w oczy. — Michałek! (*Wchodzi Michałek.*) Dla czego Józef oskarżał pana Lewandowskiego?

MICHAŁEK.

Ja, panie, nie wiem.

PUŁKOWNIK.

Widzisz — to żołnierski syn — słuchaj bębnie — dom przewróć — rozumiesz — a podłości wara — rozumiesz, marsz! (*Dzieci na bok odchodzą.*)

PANI PODKOMORZYCOWA.

Już to istotnie Michałek bardzo dobrze się uczy — pan Lewandowski bardzo z niego kontent.

PODKOMORZYC.

Ale — panie bracie — muszę ci kasztanka pokazać. (*Wchodzi Kanafalski.*)

KANAFALSKI.

Już, panie, zajechali.

PODKOMORZYC.

Każno pierwej wyprowadzić kasztanka.

PUŁKOWNIK (*do Kanafalskiego.*)

A tęgich cztery szpaczki sprzedałeś Jaworowskiemu — to mój sąsiad.

KANAFALSKI (*na stronie*).

Tam do djabła.

PUŁKOWNIK (*ciszej*).

Szczególniej dwa drążkowe; jak konia raz obaczę, to go za dziesięć lat poznam. (*Głośno.*) Ale panie bracie, słyszałem, że zdechły te dwa szpakowate konie, coś mi ostatnią razą pokazywał.

PODKOMORZYC.

Jeden zdechł — szkoda konia — u mnie to panie bracie, takie się rodzą konie w stadzie...

KANAFALSKI.

A drugi się tak jakoś zmienił, żeby go pan Pułkownik nie poznał.

PUŁKOWNIK (*do Kanafalskiego ciszej*).

No, panie Kanafalski — spodziewam się — że jak tu za pół roku przyjadę — to nie zastanę żadnej zmiany.

KANAFALSKI.

Już chyba, panie, ja sam wylecę.

PODKOMORZYC.

Kasztanka. (*Kanafalski wychodzi*).

PUŁKOWNIK.

Bądźcie mi wszyscy zdrowi! (*Spostrzega figurę młynka, którein w tym momencie Lewandowski nakreślił.*) Cha, cha, cha. W trójkącie prostokątnym... pamiętasz tego starego nudziarza?...

LEWANDOWSKI.

Panie Pułkowniku, przy dzieciach, profesor.

PUŁKOWNIK.

To może i tego drugiego profesora nie wspominać — Witzla. — A jednak ty byłeś moją prawą ręką, gdyby nie ty...

LEWANDOWSKI.

Panie Pułkowniku — przy dzieciach...

PUŁKOWNIK.

Masz racyę — proszę — jak wczoraj, a to już djabeł wie ile lat temu. No, bądź mi zdrów matematyku, (*całuje go, zabierając siostrę i brata*) chodźmy. (*Wychodzą.*)

LEWANDOWSKI (*patrzy na zegarek*).

Godzina jeometryi, (*uciera nos, jak wyżej*) podanie — uważać. — W trójkącie prostokątnym, kwadrat z przeciw prostokątnej, równa się etc.

(*Maciejowa przesuwa się z boku, grożąc kułakiem Lewandowskiemu.*)

Kurtyna spada.

PANTOFEL.

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH PROZĄ.

J. I. KRASZEWSKIEMU

POŚWIĘCA

AUTOR.

Wielmożny Józef Kraszewski

w Żytomierzu.

Szanowny Panie Józefie! [1])

Komuż przypiszę tę bazgraninę? — Czy to mi tak z wiekiem przychodzi, czy też istotnie, że mało już zostało ludzi prawych, zacnych, chętnych każdemu, a zatem i w pożyciu miłych. Przecież znaliśmy takich wielu. Zmarłych miejsce niechętnie zajmują nowi, a więc się tylko pozostali do prawego szlusują i krąg się naturalnie ścieśnia.

W tym tedy ścieśnionym kręgu, ciebie Panie Józefie, wybieram na chrzestnego ojca, tego nowonarodzonego. Proteguj go od Zoilów, a co gorzej od obojętności; pamiętaj, że to dzieło nadewszystko narodowe; bo któż z nas w pewnej mierze nie pantofel? A tymczasem zanotuj z łaski swojej nazwiska tych, co temu ostatniemu przeczyć będą i bez sądu zapisz ich w bractwo.

---

[1]) J. I. Kraszewski.

Zdawało mi się, że przedmiot poczułem dobrze, że go należycie posiadam, tymczasem po przeczytaniu widzę, że mi nie występuje naprzód jak należy. Cóż robić, poprawiać nigdy nie umiałem, więc niech tak jak jest, idzie.

Przyjm wyraz głęboko uczutej czci i prawdziwej przyjaźni.

Karol Drzewiecki.

Odessa, w dzień N. P. Gromnicznej 1854 r.

OSOBY.

CELESTYN.
CELESTYNOWA, jego żona.
FERDYNAND, brat Celestyna.
FERDYNANDOWA, jego żona.
JAN, brat Celestyna i Ferdynanda.
JÓZEF, ich synowiec.
MARYNIA, ich synowica.
SZUMEJKO, stary sługa.
ANTONI, } starający się o rękę Maryni.
LUDGERD, }
SŁUŻĄCY.

Rzecz się dzieje w domu Celestynostwa.

AKT I.

Scena I.

CELESTYNOWA *siedzi* — CELESTYN *stoi.*

CELESTYNOWA.

Hm, hm.[1]) Proszę siedzieć, bo mamy dużo do mówienia.

CELESTYN (*na stronie*).

Aj, aj. (*Siada.*) Słucham.

CELESTYNOWA.

Otóż go masz, i głupstwo — słucham — już też wiem, że słuchasz, kiedy mówię.

CELESTYN.

No, to jakże duszko, chcesz, żebym powiedział, nie słucham; (*na stronie*) coś dzisiaj nie w humorze.

CELESTYNOWA.

Nie, słucham — a radabym żebyś to powiedział, nie słucham, głupstwo — i tacyście wszyscy braciszkowie, taki i Ferdynandek — to tylko

---

[1]) Wydatne odchrząknienie.

dla niego szczęście, że go ta kukła Nuremberska za nos wodzi.

CELESTYN.

Ależ duszko...

CELESTYNOWA.

Taki i Jaś dobrodziej, bo i cóż przez tyle lat przyzbierał, choć żyje sam, jak palec, albo i Stefan nieboszczyk? niby to po nim się zostały sto tysięcy rubli Maryninych, to przecież posag matki.

CELESTYN.

A prawda.

CELESTYNOWA.

Prawda — jużci prawda, kiedy mówię, głupstwo, i ty gdybyś się nie był dostał pod skrzydło moje.

CELESTYN.

Tak, prawda duszko, pod spódnicę...

CELESTYNOWA.

Głupstwo.

CELESTYN.

Tak, ale pan Tadeusz.

CELESTYNOWA.

Pan Tadeusz, głupstwo, pan Tadeusz — i sam marnie zginął, i z nim majątek przepadł, i braciom ambarasu narobił.

CELESTYN.

O, prawdę duszko mówisz, i jakiego ambarasu, i biedny Józef się został bez funduszu.

CELESTYNOWA.

Biedny Józef, głupstwo, biedny Józef — nie daleko jabłko od jabłoni — sam sobie winien, sam sobie winien, głupstwo, a teraz gdzieś tam na Ukrainie zagrzązł i od dwóch lat ani słychu o sobie nie daje — mniejsza o to.

CELESTYN.

Już to ja ci duszko mówiłem, jakeś mi kazała tak odpisać na jego list, że się obrazi, bo to także prawda, że nigdy od nas niczego nie potrzebował.

CELESTYNOWA.

Bo wiedział, że nic nie dostanie, głupstwo, mniejsza o to, i obejdziemy się bez korespondencyi. Ale mi przeszkadzasz ciągle — siedź i słuchaj.

CELESTYN.

Słucham.

CELESTYNOWA.

Hm, hm — czy wiesz, że to po jutrze Marynia wychodzi z opieki.

CELESTYN.

Po jutrze?

CELESTYNOWA.

Ale prawda, co ty wiesz. Tak, po jutrze, po jutrze.

CELESTYN.

Chwała Bogu, że się zbędziemy kłopotu.

CELESTYNOWA.

Kłopotu, kłopotu, głupstwo, piękny mi kłopot,

sześć tysięcy rubli w rok, i za to kilka sukienek sprawić.

CELESTYN.

Ależ to ty duszko zawsze mówiłaś, że taki kłopot.

CELESTYNOWA.

Ja? przyśniło się jegomości, ale czy kłopot, czy nie kłopot, miło mi było oddać hołd naturze.

CELESTYN.

I do tego dziewczyna dobra i łagodna.

CELESTYNOWA.

Głupstwo — każda dobra, póki pazurki nie wyrosną, więc nie trzeba czekać aż wyrosną.

CELESTYN.

Nie rozumiem.

CELESTYNOWA.

I nie czekać, aż panowie braciszkowie zaczną się mięszać do tego, co do nich nie należy.

CELESTYN.

Do czego się mięszać?

CELESTYNOWA.

Trzeba Marynię wydać za mąż.

CELESTYN.

Za kogo?

CELESTYNOWA.

Trafia się bardzo dobra partya.

CELESTYN.

Partya?

CELESTYNOWA.

Człowiek bardzo przyzwoity, i majątek jest, i nie utracyusz, pan Antoni.

CELESTYN.

Ależ zmiłuj się.

CELESTYNOWA.

Albo co?

CELESTYN.

Ależ to człowiek twardy, nieużyty, jabym mu i kozaka swego na miesiąc nie dał.

CELESTYNOWA.

Głupstwo, człowiek porządny i ma wolę, Marynia potrzebuje krótkiego trzymania.

CELESTYN.

A to krew moja, i na życie całe oddać, nie, dalipan nie zrobię, nie zrobię, nie zrobię! (*Wstaje i chodzi.*)

CELESTYNOWA (*z flegmą*).

Czy tak?

CELESTYN.

Tak, tak, tak!

CELESTYNOWA.

Czy już skończyłeś?

CELESTYN.

Skończyłem.

CELESTYNOWA.

No, to siadaj. (*Celestyn siada.*) Czy ty myślisz, że ja chcę nieszczęścia Maryni?

CELESTYN.

Już też nie myślę.

CELESTYNOWA (*żywo*).

Ale ty chcesz.

CELESTYN.

Ja?

CELESTYNOWA.

Tak, ty, bo chcesz aby wyszła za świstaka, za sowizdrzała, co ją zrujnuje, a potem porzuci.

CELESTYN.

Ale ja nie chcę.

CELESTYNOWA.

Głupstwo, nie chcesz, a miękkością, głupiem pobłażaniem, chcesz ją doprowadzić do tego, że zacznie przebierać między porządnemi ludźmi — a potem wyjdzie za świstaka, za sowizdrzała, co ją zrujnuje, a potem porzuci.

CELESTYN.

Ależ...

CELESTYNOWA.

Więc dobrze, kiedy chcesz wziąść na siebie tę odpowiedzialność, ja ręce umywam.

CELESTYN.

Ależ duszko...

CELESTYNOWA.

Ja ręce umywam, rób co chcesz.

CELESTYN.

Ależ zmiłuj się.

CELESTYNOWA.

Bo ja sobie rady dać nie potrafię.

CELESTYN.

Niby to ja nie wiem, że ty duszko Meternich.

CELESTYNOWA.

Nie, wcale nie.

CELESTYN.

Owszem, owszem. — Już to prawda, żeby to nieszczęście było, jakby się Marynia w złe ręce dostała.

CELESTYNOWA.

Więc słuchaj, hm, hm.

CELESTYN.

Rób jak chcesz, duszko, bylem się ja do tego nie mięszał.

CELESTYNOWA.

Głupstwo, owszem, ty sam zrobisz, właśnie ty sam zrobisz, zrobisz, zrobisz.

CELESTYN.

Ale jakże ja zrobię?

CELESTYNOWA.

Ty sam powiesz Maryni, żeś jako opiekun zdecydował — rozumiesz, zdecydował.

CELESTYN.

Rozumiem, żem zdecydował.

CELESTYNOWA.

Że trzeba, żeby wyszła za Antoniego. Jakby się wahała, to jej powiesz, rozumiesz.

CELESTYN.

Rozumiem.

CELESTYNOWA.

Że się niesłychanie tem martwisz, że ty znasz Antoniego, i że za niego ręczysz. Bo i cóż jest przeciwko Antoniemu?

CELESTYN.

Prawda, co jest przeciwko Antoniemu?

CELESTYNOWA.

Ja zaś łagodnie jej perswadować będę.

CELESTYN.

A nie mówiłem, że Meternich.

CELESTYNOWA.

A wszystko prędko, żeby skończyć, nim się panowie braciszkowie obudzą.

CELESTYN.

Ja stanę fer. [1])

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Proszę pani, ktoś jedzie od lasu — podobno, czy nie pani Ferdynandowa. (*Odchodzi.*)

CELESTYNOWA.

Głupstwo, pewnie Ferdynandowa.

CELESTYN (*patrząc przez okno*).

Tak, tak, Ferdynandostwo oboje, bo oto i najtyczanka jego, chwała Bogu, pan brat.

CELESTYNOWA.

Ciesz się, ciesz, masz czego, głupstwo — tylko

---

[1]) Zamiast ferme.

proszę, nie zważając na pana brata, swoje robić, i to prędko, bo (*z przyciskiem*) tak z interesu wypada.

CELESTYN.

No, czemuż to mnie tego od razu duszko nie powiesz, że z interesu wypada, to co innego, z interesu wypada.

(*Wchodzi Ferdynandowa wykwintnie ubrana, w mantylce, z manszonikiem i lornetką, za nią Ferdynand w krótkim surduciku. Celestynowa wychodzi naprzeciwko siostry z rozłożonemi rękami, wszystkie serdeczności między siostrami odbywają się pieszcząc.*)

CELESTYNOWA.

Hm, hm. Siostrunia kochana — i pan brat — jakież to szczęście. (*Całują się i wielkie uściśnienia. — Bracia witają się serdecznie.*)

CELESTYN (*razem z Ferdynandem*).

A, pan brat, pan brat.

FERDYNAND.

Pan brat.

FERDYNANDOWA.

Ach, ledwie żyję, z mojem zdrowiem, ta podróż. (*Rzuca się na fotel.*) Ferdynandzie! [1])

FERDYNAND (*dobywa z kamizelki kasoletkę*).

Może aniołeczku konsoleczkę. (*Ferdynandowa daje znak że nie, i żeby położył poduszkę pod nogi.*)

---

[1]) To wezwanie raz na zawsze odbywa się właściwą intonacyą, i Ferdynand zawsze jednakowo podbiega na palcach na takowe wezwanie.

FERDYNANDOWA.

Nie, to te nerwy nieszczęśliwe, nie wierzysz, siostruniu, ile się razy zbliżam... stają mi przed oczy Stefanostwo poczciwi... Ale gdzież ta droga Marynia?

CELESTYNOWA (*na stronie*).

Kukła, niezawodnie z projektem przyjechała.

FERDYNAND (*w drugim końcu sceny do Celestyna*).

No i cóż, panie bracie, jak tam — pantofel? ha, ha, ha!

CELESTYN.

A, wolne żarty, panie bracie.

FERDYNANDOWA.

Ferdynandzie!

FERDYNAND.

Co, aniołeczku!

FERDYNANDOWA (*nie piszcząc*).

Źleś mi tę poduszkę położył, bliżej — tak — bliżej. (*Ferdynandowa daje znaki, Ferdynand poprawia poduszki.*)

CELESTYN (*do Ferdynanda*).

Cóż ty, panie bracie, tak opięto i kuso?

FERDYNAND.

A, to bonżurka, podług paryzkiej bonżurki pana Ludgera.

FERDYNANDOWA.

Ludgerda, Ferdynandzie.

FERDYNAND.

Tylko, że ten Srul, mazgaisko, trochę zanadto z przodu podciął.

FERDYNANDOWA (*przerywając*).

Ferdynandzie...

FERDYNAND (*podbiega*).

Aniołeczku?

FERDYNANDOWA.

Fi! — Ale, à propos pana Ludgerda. Ferdynand zaprosił go dziś do drogiej siostruni. — Już to wymawiał się brakiem czasu, bo pisze poezye do kilku dzienników, ale wreszcie obiecał, nie prawdaż, Ferdynandzie?

FERDYNAND.

Tak, tak — obiecał aniołeczku, ale ja bym się wódki napił. Ha, ha, ha!

FERDYNANDOWA (*rusza ramionami*).

Fi!

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Proszę pani, dali śniadanie.

(*Wstają długo i z wielkiemi serdecznościami i przyzwoitą ceremonią, idą w dwóch parach, Celestyn z Ferdynandową, Ferdynand z Celestynową.*)

CELESTYNOWA.

Droga siostruniu — proszę pana brata — bez ceremonii. (*Odchodzą.*)

CELESTYNOWA (*wraca, trzymając za rękę Celestyna*).

Słuchaj, przykazać mi natychmiast Szumejce, żeby tej minuty posłał do Antoniego, niech tu natychmiast przyjeżdża — jak najparadniej.

Słuchaj, a gdyby się Szumejko wahał, to

powiedz, że to pani kazała. (*Odchodzi w stronę gości.*)

CELESTYN.

Rozumiem — zaraz, zaraz. (*Odchodzi w drzwi wchodowe.*)

(*Po pauzie wchodzi powoli.*)

SZUMEJKO.

Do pana Antoniego...

A piękny mi gagacik... ciężki na chłopa... niesprawiedliwy dla oficyalisty... a dla każdego twardy, jak ten stół.

Hej, hej, co było zacniejszego w tym rodzie, zgasło — i zacny pan Tadeusz i mój dobry pan Stefan...

Też i to, to nie złe panisko — cóż, kiedy pod pantoflem — a dobrze mówi piosnka:

Wierzcie dzieci kowalowi,
Djabeł wichrzy takim stadłem.
Gdzie na przekor rozumowi,
Żona młotem, mąż kowadłem.

Tfu! to też i wichrzy — i gospodarstwo po djablemu idzie — rewolucya co tydzień i każdy komenderuje — i w domu djabelskie rządy — a w końcu dziecko mojego pana wydadzą za takiego gagatka, jak pan Antoni.

A wtedy i stary Szumejko pójdzie na grzyby, boć to i tak, już od dawna, tem się tylko trzyma, żeby przynajmniej ile można, pilnować mienia pańskiego dziecka.

Boć mi to jedno zostało. — Był chłopiec

i walny chłopiec, co go nieboszczyk pan, jak swego chował sobie na zięcia, ale zbyt wcześnie zginął, gdzieś bez wieści na szerokim świecie.

MARYNIA (*wchodzi*).

Jak się ma pan Szumejko — i co to znowu pan Szumejko sam do siebie gada?

SZUMEJKO.

Ot, zwykle stary, panienko, przeszłość przed sobą wywołuje, świętej pamięci rodziców paninych. A w końcu, to mi pamięć stanęła na naszym panu Józefie, kiedy tu był przed laty pięciu z uniwersytetu... piękna bo to była para.

MARYNIA (*zamyślona*).

I jeden pan Szumejko co mi o ojcu i matce mówisz niekiedy, tak to o zmarłych zapominają prędko — i czy wie pan Szumejko, że ja za Józefa się co dzień modlę? bo to mój narzeczony z woli ojca.

Ale ja tu gwarzę, a tam ciocia gniewać się będzie, że się późnię.

(*Idzie do drzwi skacząc, a przy drzwiach, przed otworzeniem, stroi sobie minę poważną.*)

Scena II.

ANTONI (*sam*).

No, i cóż, proszę, i przyjechałem — i postawiła mię proszę, z tym waryatem, co pewnie do północy spać mi nie dał.

Powiada, proszę, że się nigdy przed pierwszą nie kładzie. A to proszę nie kładnij się wcale, kiedy spać nie chcesz, ale ludziom nie przeszkadzaj, co chcą spać, co rano, proszę, wstali i po gospodarstwie jeździli i porządnie chcą spać. Nie, o jedenastej proszę, ognia mu trzeba na kominku, więc proszę, rąb drzewka, szukaj ognia — dwunasta. Zapalili, a tu dym, więc znowu proszę, okna otwieraj — gwałtu! jakby tak proszę dłużej, to i mnieby zwaryować przyszło.

I znowu proszę, cygaro po cygarze, a chociaż ja lulkę, proszę, w miarę palę, ten dym tych cygarzysków strasznie mi do głowy idzie — i dobrze proszę, nie pamiętam, kiedym zasnął.

No, przecież, że śpi jeszcze, więc proszę, mam trochę czasu myśli zebrać. (*Przechadza się.*)

Gwałtem mnie proszę ciągną — musiałem i dziewczynie głowę zajechać, gwałtem mnie proszę ciągną, gwałtem. No, a oni Zawały rachują sto tysięcy rubli, ale to proszę warto więcej, znacznie więcej.

Tylko, czym się z Celestynową proszę, nie pospieszył. Nie wchodzić w żadne rachunki z opieki. Toż to proszę, pięć lat, liczę przynajmniej sześć tysięcy rubli w rok, to proszę lekko liczę, trzydzieści tysięcy rubli. No, a do tegoż i procent proszę od każdorocznej intraty. — No, to proszę, percepta, a w ekspensie proszę, co? cóż to oni na nią wydają? Nic. Wyraźniem się pospieszył.

Możeby proszę, rzucić słówko, żeby się było o co później zaczepić. — Ale ba, djabeł proszę

nie śpi, a Celestynowa w ciemię nie bita, gotowa skrewić. Choć to proszę takiej partyi jak ja nie co dzień znajdzie, bo to proszę, i czterysta dusz, i umie się niemi zakierować — jednak lepiej z Celestynową na dysymulacyi, niechno się proszę już interes zrobi. (*Siada i dobywa z zanadrza papier.*)

Tak mnie gwałtownie proszę, wczoraj porwali, żem nie miał proszę czasu zajrzeć w raport, a widzę, że już ekonom coś proszę miarkuje o moich konkurach, i raport mi podsunął na wsiadanem. (*Czyta.*) Zostawało remanentem...

LUDGERD (*elegancko ubrany, stanął za nim i uderza go po ramieniu*).

Owszem, prosimy — jak honor kocham prosimy. Co? zostawało remanentem.

ANTONI (*składa papier i chowa*).

I znowu, znów, Bóg wie kiedy, proszę, minutę czasu znajdę.

LUDGERD.

Prosimy, co? zostawało remanentem.

ANTONI.

E... proszę pana, co tam pan Ludger wie o gospodarstwie?

LUDGERD.

Za pozwoleniem, primo Ludgerd, litera docet, litera nocet.

ANTONI.

Ja nie łacinnik, proszę pana, ha, ha, ha!

LUDGERD.

A secundo, dla czego pan sądzisz, że się nie znam na gospodarstwie?

ANTONI.

Bo proszę pana, pan nie masz na czem gospodarować, ha, ha, ha!

LUDGERD.

A więc znowu. Primo, jak pan wiesz, że nie mam na czem gospodarować?

ANTONI.

Proszę pana, wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

LUDGERD.

A secundo, właśnie zamyślam gospodarować... na Zawałach.

ANTONI.

Na Zawałach panny Maryanny?

LUDGERD.

Tak jest, chcą mnie żenić z Marynią.

ANTONI (*na stronie*).

Patrzcie go — a, to proszę, coś nowego...

LUDGERD.

Ale pan podobno sąsiadujesz z Zawałami?

ANTONI.

A proszę pana o miedzę.

LUDGERD.

Więc mi pan powiedz, co to jest?

ANTONI.

Złote jabłko, proszę pana, kapitalna wieś — jaka ziemia, jaka woda, proszę pana, jakie lasy...

LUEGERD.

Ja nie o to pytam — powiedz pan, co to może być warto?

ANTONI.

Górą sto tysięcy rubli, proszę pana.

LUDGERD.

Tfu!

ANTONI (*wstając*).

Jakto tfu? — Tfu sto tysięcy rubli, tfu Zawały?

LUDGERD.

Sądziłem, że to przynajmniej milion.

ANTONI (*na stronie*).

Patrzcie go?

LUDGERD.

Bo samże pan rachuj, proszę.

ANTONI.

No, no, proszę pana rachujmy.

LUDGERD.

Co najmniej potrzebuję z żoną, co najmniej, to rocznie dziesięć tysięcy rubli.

ANTONI.

Co?

LUDGERD.

I do tego mam długi, z których przynajmniej coś zapłacić muszę — chociażby dla kredytu.

ANTONI.

Jak? proszę pana.

LUDGERD.

Słowem, że z żoną co najmniej, już co najmniej potrzeba mi rocznie dwanaście tysięcy rubli.

ANTONI.

No, to ekspensa, ale percepty, proszę pana, nie widzę — ha, ha, ha!

LUDGERD.

Pomaleńku — już tylko o to idzie, żeby zekwilibrować budżet.

ANTONI.

At.

LUDGERD.

Rachujmy dalej.

ANTONI.

Ja tak, proszę pana, rachować nie umiem.

LUDGERD.

Zawały mi dadzą — tak, sześć tysięcy rubli.

ANTONI.

Dadzą, ale nie panu — ha, ha, ha!

LUDGERD.

A drugie sześć tysięcy trzeba wyeskontować kredytem na przyszłe spadki — bo już też oczywiście, że Celestynowa stara, Ferdynandowa niepłodna, a Jan się nie ożeni.

ANTONI.

A ja proszę pana myślałem, że prawdziwy rachunek; cóż to taki rachunek?

LUDGERD.

Ścisły rachunek, jak honor kocham, i dla tego ożenię się z Marynią.

ANTONI.

Ja myślałem, że doprawdy rachunek — a to gruszki na wierzbie, proszę pana.

LUDGERD.

Miliony! muszę mieć miliony — a dopiero wam pokażę, jak to żyć po pańsku!

ANTONI.

A tymczasem, proszę pana, żeby choć czterysta dusz.

LUDGERD.

Mój panie, czterysta dusz a nic, to wszystko jedno.

ANTONI.

Co?

LUDGERD.

Czterysta dusz mieć, jest to żyć jak ekonom.

ANTONI.

Ha, ha, ha! żeby choć dwieście, proszę pana — (*wchodzi Celestynowa, za nią nieśmiało Marynia*).

CELESTYNOWA.

Panowie już ubrani — jakżeż się spało?

LUDGERD.

Przewybornie! jak honor kocham, przewybornie — a oto koledze dobrodziejowi dwa razy przewybornie się spało — bo raz z wieczora spał jak najsmaczniej w krześle, ukołysany dźwiękiem mojej konwersacyi, a kiedym go bez przebudzenia rozebrać i w łóżko pokładać kazał, po raz drugi, jak honor kocham, aż do samego rana spał przewybornie, chrapiąc.

(*Marynia parska ze śmiechu, a potem się wstrzymuje.*)

CELESTYNOWA (*obraca się do niej z niecierpliwością, ale zaraz się mityguje i uśmiecha*). Panowie darują — to dziecko natury... nie uważa...

ANTONI.

A, proszę pani, w samej rzeczy nie pamiętam jakem zasnął — ale gdzież proszę pani, po północy to u tego pana wieczór.

(*Ludgerd rozmawia cicho z Marynią w głębi.*)

CELESTYNOWA (*do Antoniego na scenie*). Hm, hm. No i cóż towarzysz?

ANTONI.

A, proszę pani, a jakie fumy, a jakie srebrne gotowalnie, a chińskie szlafroki materyalne, a cygara — powiada, że po pół rubla jedno — proszę pani, czy to być może, żeby jedno cygaro kosztowało pół rubla?

CELESTYNOWA.

Głupstwo, cygaro pół rubla.

ANTONI.

Niech będzie, proszę pani i po pięćdziesiąt groszy, a to pali jak słomę — i proszę pani, jak to starczy?

CELESTYNOWA.

I ja to nieraz myślałem.

ANTONI.

Bo proszę pani, to przecie każdemu wiadomo, że na ich trzech zostały Barczymuchy z długiem bankowym. — No, to proszę pani, najwięcej, najwięcej liczę, dwadzieścia tysięcy rubli. — Niech

remanenta pięć, proszę pani, już kładę sześć, to dwadzieścia sześć tysięcy rubli — kładę proszę pani na każdego dziesięć tysięcy rubli — to już proszę pani szeroko liczę. — Oo, proszę pani, cóż pani teraz myśli, że on wydaje rocznie?

CELESTYNOWA.

A któż go tam wie? głupstwo.

ANTONI.

Proszę pani, kładę lekko trzy tysiące rubli rocznie. A takiego lat siedm, proszę pani, więc lekko liczę dwadzieścia jeden tysięcy rubli. — No, a jeszcze proszę pani procenta. I wymówił się że ma długi.

CELESTYNOWA.

Więc cóż?

ANTONI.

Więc oczywiście proszę pani, utracyusz.

CELESTYNOWA.

Głupstwo. — Boję się Ferdynandowej — i boję się, żeby Jana nie sprowadziła na mnie.

ANTONI.

Toż proszę pani, pan Jan porządny człowiek.

CELESTYNOWA.

Jan przekora i współopiekun, tak jak Celestyn, tak jak Ferdynand, głupstwo — a Ferdynandowa jak sobie co w głowę włoży. — Ale pamiętaj, panie Antoni, że śmierciąby było na moje czułe serce, rachować się tak, jak z własnem dzieckiem.

ANTONI.

Toż proszę pani, umowa rzecz święta. (*Cele-*

stynowa odchodzi do drugiej grupy.) (*Na stronie.*) Znowu się proszę pośpieszyłem, i coraz dalej, coraz głębiej brnę z tą Celestynową. — I czego? proszę czego? kiedy już i z samego rachunku wypada, że tamten utracyusz.

Wchodzi FERDYNAND *i* CELESTYN.

CELESTYN.

Już dalipan nie wytrzymam dłużej — o szóstej filiżaneczkę kawy bez niczego, a tu już dziesiąta dochodzi — wódki, gwałtu wódki! (*Służący podaje wódkę.*) W twoje ręce, panie bracie! (*Pije.*)

FERDYNAND (*sięga ręką i cofa się, a po pauzie wraca i pije*).

Tylko mnie nie wydajcie przed żoną — ha, ha, ha!

CELESTYN (*obracając się do Antoniego i Ludgerda*).

Ale gdzież ja mam głowę? może panowie...

LUDGERD.

Dziękuję — ja likier pije po czarnej kawie.

ANTONI.

Dziękuję, proszę pana.

CELESTYN.

Coś i ty panie Antoni modniejesz, a ztąd widzę, że cię piołunek zaszedł.

(*Wchodzi* FERDYNANDOWA.)

CELESTYNOWA.

Siostrunia kochana!

FERDYNANDOWA.

Siostrunia kochana! (*Sadowi się jak zwykle.*) Ferdynandzie!

FERDYNAND (*zbliża się do pocałowania ręki*).

Dobry dzień aniołeczku.

FERDYNANDOWA.

Fi! jak z kufy. (*Lornetuje, telegrafując kłania się — Ferdynand tymczasem układa poduszki.*) Ale niech też uściskam tę drogą Marynieczkę. (*Marynia całuje ją w rękę.*) Istny portret matki. (*Marynia prędko łzę ociera, Ferdynandowa długo dobywa chustki z manszonika i długo oba oczy obciera*).

CELESTYNOWA (*półgłosem do męża*).

Widzisz — rozumiesz?

CELESTYN (*podobnież.*)

Rozumiem, to w interesie Antoniego.

CELESTYNOWA.

Głupstwo, o też to masz z tem głupcem czas tracić.

CELESTYN.

Albo co?

CELESTYNOWA.

Nic — proszę mi mówić z Marynią, i to zaraz, nie tracąc czasu. — Jak pójdziem na herbatę, tu się zostać i czekać. — (*Głośno do Ferdynandowej.*) Może siostrunia droga przejdzie do saloniku zielonego, na herbatę.

FERDYNANDOWA.

Zaraz, siostruniu droga. Panie Ludgerd. (*Półgłosem.*) No, i cóż narzeczona?

LUDGERD.

Mała? — Jak honor kocham, subretka — bez dowcipu i uczucia — ale z twoich rąk pani, i to przyjmuję.

FERDYNANDOWA.

Uformujemy ją—damy jej dystyngowany polor.

LUDGERD.

I świecić będzie, jak księżyc, blaskiem słońca.

FERDYNANDOWA.

A rywal?

LUDGERD.

Bryła ziemi.

FERDYNANDOWA.

Cóż to za kontrast dla pana Ludgarda! tu eter, tam materya.

Jednak zniszczyć go potrzeba, w proch zetrzeć. — Marynię trzeba olśnić.

CELESTYNOWA (*na stronie.*)

Kukła, kukła — trzy razy już herbatę wyleli. (*Głośno.*) Droga siostruniu — wiemy że extra miły dowcip pana Ludgerda — ale ziółko chińskie ma swoje prawa.

FERDYNANDOWA.

Służę ci siostruniu droga. (*Idą z przyzwoitą ceremonią.*)

CELESTYN (*sam*).

Jak pójdziem na herbatę, tu się zostać i czekać — więc zostałem i czekam. Coś dzisiaj nie w humorze — i nie dziw, dali pan nie dziw. Temu o północy ognia na kominku potrzeba, a to

właśnie imość kominków nie lubi, bo to drzewo niesłychanie zjada. I znowu żeby mu było dziś zrana do herbaty mięso z krwią, a tu się Piotr zaprzysiągł, że nie wyda surowego mięsa z kuchni — a ta znowu na dziewiątą obstalowuje herbatę z szynką i z jajami, a sama przychodzi po dziesiątej; że i herbatę dwa razy wylewał i jaja stwardniały.

Nie dziw, dalipan nie dziw — a jak zasiądzie, to pół godziny filiżanki myje, i talerze serwetą wyciera, że aż lokajom przykro.

A wszystko jej czemś odraża: wodę czuć dymem, masło garnuszkiem, bułkę drożdżami.

No, już moja trudna do przeprowadzenia, ale nie taka wymagająca.

MARYNIA (*wchodzi*).

Stryjenka prosi stryja na herbatę.

CELESTYN.

Idę rybeczko, idę. (*Idzie, a potem staje, i na stronie.*) Ale nie, to taki manewr mojej żony, żeby mi dać porę jej powiedzieć... to prawda, że Metternich. (*Głośno.*) Zatrzymajno się, Maryniu, mam z tobą do pomówienia.

MARYNIA.

Ale stryjenka czeka.

CELESTYN (*tonem podniesionym*).

Nic, to nic, stryjenka zaczeka, zaczeka — ale cóżem to chciał powiedzieć? moja Maryniu.

MARYNIA.

Ja nie wiem stryjaszku.

CELESTYN.

Ale — oto — czy ty wiesz że jutro zaczynasz rok ośmnasty?

MARYNIA.

Jakże nie wiem, i wiem o surpryzie, co dla mnie szyją.

CELESTYN.

Jakiej surpryzie? ale kiedy, bo mnie zbijasz z tropu, nic bo nie mów.

MARYNIA.

Kiedy stryjaszek się pyta.

CELESTYN.

Ty bo myślisz, — że to fiu, fiu, a to rzecz ważna; oto trzeba, żebyś wyszła za mąż.

MARYNIA.

Od was? za mąż?

CELESTYN.

Tak za mąż. — Bo chociaż to był kłopot — ale prawda, nie było kłopotu; więc trzeba, żebyś wyszła za mąż. — Cóż, nic nie mówisz?

MARYNIA.

Cóż mam mówić?

CELESTYN.

Trafia się bardzo dobra partya; człowiek bardzo przyzwoity; i majątek jest, i nie utracyusz — pan Antoni...

Nie świstak, nie sowizdrzał, co cię zrujnuje, a potem porzuci. — No, cóż ty na to?

MARYNIA (*wzruszona*).

Zdawało mi się, że właśnie przyszedł dla mnie

czas wypłacenia się wam przywiązaniem i staraniami, za starania i miłość waszą, a tu mnie wyganiacie od siebie...

Zdawało mi się, że teraz, kiedy już surowość wychowania ustaje, doświadczę wyraźniej miłości waszej, i ślady jej już mi się zdawało w ciotkach spostrzegać.

CELESTYN.

Patrzcie no, jak się ząbki przetarły; któżby cię tam wyganiał, któżby cię nie kochał?

MARYNIA.

Jednak, jeżeli nie ma być, jak mi się zdawało, jeźli to wszystko złudzenie, pójdę za tego, kogo mi wy, opiekunowie, w zastępstwie rodziców przeznaczycie; — ale was gorąco upraszam, nie nalegajcie na mnie, aż mi Bóg da natchnienie, bo być nie może, żeby mi go rodzice nie uprosili u Boga — i on w takim momencie nie opuści sieroty. (*Głos jej coraz więcej rozkwilony, kończy łkając.*)

CELESTYN (*rozczulony całuje ją w głowę*).

Dalipan, że masz racyę — i Bóg cię nie opuści, i my cię nie opuścimy, i nikt cię naglić nie będzie, ale mi tylko nie becz. Otrzyj oczki i przejdź się trochę, a tam się tak nie pokazuj. (*Jeszcze raz całuje ją w głowę — Marynia odchodzi.*) (*sam*). Dalipan że ma racyę, i co tak nagłego? (*po zastanowieniu się*). Ale czym to ja jej tak wszystko powiedział, jak imość chciała. Tak, zdaje

się wszystko — tylkom nie stanął fer — e — bo się rozbeczała.

(*Wychodzi temi drzwiami co do śniadania.*)

(*Po pauzie przychodzi* SZUMEJKO *i przechadza się.*)

SZUMEJKO (*sam*).

Historye, — domem zakręcili — a najgorzej ten z tym swoim kamerdynerem Kochanowskim. No, kto temu Kochanowskiemu dogodzi, będzie mądry. Ale pal ich djabli — to gorzej, że panienkę spotkałem zapłakaną.

JAN (*wchodzi w kurtce bajowej*).

Jak się ma pan Szumejko? pan Szumejko, a państwo są?

SZUMEJKO.

W zielonym saloniku herbatę piją.

JAN.

Ba, okazya?

SZUMEJKO.

I jaka?

JAN.

Cóż się święci, no, co święci?

SZUMEJKO.

Państwo Ferdynandostwo przywieźli pana Ludgerda, pani posłała po pana Antoniego, a panienkę spotkałem zapłakaną. To wszystko panu mówię, jako opiekunowi, i dla dobra panienki. (*Chce odchodzić, Jan go zatrzymuje.*)

JAN.

A obiad?

SZUMEJKO.

O czwartej.

JAN.

To już Ludgerd, to Ludgerd — więc mi każ śniadanie zrobić (*Szumejko odchodzi.*) (*Sam.*) No, spodziewałem się nowego — tylko że siostrunie dobrodziejki niespodziewały się przybycia najdroższego braciszka, braciszka. (*Chodzi i zaciera rece.*) (*Wchodzi Marynia, całuje stryja w rękę, a on ją w głowę.*) Cóż to moja Maryniu, cóż to? oczęta zapłakane, cóż to? opiekun pyta.

MARYNIA.

Mówiono mi o małżeństwie.

JAN.

A ty? chcesz, nie chcesz?

MARYNIA.

Całą prawdę winnam wam, co mi zastępujecie rodziców, i bez wahania się zrobię co rozkażecie — chociaż idąc za natchnieniem, wolałabym była wybrać w rodzinie, i kogoś więcej w życiu wypróbowanego — ale dzisiaj nie myśleć o tem, a tylko was proszę, nie naglijcie na mnie.

JAN (*żywo*).

Dla czego nie myśleć, nie myśleć — (*z przyciskiem*) owszem, myśleć, właśnie myśleć. (*Głaska ją po głowie.*) Już to ja ci powiadam, tak będzie, jak sama chcesz, chcesz, i nikt o nic na ciebie nalegać nie będzie, nie będzie.

(*Marynia całuje go w rękę i odchodzi do śniadających.*)

JAN (*sam*).

Ani mi to przeszło przez głowę, przez głowę, dalipan, że komedya — już jaśniej trudno się było wytłumaczyć. (*Chodzi i zaciera ręce.*) No,

Jasiu, teraz masz, dziewczę jak jagoda, posag tęgi, i sama ci się oświadczyła.

Czy tylko — ale gdzież — dziewczę wyraźnie niewinne jak gołąbek. Trudnoście, jakie trudnoście? dyspensa — i czy to ja pierwszy; — a co do niej, kiedy sama chce, a jutro wychodzi z opieki. No, teraz Jasiu masz wóz i przewóz.

Kusi, kusi, djable kusi.

Ej Jasiu, głupstwo zrobisz — dotąd się trzymałeś dzielnie — a na starość, mam ledwie 54, a wyglądam na 40.

Pantofel, pantofel, ej trzymaj się Jasiu — ba, alboż to ja Ferdynand, albo to ja Celestyn?

A jak ci kto powie — a jak ta pod najmniejszem czepkiem. — Pal go djabli, pal go djabli — i właśnie się ożenię. (*Chodzi coraz prędzej i zaciera ręce.*) Celestynowa się wścieknie, a Ferdynandowa dostanie apopleksyi nerwowej, nerwowej.

Scena III.

(FERDYNANDOWA *siedzi w fotelu, obłożona jak zwykle poduszkami — przy niej* CELESTYNOWA; MARYNIA *haftuje na krosnach — przy niej* ANTONI *i* LUDGERD.)

LUDGERD.

Otóż dziś rano, jak honor kocham, miałem długą konwersacyą z Mykitą. — Proszę cię, panie Antoni, czy nie był Mykita gumiennym?

ANTONI (*naiwnie*).

Nie, ale czasem posyłam go do lasu.

LUDGERD.

Więc gajowym — a jak honor kocham, domyślałem się pod kamerdynerem oficyalisty ekonomicznego.

ANTONI.

Dla czego, proszę pana?

LUDGERD.

Bo już też przyznasz, mój panie Antoni, że i na lokaja nawet nie wygląda. (*Antoni się krzywi.*) Otóż Mykita pokazywał mi szlafroki pańskie — jeden od parady, taki jak u Abrahamka w Litynie, czerwono-zielono-żółty; — drugi od dnia powszedniego... Ale, mój panie Antoni, podarujże go Mykicie do noszenia, jak wraca z lasu, bo fatalnie załojony — a ja ci już sprawię czysty.

FERDYNANDOWA.

Ah — fi!

ANTONI.

Bardzo dziękuję, proszę pana, mam 400 dusz, to mi jeszcze na szlafrok stanie.

CELESTYNOWA.

Ale zkąd też pan Antoni dostał te piękne kasztanki, któremi wczoraj przyjechał?

ANTONI.

A, już to, proszę pani, prawda, że piękne, ale też i pięknie kosztują. Pani wie, naręczny dyszlowy sto karbowanych, jak obszył — a pani uważała kobyłkę na szwarcu, proszę pani — albo i chomonta — już to prawdziwie, proszę pani, pańska piątka.

LUDGERD.

Panowie piątkami nie jeżdżą.

ANTONI.

Jakże, cugami? to proszę pana, żonaci cugami.

LUDGERD.

Panowie swojemi końmi nie jeżdżą.

ANTONI.

A jakże, cudzemi? ha, ha, ha!

LUDGERD.

Albo pocztą, albo żydem i to z rozstawką — bo panowie nie mają odwagi truchtem jechać.

FERDYNANDOWA.

A propos, ekwipażów — czy też pan Ludgerd odstąpił księciu Kazimierzowi swój offenbachski powóz? cóż to za dystyngowany powóz?

LUDGERD.

Nie mogłem, jak honor kocham, nie mogłem, — chociaż się Kazio strasznie napierał, i czterysta dukatów mi dawał — nie mogłem — nie mam sam czem jeździć, bo nie mogę znieść trzęsienia tych pojedyńczych resorów.

MARYNIA (*na stronie*).

Co to stryj Jan chciał przez to rozumieć — myśleć, i owszem, myśleć — dziwna rzecz, może co wie o Józefie?

(*Wchodzi* CELESTYN, FERDYNAND *i* JAN, *prowadzony przez braci, we fraku, choć nie bardzo modnie ubrany.*)

CELESTYN.

Wystawcie sobie państwo, że się Jaś ubierał.

FERDYNAND.

I patrzcie, jaki wyświeżony!

CELESTYNOWA.

To już do drogiej siostruni — bo myśmy tu przywykli do bajowej kurtki i długiej brody kochanego braciszka; (*na stronie*) proszę, jakie atencye. (*Głośno.*) Kochany braciszek!

JAN.

Droga siostrunia, siostrunia!

(*Ukłony z panami młodemi — Marynia całuje go w rękę, on ją w głowę. Ferdynandowa telegrafuje na Jana.*)

JAN (*siada koło niej*).

Kochana siostrunia! (*na stronie*) trzeba z niemi delikatnie, z taktem.

FERDYNANDOWA.

Kochany braciszek! (*na stronie*) Jeśli go nie zneutralizuję, to oczywiście ten nieokrzesany niedźwiedź pójdzie za tamtym nieokrzesanym niedźwiedziem.

CELESTYNOWA (*na stronie*).

Oczywiście kukła go sprowadziła. (*Siada przy nich, głośno*). Kochany braciszek! jednak to nie masz jak familia, braciszku drogi — sama natura wskazuje.

FERDYNANDOWA.

Krew — ta sama krew — drogi braciszku.

CELESTYNOWA.

Jakże tam, temi czasy, zdrowie kochanego braciszka — podagra się nie odzywała?

JAN (*kręci się na krześle*).
Ja zdrów zupełnie, zupełnie.

CELESTYNOWA.
Otóż kochany braciszku, nie ma na podagryczne ataki...

JAN (*przerywając*).
Ależ ja nie mam ataków — ataków.

FERDYNANDOWA (*do Celestynowej półgłosem*).
Nie udało się kochanej siostruni (*Głośno do Jana*). Kochana siostrunia, przez zbytek troskliwości, mylnie uważa to za ataki podagryczne — a my wiemy, wszak prawda braciszku kochany, że to artresis Vaga... (*Jan coraz więcej się kręci i pogląda na Marynię.*) Otóż wierzaj mi kochany braciszku, na to nie masz, jak umszlagi. (*Jan się coraz gorzej niecierpliwi.*) Wykręcić mocno mokry ręcznik — (*Jan coraz gorzej*) albo abreiben — (*ditto*) albo prześcieradełko.

CELESTYNOWA (*półgłosem do Ferdynandowej*).
Nie udało się, kochanej siostruni. (*Głośno.*) Już to kochana siostrunia zawsze z umszlagami, a braciszek kochany wie dobrze, nieprawdaż, że tu nie idzie o nogi, ale o części szlachetne; a właśnie, u kochanego braciszka piersi...

JAN (*zrywa się z krzesła*).
Zdrowiuteńki jestem, kochane siostrzyczki dobrodziejki, zdrowiuteńki — i was jeszcze obie przeżyję, przeżyję i upraszam nie troszczyć się zawczasu o mój spadek, upraszam. (*Na stronie.*) Małpy —

leczyć pana młodego... (*przechadzając się, idzie w głąb sceny*).

2. Grupa.

LUDGERD (*do Maryni*).

Cóż, pani, tak seryo?

MARYNIA.

Nie mogę się śmiać z żartów pańskich, bo każdy kosztem pana Antoniego.

ANTONI.

Ha, ha, ha! proszę pana, pan oberwał.

MARYNIA.

Wprawdzie pan Antoni wszystkie koszta znieść może, bo ma czterysta dusz.

ANTONI.

A tak, proszę pani, czterysta dusz.

MARYNIA.

I remanenta — samej chlewni sztuk...

LUDGERD.

Ha, ha, ha! przedziwnie, jak honor kocham, przedziwnie.

ANTONI (*półgłosem do Celestynowej*).

Niby to od niechcenia opowiadałem jej co mam, bo proszę pani to wszystko jej będzie.

3. Grupa.

CELESTYN (*do Ferdynanda*).

Odprawiłem Telembeckiego, bo już to sama wielka pani, i zupełnie nie chodzi koło przędziwa.

FERDYNAND.

To tak i z moim leśniczym — spokojne człeczysko, ale niewiedzieć zkąd mu się wzięło, że zaczął chybiać mojej żonie, aż biedaczka spazmów dostała. Bo jużto wiesz, że ja się do niczego wtrącać nie daję, ale też i jej chybiać nie pozwolę — wziąłem na jego miejsce Oszustowicza, co to się ożenił z garderobianą mojej żony.

CELESTYN.

No, już to moja sobie chybiać nie da, to Meternich.

JAN (*zbliżając się do braci*).

No, i cóż tam, rozpamiętywania, (*do Celestyna*), o szerokiej spódnicy, (*do Ferdynanda*) i o maleńkiej spódnicy?

FERDYNAND.

Jużto prawda, że biedny Celestyn, ha, ha, ha!

CELESTYN (*patrząc w okno*).

Ot, i ktoś jedzie.

LUDGERD (*patrząc w okno*).

Zapewne oficyalista za służbą, jakaś mizerna bryczka.

ANTONI (*patrząc*).

Nawet nie najtyczanka, i jakiś tłumoczek wynoszą, ha, ha, ha!

MARYNIA (*patrząc*).

To Józef.

CELESTYN.

Dalipan, Józef.

FERDYNANDOWA (*do Celestynowej*).
Zkądże to znowu?

CELESTYNOWA (*rusza ramionami*).
Głupstwo.

FERDYNAND (*patrząc w okno*).
A, Józef — jaki się robi podobny do Tadeusza.

JAN (*na stronie*).
Mój spadek, spadek, a może i ten mi zechce zajrzeć w kieszeń — ale wara, wara.

(*Józef wchodzi, ubrany w grube siwe palto, wita się ze wszystkiemi — napród z damami.*)

CELESTYN (*serdecznie*).
Józef! Józef!

FERDYNAND (*serdecznie*).
Józef! Józef!

JAN (*ostrożniej się wita*).

FERDYNAND.
A nie mówiłem, jak podobny do Tadeusza.

CELESTYN.
Józefisko!

CELESTYNOWA.
A, pan Józef.

FERDYNANDOWA (*lekkie kiwnienie głową*).

CELESTYN (*do Antoniego i Ludgerda*).
Nasz Józef — nasi przyjaciele: pan Antoni, pan Ludgerd.

MARYNIA (*silnie mu ściskając rękę*).
Józefie, jakżeś ty się zmienił?

JÓZEF.

Chcesz mówić zestarzał, Maryniu — kilka lat, ale długich.

CELESTYN.

No, i cóż — gadaj — coś robił? co robisz?

JÓZEF.

A cóż, jakem wrócił z podróży, pierwsza myśl była, do gniazda — alem nie chciał się wam pokazać — jak żebrak za chlebem.

CELESTYNOWA (*kręci się na krześle*).

CELESTYN (*podaje Józefowi rękę*).

No — Józiu.

JÓZEF.

Miałem listy na Ukrainę — tam jeszcze są panowie — i zaraz ofiarowano mi dzierżawę.

ANTONI.

Dzierżawę?

JÓZEF.

Dzierżawa była zbyt tania.

ANTONI.

Ale ciężkie warunki — rozumiem, proszę pana.

JÓZEF.

Tak jest, warunki nie do przyjęcia — wypłata z dołu, to się znaczy, że jak będziesz miał z czego zapłacić, to zapłacisz — z serca podziękowałem.

ANTONI (*osłupiały*).

Jakto, proszę pana?

CELESTYNOWA (*do Ferdynandowej*).

Żeby nam spaść na kark.

JÓZEF.

Więc z pięciuset rubli, co mi stryj łaskawie przysłał, z podziału remanentów...

JAN.

Jak to? pięćset?

CELESTYN (*do Jana*).

Widzisz wydatki były — już to spuść się na to — moja żona dobrze wyrachowała.

JÓZEF.

Za trzysta wziąłem maleńką dzierżawę, dwieście włożyłem w remanenta — i zacząłem się babrać w ziemi.

ANTONI (*półgłosem do Ludgerda*).

Proszę pana, cóż to posesya za 300 rubli sr. tenuty?

CELESTYNOWA.

Ale z czegoż to żyć?

FERDYNANDOWA.

I ubrać się przecie trzeba przyzwoicie.

JÓZEF.

Tak chodzę, jak mnie widzicie.

FERDYNAND (*obzierając go*).

Tak?

JÓZEF.

I tak nawet przyjmuję u siebie wielkich panów i piękne damy, co mnie czasem nawiedzają; jeśli daru odmówiłem, to przyjemnego towarzystwa nie odmawiam. (*Moment milczenia.*)

JAN.

Ot, i dalipan, dobrześ zrobił — zrobił. (*Na*

stronie.) Trzeba mu jednak będzie rękę podać; — tylko nie zapędzaj się Jasiu — masz przecie teraz obowiązki, obowiązki.

CELESTYN.

Taki co krew, to krew.

FERDYNAND.

Syn Tadeusza.

CELESTYNOWA.

Hm, hm. Piękna to rzecz, niezawisłość od ludzi i losu.

FERDYNANDOWA.

Tylko żeby we fraku.

MARYNIA (*podaje Józefowi rękę*).

Józefie!

LUDGERD (*na stronie*).

Pokazuje się, że i o tego oryginalnego kuzynka łaski starać mi się przyjdzie, jak honor kocham — coraz to milsza partya.

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Dali do stołu.

CELESTYN.

Do stołu — dali do stołu — moja duszko, dali do stołu. (*Ruszają się.*)

FERDYNANDOWA.

Ferdynandzie! (*Ferdynand odkłada i porządkuje poduszki.*)

CELESTYNOWA (*do Celestyna*).

Hm, hm, podajże rękę.

(Pokazuje na Ferdynandowę — sama bierze Jana i Ferdynanda w drugą parę, a wszystko z przyzwoitą ceremonią — Ludgerd się zbliża do Maryni z piękną miną.)

CELESTYNOWA (*do Antoniego półgłosem*).

Głupstwo, podaj rękę Maryni, tamtemu przed nosem.

ANTONI.

Jak?... a rozumiem.

(Ludgerd i Antoni podają rękę Maryni w tym samym momencie; Marynia się cofa.)

LUDGERD (*z groźbą do Antoniego*).

Nie pan.

JÓZEF (*naturalnie*).

Widzę, że panów pogodzić muszę.

(Podaje rękę Maryni i przeprowadza ją między nich — oni mierzą się wzrokiem i obzierają się za siebie. — Nadbiega Ferdynandowa i przeprowadza Ludgerda — nadbiega Celestynowa do Antoniego.)

LUDGERD (*mijając Antoniego*).

Mówiłem, że nie pan.

ANTONI (*do Celestynowej*).

To szczęście, proszę pani, że pani nadeszła, bo już byłbym bryznął impertynencyą.

Kurtyna zapada.

AKT II.

Scena I.

JAN — MARYNIA.

JAN.

No, i cóż jagódeczko? (*Milczenie.*) Namyśliłaś się nad tem, com ci powiedział? (*Milczenie.*) Zrozumiałaś, że można myśleć, (*Marynia całuje go w rękę*) a widzisz, że można — i taka malineczka, warto, żeby się dostała w ręce człowieka porządnego. — Cóż, ty dziś ani mru, mru!

MARYNIA (*cichym głosem*).

Byle ten porządny człowiek mnie chciał.

JAN.

No, to już spuść się na mnie, na mnie — ja ci powiadam, że chce — (*na stronie*) Jasiu, nie puszczaj się... i powagę zachowaj — kiedy, bo dalipan trudno, trudno. Człowiek nie z gliny, a tu ci sama w ręce lezie.

MARYNIA.

Do tego stryj Celestyn życzy sobie pana Antoniego, a ciocia Ferdynandowa pana Ludgerda.

JAN.

A ty ich obu nie chcesz?..

MARYNIA (*naturalnie*).

Oczywiście.

JAN.

Przedziwne oczywiście — przedziwne oczywiście, oczywiście — masz racyę Maryniu, ten dureń, a tamtem stawinoga. — Masz racyę, ty czegoś lepszego warta, choćby za to samo oczywiście — niechże cię w głowę pocałuje, za to oczywiście.

(*Całuje ją w głowę i przechadza się.*)

MARYNIA (*na stronie*).

Kochany stryjaszek! Nigdym go nie widziała tak wesołym. — Ale zkąd on wie?.. ach, jakaż ja głupia — jakżeby nie miał wiedzieć o zamiarach mojego ojca... chce, bardzo chce — więc Józef nie zapomniał.

JAN (*seryo*).

Maryniu, tylko mi tych kawalerów zdaleka trzymaj — do tego nawyknij zawczasu, zawczasu. A zresztą, ja wszystko biorę na siebie, na siebie. Ja trudności pokonam, i zrobi się to, co ty chcesz, co ty chcesz. (*Marynia całuje go w rękę — nadchodzi Celestyn.*) A, dobrze żeś nadszedł, panie bracie, bracie. Powiedzno mnie — to ty prowadzisz Antoniego do Maryni?

CELESTYN.

Nie ja — to jest... ja mówiłem... ale...

JAN.

Co ale, ale?

CELESTYN.

Ale ja wiem, że on jej nie wart, że on...

JAN.

Więc czegóż go prowadzisz — prowadzisz?

CELESTYN.

Widzisz bo... tak z interesu wypada... dobrze tobie.

JAN.

A ja ci panie bracie powiadam, powiadam — że na to nigdy nie pozwolę. Że to dureń, dureń — że natychmiast idę do twojej żony, żony — i że tak będzie, jak Marynia chce, chce.

CELESTYN.

A idź i owszem — i ja sobie tego nie życzę — to jest życzę — tylko... tylkom się dotąd nie zdecydował. (*Jan odchodzi.*) Otóż go masz i poszedł! — O... to tam będzie. — Ale prawda, że ja nic nie mówiłem przeciwko Antoniemu. (*Do Maryni.*) Ale to bardzo pięknie, panno Maryanno, żeby z Jasiem mieć przedemną sekreta. — Cóżeś ty jemu mówiła, że chcesz?

MARYNIA.

Ja nicem nie mówiła, drogi stryju — gdybym co mówić miała, powiedziałabym była wam, u których tyle lat bawię, raczej niż stryjowi Janowi, którego widuję rzadko. — Ale to właśnie stryj mówił... o tem, co było życzeniem mojego ojca... o Józefie...

CELESTYN.

A prawda, że to pan Stefan byłby chciał... a dalipan dobrze... tylko że hołysz... ale kiedy Jaś prowadzi, to Jaś zapisze.

Dalipan dobrze, majątek zostanie w imieniu, dalipan dobrze. I ty chcesz?

MARYNIA.

Kiedy to było wolą ojca?

CELESTYN.

To się znaczy że chcesz — dalipan dobrze — pójdę zaraz powiem imości — ale prawda, już Jaś poszedł, to lepiej. (*Wchodzi Józef.*) O wilku mowa, a wilk tu — a wiesz, dalipan dobrze.

JÓZEF.

Co dobrze?

CELESTYN.

To, za czémeś przyjechał.

JÓZEF.

Przyjechałem na moment odetchnąć powietrzem gniazdowem — i zapewne, że dobrze jest czasem odetchnąć tem powietrzem.

CELESTYN.

Ale bo to nie to.

JÓZEF.

Więc cóż?

CELESTYN.

Oto to, że nieboszczyk Stefan chciał, żebyście się kiedyś pobrali — a teraz ty chcesz Marynię, Marynia chce ciebie, więc i wesele.

JÓZEF.

Wesele, rzecz rzadka na tym świecie, kochany stryju.

MARYNIA (*żywo*).

Może mnie Józef nie chce, może ma inne zamiary, może zapomniał...

JÓZEF.

Nie, nie zapomniał, Maryniu — ale Józef chce przed wszystkiemi szczęścia twego...

CELESTYN.

Więc dobrze, więc wesele. Biegnę do Imości. (*Wstrzymuje się.*) Ale... może... tylko no, uważajcie, może lepiej o tem nie wspominać... (*Odchodzi nieśmiało.*)

JÓZEF.

Maryniu — Maryniu, cóżto się wszystko znaczy? Czy to żart? więc myślicie, że ja ubogi, nie mam w sercu dumy przynajmniej tyle, co ten głupiec o czterystu duszach, albo i tamten drugi, pan, bez prawdy i godności — kandydat na pana, co mu tylko wakansu brakuje. Nieprawdaż, że ty ich nie chcesz, Maryniu?

MARYNIA.

Nie chcę.

JÓZEF.

I za żadnego z nich nie pójdziesz?

MARYNIA.

Nie pójdę, Józefie.

JÓZEF.

Dobrze — więc spokojny odjadę. (*Przechadza się.*) Ty płaczesz? Ty płaczesz?

MARYNIA.

Józefie — tyś mi był przeznaczony od ojca, ciebie od lat wielu w sercu nosiłam, i dzisiaj, kiedym u Boga gorąco prosiła, Bóg mię natchnął tem, że tobie wierną być winnam, a ty mnie rzucasz?

JÓZEF.

Dziecko jesteś — i bawisz się jak dziecko, smołę na ogień lejąc.

I ja twój obraz prawie dziecinny uniosłem z sobą, i rzecz dziwna, dojrzał snadź we mnie, że taką samą znalazłem cię wczoraj, kiedyś mi serdeczną rękę podała. — O! w ciężkich przeprawach moich on mi był pociechą jedyną, i w ciasnej izbie i na szerokim stepie, i na górach dalekich — on mi był wszystkiem, za czem dusza tęschniła, i domem, i rodziną, i powietrzem gniazdowem.

Dzięki ci za to wszystko, Maryniu — ale ty znowu płaczesz? (*Bierze ją za rękę.*)

MARYNIA.

A dziś, kiedy ci wszystko sprzyja, kiedy mogę być twoją, ty odjeżdżasz.

JÓZEF.

Bo dziś, poznałem się bliżej z żelazną rzeczywistością. Są, którym szczęście pod nogą leży, a oni go potrącają nogą; ale mnie i najlichsza okruszyna pomyślności z kamienia przychodzi. Więc się też mnie złudzenia nie trzymają. Gdzież ty łatwości widzisz, gdzie? Bo choćbym i rachował na trwałość przywiązania twojego...

MARYNIA.

Józefie!

JÓZEF.

Mówię, choćbym rachował, to wszystko co cię otacza, nie dozwoli ci nigdy wyjść za ubogiego krewnego, co ci nie ma do dania ani jednej z tych rzeczy, które oni cenią.

MARYNIA.

Ależ sam widziałeś — stryj Celestyn...

JÓZEF.

To tak wiesz, co się tutaj dzieje, Maryniu moja? Stryj Celestyn żadnej tu woli nie ma, a ciotka prowadzi pana Antoniego.

MARYNIA.

Stryj Jan...

JÓZEF.

Co, stryj Jan?

MARYNIA.

Przed godziną ledwie, wyraźnie mi mówił, że wszystkie trudności zwycięży, i zrobi to, co ja chcę.

JÓZEF.

Rzecz dziwna — zaledwie mi rękę wyciągnął.

MARYNIA.

Więc zostajesz?

JÓZEF.

Głowę stracić trzeba — tu widzieć takie szczęście, za któremby i najwięcej od szczęścia popsuty chętnie gonił — kiedy rozum wskazuje nieprzełamane trudności.

MARYNIA.

Trudności pokonamy.

JÓZEF.

Przedewszystkiem stryja Jana wyrozumieć muszę.

MARYNIA.

Zobaczysz, jak nam sprzyja.

JÓZEF.

A choćby tak i było, to się z siostrami skłóci i wyjedzie — ja także będę musiał odjechać — a ty, ty zostaniesz sama z ciotkami, które ci życie truć będą, aż zrobisz to, co zechcą.

MARYNIA.

Józefie, tylko zostań — mówię ci, że mam natchnienie — i czyżby Bóg daremnie łudził sierotę?

JÓZEF.

Więc dobrze — i za twem natchnieniem pójdę, i poświęcę, co mam do poświęcenia, swoją dumę. Ja ubogi o ciebie bogatą starać się będę. Lecz jeżeli zobaczę, że opiekunowie twoi mnie przeciwni, usunę się, bo nie chcę, abyś im przezemnie nieposłuszna być miała — zgoda?

MARYNIA.

Zgoda — więc zostajesz?

JÓZEF.

I dzień jeden o milczenie cię proszę — póki nie wyrozumiem.

A w każdym razie Maryniu, i jeślibym ztąd odjechał w swoją twardą dolę, i jakkolwiek tobą

Opatrzność rozporządzi — pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela do śmierci.

(*Ściska ją za rękę, Marynia obcierając oczy odchodzi.*)

JÓZEF (*sam*).

Czy to sen?

Jakto? i to drugie marzenie lat złotych sprawdziłby się mogło, i to dziecię tak drogie mojemby być miało — i dla mnieby przyjść miały, tak dawno zapomniane, różowe chwile? Nie, to sen.

Rzeczywistość tu stoi — ta sama co zwykle, jak zwykle czarna — i ludzie ci sami, z któremi się dotąd pasowałem — i namiętności te same, duma, próżność, żelazny egoizm, te same, chociaż na mniejszą skalę — i ta sama ręka Boża, ciężka, próbująca — tak, i to jeszcze próba.

Panie, którego wiarę z domu wyniesioną pielęgnowałem starannie, dajże mi siły tyle, abym i tę próbę szczęścia złotego zniósł mężnie — i umiał pragnienie szczęścia poświęcić spokojności tego mi najdroższego dziecka.

(*Wchodzi Jan.*)

JAN.

Ale — nie widziałeś aść Celestynowej, pf! mam z nią pomówić — pomówić.

Ale — i do aści mam słówko — słówko.

Opuściliśmy aści trochę, tem lepiej, tem lepiej, wyrobiłeś się aści na człowieka — ale dosyć już tego, i dosyć biedę klepać, klepać. Ja przynajmniej podam ci rękę, rękę, i będziesz ze mnie kontent.

(*Na stronie.*) Co? dam mu sześć tysięcy rubli na lat pięć, pięć, bez procentu — albo lepiej nie psuć, nie psuć, zapłaci piąty procent, weźmie sobie porządną dzierzawę, dzierżawę... a... odda, jeszcze młody.

JÓZEF (*serdecznie*).

Dziękuję drogiemu stryjowi — mówiła mi Marynia...

JAN (*na stronie*).

Mówiła, mówiła — bardzo proszę, na co te konfidencye — bardzo proszę — ani gachów, ani kuzynków nie potrzebuję, nie potrzebuję. (*Głośno.*) Maryni szczęście już ja na siebie biorę, biorę. (*Słychać za sceną* hm, hm.) Ale, słyszę, Celestynowa idzie — zostaw nas.

JÓZEF (*odchodząc na stronie*).

I to zdaje się, nie sen.

CELESTYNOWA.

Drogi braciszek chciał mnie widzieć.

JAN.

Droga siostrunia — ja, po prostu, do rzeczy.

CELESTYNOWA.

Cóż to?

JAN.

Oto siostrunia droga, chcesz prowadzić do Maryni, do Maryni, Antoniego...

CELESTYNOWA.

Któż to drogiemu braciszkowi powiedział, pewnie droga siostrunia?

JAN.

Może, może — ale siostrunia droga pewnie nie zapomniała, nie zapomniała — że to i my współ opiekuni...

CELESTYNOWA.

A i mogłam zapomnieć głupstw... bo się też braciszek drogi do najdroższej pupili tak mało dowiadywał.

JAN.

To prawda, to prawda — ale teraz rzecz inna.

CELESTYNOWA.

Hm, hm. A jeśliby i tak być miało, braciszku drogi — jeśliby istotnie pan Antoni zamyślał się starać o Marynię — oświeć mnie swojem światłem — światła pragnę — i cóżbyś wtedy radził?

JAN.

Jak to radził, oczywiście odmówić, odmówić.

CELESTYNOWA.

Albo co masz przeciwko panu Antoniemu?

JAN.

To mam, mam — że mam lepszą partyę.

CELESTYNOWA.

Lepszą... hm, hm. Czy tylko lepszą?

JAN.

Alboż wiesz jaką?

CELESTYNOWA.

Tak, domyślam się drogi braciszku.

JAN.

Domyślasz się, domyślasz? — więc kiedy się aśka domyślasz, to wiesz, że nie ma co porównywać — spodziewam się porównywać, pf, pf!

CELESTYNOWA.

Waszą nieufnością, waszą dysymulacyą serce mi krajecie, nożami, nożami.

JAN.

O Antonim, siostruniu droga...

CELESTYNOWA.

Hm, hm. Pan Antoni się dotąd nie oświadczył.

JAN.

A ja ci, droga siostruniu, oświadczam, oświadczam, że z tego nic nie będzie — bo i ja i Ferdynand, nie pozwolemy na to, na to.

CELESTYNOWA.

Na co?

JAN.

I dalej ci oświadczam, że to co ja chcę, i Marynia chce — i tak się stanie, jak Marynia chce, chce. Pf, pf! (*Odchodzi.*)

CELESTYNOWA (*sama*).

Głupstwo, głupstwo — kukła, mówiłam kukła, widać że i dziewczynę zbałamucili, i co to jeszcze będzie, jak się o pełnoletności dowie — a może jej już i tamten głowę zajechał swojemi państwami? Co tu robić — co robić?

CELESTYN (*wchodzi*).

A wiesz duszko, że tak będzie bardzo dobrze?

CELESTYNOWA.

Co?

CELESTYN.

To, co ja wiem.

CELESTYNOWA.

No i cóż ty wiesz? głupstwo.

CELESTYN.

Co wiem? co wiem — wszystko wiem — wiem co Jaś chce, i co Marynia chce.

CELESTYNOWA.

Doprawdy? No, to i ja wiem — i nie mam czasu do stracenia...

CELESTYN.

Jak to? to już wiesz? i cóż ty na to?

CELESTYNOWA.

Głupstwo. Ja na to — nic — i upraszam do niczego się nie mięszać, dopóki nie powiem. Hm, hm, bardzo proszę, bo tak z interesu wypada.

CELESTYN.

No, to co innego — a ja myślałem...

CELESTYNOWA.

Upraszam, i do zobaczenia, bo teraz głowy nie mam.

(*Celestyn odchodzi powoli skrobiąc się w głowę.*)

CELESTYNOWA (*sama*).

Co robić, co robić? A tu niebezpieczeństwo prawdziwe, i to com temu głupcowi na postrach mówiła, zrujnuje i porzuci — dziś w ręku mi się sprawdza — dziecka mi żal.

Żeby to choć się poradzić kogo — na kim się oprzeć — nie ma. — O biada kobiecie samej. (*Pauza.*)

(*Z roztargnieniem.*) Przez dwadzieścia lat formowałaś sobie pantofla — masz pantofla! (*żywo*) kto to powiedział? wyraźnie głowę tracę — (*pauza*) hm, hm. Nie — kukła nie postawi na swojem.

Scena II.

CELESTYNOWA — ANTONI.

ANTONI.

Proszę pani, może ja na moment do domu pójdę.

CELESTYNOWA.

Głupstwo — albo co?

ANTONI.

Bo u mnie dziś sieją hreczkę... a ekonom domyśla się...

CELESTYNOWA.

W dzień imienin Maryni — grzecznie.

ANTONI.

To jeszcze proszę pani będziemy mieli tych imienin, jak się pobierzemy.

CELESTYNOWA.

Głupstwo, pobierzemy, pobierzemy — czy pan wiesz, że Jan za Ludgerdem.

ANTONI.

Pan Jan?

ANTONI.

To, proszę pani, chyba pani jemu nie powiedziała — że utracyusz.

CELESTYNOWA.

Głupstwo. — Tu trzeba heroicznego lekarstwa — hm, hm. Czy pan wiesz, że się pański Mykita wczoraj upił z tym Kochanowskim Ludgerda?

ANTONI.

To, proszę pani, ja po części i dla tego chciałem na moment do domu — żeby mu dać pomiarkowanie.

CELESTYNOWA.

Zamiast batogów, daj mu pan dwie fury słomy paszystej na zimę — bo przez niego wiem, hm, hm, co komu wiedzieć potrzeba.

ANTONI.

Co? proszę pani.

CELESTYNOWA.

Wiem — z czego to pan Ludgerd szumi.

ANTONI.

Przecie?

CELESTYNOWA.

Zaciąga długi.

ANTONI.

Toż i mnie to sam mówił, że ma długi.

CELESTYNOWA.

Ale u kogo?

ANTONI.

To, proszę pani, zawsze są głupcy co dają — ale na jakie procenta.

CELESTYNOWA.

Ha, ha! tą razą bez procentu. (*Wchodzi Ferdynandowa.*) Ale nas pan zostaw na moment (*Antoni odchodzi*). Droga siostrunia, droga siostrunia!

FERDYNANDOWA.

Droga siostrunia!—Siostrunia mi nie dziękuje?

CELESTYNOWA.

Tyle mam do dziękowania drogiej siostruni, że w samej rzeczy nie wiem...

FERDYNANDOWA.

Za uratowanie pana Antoniego.

CELESTYNOWA.

Albo co?

FERDYNANDOWA.

Jakto? siostrunia nie wie, że zajście z panem Ludgerdem — to śmierć.

CELESTYNOWA.

Głupst... przepraszam drogą siostrunię — chciałam tylko powiedzieć, że już tyle tych zabitych widziałam i widzę jedzących i pijących, że się już mniej obawiam — a zresztą pan Antoni...

FERDYNANDOWA.

Pan Antoni, pan Antoni — moja droga siostruniu, jak też możesz — kiedy się z całą szczerością przed drogą siostrunią wywnętrzyć mam, całe serce otworzyć...

CELESTYNOWA.

Droga siostrunia...

FERDYNANDOWA.

Jak możesz protegować pana Antoniego? Istotę tak poziomą, tak prostacką. Co to za strój, co to za maniery i jaki brak dystynkcyi — ale bo sama powiedz, droga siostruniu.

CELESTYNOWA.

Być może, droga siostruniu, ale uważając przedewszystkiem prawdę, to jest majątek... Antoni....

FERDYNANDOWA.

Fi, siostruniu droga! — jak się też możesz przyznawać do uczuć tak mało dystyngowanych — więc cóż z tej biednej Maryni zrobić chcecie — ekonomową?

CELESTYNOWA.

Niejednaby pozazdrościła Maryni takiej partyi, droga siostruniu. — Toż to razem wziętego górą milion mieć będą. I pan Antoni to podwoi, niezawodnie podwoi — głupstwo.

Wierzaj mi, droga siostruniu — majątek — nie ma jak majątek — bez majątku...

FERDYNANDOWA.

Marynia ma go dosyć na dwoje — majątku — zresztą, co za przyszłość z majątkiem, którego użyć nie będzie mogła z takim mężem — nie będzie umiała.

CELESTYNOWA.

Więc siostruniu droga, może ją lepiej wy-

dajmy za takiego, co jej nic od siebie nie przyniesie, ale za to . . .

FERDYNANDOWA.

Będzie umiał żyć, użyć . . .

CELESTYNOWA.

Będzie umiał stracić jej własne, ha, ha, ha!

FERDYNANDOWA.

Kiedyż bo, siostruniu droga, zrozumieć się nie możemy — po ziemi pełzasz, siostruniu droga, po ziemi.

CELESTYNOWA.

Co hołysz, to hołysz, siostruniu droga, ha, ha, ha!

FERDYNANDOWA.

Ale co powie pani Marszałkowa na te konkury, co powie pani Prezesowa? . . . (*Milczenie.*)

Jak się dowiedzą kto to pana Antoniego prowadzi. (*Milczenie.*)

Marszałkowa, co ma tak wysokie wyobrażenie o guście dystyngowanym drogiej siostruni. (*Milczenie.*)

I Prezesowa, co tak wierzy w jej szlachetne uczucia, i pogardę tego podłego kruszczu. (*Milczenie.*)

Kiedy się właśnie trafia tak dystyngowana dla Maryni partya.

CELESTYNOWA.

Pan Ludgerd?

FERDYNANDOWA.

Siostrunia droga wie sama, że jeślibym po-

trafiła uprosić pana Ludgerda, byłoby to szczęściem Maryni; dystynkcya — świetność — elegancya — i mieć lwa u nóg swoich...

CELESTYNOWA.

Ha, ha, ha! — To siostrunia droga prowadzi pana Ludgerda — i w tym celu i pana Jana tu sprowadziła?

FERDYNANDOWA.

Nie — wcale nie.

CELESTYNOWA.

Wiemy, siostruniu droga, wiemy — i od samego Jasia wiemy że trzyma za panem Ludgerdem i nie chce pana Antoniego.

FERDYNANDOWA (*na stronie*).

Czy to być może? (*Głośno.*) Siostrunia droga żartuje.

CELESTYNOWA.

Siostrunia droga wie, że ja nie żartuję — ale się pokazuje, że niebezpiecznie sekret Jasiowi powierzyć.

FERDYNANDOWA (*na stronie*).

Więc niezawodnie.

CELESTYNOWA.

I Marynięście mi zbuntowali.

FRRDYNANDOWA (*na stronie*).

Brawo, więc się już zupełnie obejść mogę bez tej przekupki.

CELESTYNOWA.

Serce mi krajecie nożami — nożami.

FERDYNANDOWA.

Ach — siostruniu droga, na miłość Boską.

CELESTYNOWA.

Tą nieufnością waszą.

FERDYNANDOWA.

Ależ — nerwy, — nerwy.

CELESTYNOWA.

Tą nieszczerością waszą.

FERDYNANDOWA.

Ach, czuję, że mnie to zabija.

CELESTYNOWA (*crescendo*).

A więc widzicie, — i czemuż idziecie przeciwko?...

FERDYNANDOWA.

Zabija mnie, kiedy kto tak głośno mówi — a siostrunia droga tak się przeraźliwie rozkrzyczała... żegnam drogą siostrunię (*wielki dyg*).

CELESTYNOWA (*słodziutko*).

Za pozwoleniem drogiej siostruni — kiedyśmy już o tem mówić zaczęły, kończmy — oto chciałam przestrzedz drogą siostrunię.

FERDYNANDOWA.

Co? siostruniu droga.

CELESTYNOWA.

Że pan Ludgerd jest człowiek niebezpieczny.

FERDYNANDOWA.

O, to pawda, droga siostruniu, że niebezpieczny.

CELESTYNOWA.

Bo niedyskretny.

FERDYNANDOWA.

Jakto?

CELESTYNOWA.

Nie można mu sekretu powierzyć; na przykład, tu, rozgłaszać, że mu siostrunia droga dała te dwa tysiące rubli, co to niedawno Ferdynand odwoził do Alperyna.

FERDYNANDOWA.

Co?

CELESTYNOWA.

Tak, bo nie każdemu są znane szlachetne zapewne powody drogiej siostruni, i niejeden mógł pomyśleć?

FERDYNANDOWA.

Co pomyśleć?

CELESTYNOWA.

A czy to mało, droga siostruniu, złych języków... szczęściem, że to dotąd do mnie jednej doszło... i że Ferdynand nic dotąd nie wie... (*Milczenie.*) Przepraszam, drogą siostrunię, jeżeli za głośno mówię... (*Milczenie.*) Ja na miejscu drogiej siostruni przestałabym protegować pana Ludgerda... Żegnam drogą siostrunię. (*Dyg wielki.*)

FERDYNANDOWA.

Zła rada, siostruniu droga, zła rada — wojnę — wojnę przyjmuję, potwarzy się nie boję.

Ale — apropos — kiedyż to ci panowie wezmą się do przejrzenia rachunków z opieki? Żegnam siostrunię drogą. (*Dyg wielki.*)

CELESTYNOWA (*na stronie*).

Kukła, kukła — a jakie miny? (*Głośno.*) Rachunki gotowe — przejrzy je mąż Maryni. Więc wojna, droga siostruniu, z żalem przyjmuję wojnę — żegnam. (*Odchodzi.*)

FERDYNANDOWA (*sama, sadowi się na fotelu*).

Zgniotłam przekupkę — pod nogą zgniotłam i swoje zrobię — bo się to przecież w złości wymówiła, że Jan za nim, Marynia za nim, — i cóż dziwnego . . .

LUDGERD (*wchodzi*).

Ach, cóż to za nudy! i gdyby nie te słów kilka, które z tobą mogę wymieniać, pani, z tobą, którą rozumiem i która mnie rozumiesz, jak honor kocham, dłużejbym nie wytrzymał.

LUDGERD.

Czy już wyjechał?

FERDYNANDOWA.

Kto?

LUDGERD.

Waleczny rywal.

FERDYNANDPWA.

Nie — nie wyjeżdża wcale.

LUDGERD.

A jednak z rana zaprzęgać kazał. — Rzecz dziwna. Bo już to w każdej z moich spraw honorowych . . .

FERDYNANDOWA.

Pan Ludgerd się często strzelał?

LUDGERD.

Do strzelania nie przyszło, szczęściem dla nich, ale we wszystkich tych moich sprawach honorowych zawszem szedł górą.

FERDYNANDOWA.

Ale czemu to pan Ludgerd tutaj mówi o naszym interesiku pieniężnym?

LUDGERD.

Ja? jak honor kocham — nikomu. (*Na stronie.*) Nie jednemu mówiłem, ale to z ludzi mojego brzegu — z tych żadnego tu nie ma. (*Głośno.*) Rzecz dziwna, jak honor kocham dziwna, zkąd to wyszło? — Ale się i domyślam.— Wczoraj, ten z głupia frant, gajowy Antoniego spoił Kochanowskiego mego — a właśnie Kochanowski jeździł po te pieniądze do Berdyczowa — wypędzę go, jak honor kocham, wypędzę, mimo tyloletnich zasług, (*na stronie*) którem mu winien.

FERDYNANDOWA.

To nic — daruj mu pan tą razą — a jeśliby pan Ludgerd był żenowany, jest tam jeszcze tysiąc — oto jest list, na który je wydadzą. (*Oddaje mu list.*)

LUDGERD (*chowając list w kieszeń*).

Pani wiesz, że w takim razie, pani bym dał pierwszeństwo przed każdym.

FERDYNANDOWA (*podając mu rękę*).

Dziękuję; ale pan czas tu tracisz przy mnie — do służby konkurencie!

LUDGERD.

Ach, jaka ciężka służba! (*Odchodzi.*)

FERDYNAND (*wchodzi zaperzony*).

Pf, pf. Cóż to asani sobie myślisz? — Pf, pf, że ja Celestyn? — Pf, pf, że i mnie można pod pantoflem trzymać, ha, ha, ha! — Cóż, asani nie odpowiadasz?

FERDYNANDOWA.

Proszę mówić ciszej.

FERDYNAND.

Jak to ciszej? — ja właśnie na cały głos krzyczeć będę — gwałtu — g wałtu — gwałtu. Ale to jest rzecz niesłychana, niepraktykowana. — Żeby już tak dalece mieć męża za hetkę pętelkę — ho, ho, ho! ale ja nie Celestyn — pf, pf.

FERDYNANDOWA (*głosem osłabionym*).

Wody.

FERDYNAND (*poskakując po wodę i podaje*).

Ale, bo już sama pani powiedz, jakże ja mam być na to spokojnym?

FERDYNANDOWA (*jak wyżej*).

Skutki, skutki — źle dobranego związku.

FERDYNAND.

Już tą razą sama przyznasz, że mam racyę.

FERDYNANDOWA.

Kobietę słabą, delikatną związali, przykuli.

FERDYNAND.

Tak — ale to już dwadzieścia lat temu.

FERDYNANDOWA (*trochę żywiej*).

Dziewiętnaście — kilkanaście.

FERDYNAND.

No, dobrze, niech kilkanaście — ale sama przyznasz, że to coś zrobiła? — i że to nawet djabeł wie jaką ma minę.

FERDYNANDOWA.

Cóżem to ja zrobiła? ja, co od lat kilkunastu, nie wiem co to mieć swoją wolę.

FERDYNAND.

Przepraszam cię aniołeczku, podobno jeszcze nie powiedziałem — to, żeś moich dwa tysiące rubli podniosła od Alperyna i oddała pana Ludgerdowi.

FERDYNANDOWA.

To o te mizerne trzy tysiące rubli, tyle hałasu.

FERDYNAND.

Jak to, to trzy, a nie dwa? — Celestynowa mówiła, że dwa.

FERDYNANDOWA.

Atóż to widzesz skutki źle dobranego związku. Nie rozumiana, nie pojęta, kryć się muszę przed mężem z każdą cokolwiek dystyngowan ą, cokolwiek delikatną czynnością.

Kajdany, kajdany.

Ale on nie wie o tem, on myśli że to my oboje oddajemy mu tę drobną usługę. — Nie, on nie wie o tem, bo on by tobą wzgardził.

FERDYNAND.

Tak, ale aniołeczku, trzy tysiące rubli to suma.

FERDYNANDOWA.

Czy wątpisz o słowie honoru pana Ludgerda?

FERDYNAND.

Już też nie wątpię, kiedy go tak często powtarza.

FERDYNANDOWA.

Czy masz więcej zaufania w żydowskiej kieszeni?

FERDYNAND.

Tak — ale zkądże odda?

FERDYNANDOWA.

Odda, jak się z Marynią ożeni, i tę broń sobie zostawiłam, żeby go skłonić.

FERDYNAND.

Skłonić, skłonić. — Tylko ci to tak powiem, między nami, że Celestynowa powiada, że to takie państwo — jak w teatrze — niby to pan.

FERDYNANDOWA.

Czegoż mu brakuje? trochę podłego kruszczu? Marynia go ma dosyć na dwoje.

FERDYNAND.

Trzy tysiące rubli.

FERDYNANDOWA.

Żałujesz Ferdynandzie?

FERDYNAND.

Nie, tylko już koniecznie trzeba, żeby się

z Marynią ożenił — a potem, jak ty aniołeczku powiadasz, noblesse oblige.

FERDYNANDOWA (*której głos stopniowo z osłabienia się podnosił, pompatycznie*).

Tem jednem słowem zmazałeś swoją winę, wszystko przebaczam, tu klęknij. (*Ferdynand klęka, ona mu podaje rękę do pocałowania.*)

Przebaczam ci, żeś się tak ze mną obszedł tyrańsko. Przebaczam, żeś Celestynowej słuchał.

Wszystko przebaczam.

A teraz idź i bądź mężem. — Celestynowę i Antoniego zgnieść — a Jana się ślepo trzymać, bo on to dobrze widzi, gdzie szczęście Maryni.

Ja pana Ludgerda błagać będę.

Scena III.

CELESTYN, FERDYNAND, JAN.

JAN.

Tu — po prostu, po prostu — między sobą. Marynia dziś zaczęła rok ośmnasty — rzecz słuszna, słuszna, żeby sobą sama rozporządzała. — Więc jak się tu zejdziemy na obiad — my opiekunowie — Marynię wezwiemy, wezwiemy — i niechaj nam powie, co chce.

FERDYNAND.

Ja trzymam z Jasiem — więc niech powie.

CELESTYN.

Dobrze bo to Jasiowi — ale...

JAN.

Ot widzisz, i ten także pantofel, pantofel — ale się nie upiera — bo to idzie o szczęście Maryni, o szczęście Maryni.

FERDYNAND.

Ha, ha, ha! — Biedny Celestyn.

JAN.

No, dajmy sobie słowo, słowo.

FERDYNAND (*podając rękę*).

Słowo.

CELESTYN (*ditto*).

Dobrze — słowo.

JAN.

No, ale na co słowo — na co?

CELESTYN.

Słowo.

FERDYNAND.

Ja z Jasiem trzymam.

JAN.

Na to słowo — że my opiekunowie przyjmiemy za dobre, dobre, determinacyę Maryni, bez wahania się i bez apelacyi, apelacyi.

FERDYNAND.

Tak, tak, bez apelacyi.

CELESTYN.

Słowo, słowo — bylem się ja do tego nie mięszał.

JAN.

Więc chodźmy — tymczasem wódki, wódki — kawałeczek przekąsić.

FERDYNAND.

Chodźmy. (*Na stronie.*) Dalipan dobrze idzie. Ot, kiedy głowa (*uderza się w głowę*) i aniołeczek będzie kontent, i te trzy tysiące rubli... nie przepadną.

CELESTYN.

Zaraz, zaraz — (*na stronie*), tylko się trzeba imości poradzić. (*Odchodzą wszyscy*).

(*Po pauzie wchodzi* MARYNIA *i* JÓZEF.)

MARYNIA.

Cóż to za biały dzień dla mnie, Józefie! — Raniutko modliłam się tak dobrze, pan Bóg był łaskaw, i tak mi błogo było, tak jasno. — Potem mnie przywitały dzieci dworskie i wiejskie — i rozdałam im czapeczki i świecidełka. Potem przyszła do mnie staruszka, co była przy mamie, ze łzą w oku, i innych kilkoro ubogich — i udzielić im mogłam więcej niż zwykle, bo mi dziś wiele pieniędzy dali, Józefie — a we wszystkiem myśl o tobie, i w modlitwie, i w darze, i w jałmużnie.

Takem dzisiaj szczęśliwa, że pojąć nie mogę, że są tacy, co się skarżą! — czyż modlitwy nie mają w duszy — czyż słońce dla nich nie świeci, czyż dawać nie mają komu?

JÓZEF.

Maryniu, sam się boję podjąć się szczęścia twego — boję się zmącić ten czysty błękitny zdrój — wymieniać błyszczącą gwiazdę, twoją, na moją czarną gwiazdę — boję się.

MARYNIA.

Bez ciebie Józefie, nie ma szczęścia dla mnie— usuń się tylko, a zblednieje mi wszystko. — Kiedyż bo ty nie rozumiesz tego — mówię ci, żeś mi ty przeznaczony od Boga.

JÓZEF.

Czasem i mnie na moment ta twoja wiara przenika -- na moment tylko — bo nieszczęście oducza ufać i wierzyć w szczęście.

Jednak dzisiaj, Maryniu, oświadczę się opiekunom twoim — zapytam czy mi pozwolą starać się o rękę twoją — a jakakolwiek ich wola będzie, szanować ją wypada.

Droga nasza wytknięta przed nami — i nią iść, i nie oglądać się na szczęście, co nas gdzieś na bok wabić będzie. (*Ściskają się za rękę.*)

A pamiętaj, że w każdym razie masz we mnie przyjaciela do śmierci. (*Ociera szybko łzę i odchodzi.*)

MARYNIA (*sama*).

Widziałam łzę — więcby go to kosztowało drogo mnie opuścić.

Ale czemże on to mnie straszy — gdzież on przeszkody widzi? — mnie tu wszyscy kochają i radzi memu szczęściu.

Ale... otóż i mnie strach przejmuje — nie obzierać się na szczęście z boku, i iść prosto — toż i głos wewnętrzny to mi mówi.

CELESTYNOWA (*wchodzi*).

Przyjm życzenia, przyjm uściśnienia! (*Długie uściśnienia — Marynia się rozczula, Celestynowa z afektacyą łzy ociera.*)

I sobiebym w tym dniu powinszować chciała, żem przez lat tyle, śmiało mogę powiedzieć, najczulszej macierzyńskiej opieki . . . zarobić sobie umiała hm, hm, przynajmniej na zaufanie — a tymczasem Marynia ma sekreta przedemną ze stryjami...

MARYNIA.

Byłabym wyrodkiem, ciociu droga, jeślibym przed tobą mieć mogła sekreta jakie. — Zapytywana przez opiekunów, winnam im była szczerą odpowiedź — toż samo dziś i tobie powtórzę.

CELESTYNOWA.

Niestety, wiem — aż nadto wiem, fatalny wybór.

MARYNIA (*na stronie*).

Ulatują złote sny — a nadchodzi, jak on powiada, żelazna rzeczywistość. (*Głośno.*) Poddawałam się i poddaję bezwzględnie woli opiekunów.

CELESTYNOWA.

Tak, ale dzisiaj przy wejściu w pełnoletność. władza opiekunów ustaje.

MARYNIA.

Nigdy nie ustaje, droga ciociu.

CELESTYNOWA (*na stronie*).

Głupstwo — najmniejszej wątpliwości nie ma o konfederacyi. — (*Głośno.*) A jaż, Maryniu — nie mam już prawa żadnego — przynajmniej do rady?

MARYNIA.

Kiedy mówię o opiekunach, mówię mianowi-

cie o tobie, droga ciociu, i wiesz dobrze, że nie zrobię nic, coby ci się podobać nie miało.

CELESTYNOWA (*na stronie*).

Głupstwo — korzystać, korzystać — (*głośno*), więc mi to przyrzekasz — w nagrodę macierzyńskich starań moich.

MARYNIA.

Czyż wątpiłaś kiedy o tem, ciociu? (*na stronie.*) Iść prosto, i nie oglądać się na szczęście, co z boku wabi.

CELESTYNOWA.

Słuchaj — hm, hm! — w tym momencie oni się tu wszyscy zejdą — oświadczą ci, żeś pełnoletnia i że wolę twoją w wyborze męża, za dobre przyjmą — głupstwo.

I przedstawiają ci tego Ludgerda — otóż żądam — i na macierzyńską miłość cię zaklinam — odmów go.

MARYNIA (*zadziwiona*).

Ależ ciociu...

CELESTYNOWA.

Mam twoje słowo — odmów go — to jest jedyna rzecz, której od ciebie żądam — odmówisz?

MARYNIA.

Najchętniej odmówię. (*Wchodzą tutti — Celestynowa naprzeciwko nich wychodzi — na stronie.*) Jak to? więcby to tylko próbę pan Bóg zesłał na mnie?

CELESTYNOWA.

Droga siostrunia!

FERDYNANDOWA.

Droga siostrunia. (*Sadowi się jak zwykle.*) Ferdynandzie! (*Ferdynand służy jak wyżej*).

CELESTYNOWA (*na stronie*).

Hm, hm, ten pudel jej służy jak zwykle — głupstwo — to szczęście żem tę smarkatą uchodziła. (*Półgłosem do Maryni.*) Pamiętaj — słowo.

MARYNIA.

Słowo — łatwe słowo, droga ciociu.

(*Bracia się grupują razem. Marynia zbliża się do Józefa i Szumejki.*)

CELESTYNOWA (*półgłosem do Celestyna*).

Trzymać razem z nimi — co oni powiedzą, to i ty powiesz.

CELESTYN (*półgłosem do żony.*)

Jak to duszko, to oni za Antonim?

CELESTYNOWA (*dito*).

Nie jak to, ale słuchać — co oni powiedzą, to i ty powiesz.

CELESTYN (*dito*).

Dobrze, dobrze — rozumiem.

LUDGERD (*mijając Antoniego*).

A pan jeszcze tu? (*zbliża się do Ferdynandowej i z nią cicho rozmawia.*)

JAN (*do braci*).

No, ja będę mówił — ale pamiętajcie, wszystko zgodnie — pod słowem.

FERDYNAND.

Pamiętaj pod słowem, Celestynie.

CELESTYN.

Pod słowem, pod słowem — i powiem wam poprostu, że mi żona wyraźnie powiedziała — zgodnie z wami.

JAN.

Tem lepiej, tem lepiej.

No, Maryniu (*Marynia się zbliża*) tu po prostu, po prostu — dziś wychodzisz z opieki — i my opiekunowie postanowiliśmy jednozgodnie — wszak tak, jednozgodnie.

CELESTYN i FERDYNAND.

Tak, tak — jednozgodnie.

JAN.

Żebyś dziś sama postanowiła, postanowiła — względem swego przyszłego losu.

MARYNIA.

Ale ja nie chcę, nie chcę — co wy postanowicie...

JAN. CELESTYN. FERDYNAND.

Ale — musisz — musisz.

FERDYNANDOWA (*do Ludgerda*).

No — teraz — le coup de théâtre.

LUDGERD.

Prawdziwie, że to niepotrzebnie, kiedy już wszystko ułożone. (*Na stronie.*) Veni, Vidi, Vici.

FERDYNANDOWA.

Nie, bez tego być nie może — więc naprzód, i zgnieść Celestynowę — zdeptać — w proch zetrzeć. — (*Daje znak Ferdynandowi, który bierze za rękę Ludgerda i prowadzi do Maryni.*)

CELESTYNOWA (*zbliża się do Ferdynandowej*).

Nie prawdaż, droga siostruniu, że zwycięży? — zwycięży, bo musi zwyciężyć, mimo wężów, co mu pełzają pod nogi.

CELESTYNOWA.

Droga siostruniu.

FERDYNAND (*do Maryni*).

Ha, ha, ha! widzisz Maryniu — oto ci przedstawiamy — pana Ludgerda — spodziewam się...

FERDYNANDOWA (*na stronie*).

Jaki niewymowny — a taka zręczność.

JAN.

Tak prosimy cię, szczerze powiedz, szczerze powiedz — chcesz, nie chcesz?

CELESTYN. FERDYNAND.

Tak, tak, szczerze.

MARYNIA (*zakłopotana*).

Nie mogę odpowiedzieć.

WSZYSCY.

Musisz, musisz.

MARYNIA.

Ja pana Ludgerda nie znam.

WSZYSCY.

Chcesz, nie chcesz?

MARYNIA.

Nie chcę. — (*Moment milczenia.*)

JAN.

Hep!

FERDYNANDOWA.

Co to jest?

CELESTYNOWA.

Droga siostruniu, to harbuz.

LUDGERD (*na stronie*).

Jednak przed sobą zataić nie mogę, że ten harbuz przeciąża moje konsolidy. Bessa — przynajmniej dziesięć na sto. — Bessa momentalna — bo to oczywiście jakieś momentalne nieporozumienie.

ANTONI (*mijając Ludgerda*).

A co, proszę pana, pan jeszcze tu? (*zbliża się do Celestynowej*) No, proszę pani — teraz ja.

CELESTYNOWA (*do Antoniego*).

Głupstwo — czekać aż się rozjadą — z małą zrobię co zechcę, a teraz nieprzygotowana.

ANTONI.

Ale proszę pani, czyż pani nie widzi, dla czego ona tamtego odmówiła?

CELESTYNOWA.

Głupstwo.

ANTONI (*na stronie*).

Udaje baba że nie widzi — ale ba — jak bez niej sam zrobię, to będę miał prawo targować się o kalkulacyę — niech przez pół. (*Głośno do Maryni.*) Proszę pani — jeszcze jednego ma pani do odmówienia — ha, ha, ha! a może też i pani będzie łaskawsza, proszę pani, na sąsiada — bo jak to mówią: wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

MARYNIA.

Panie Antoni.

WSZYSCY.

Bez ekskuzy — powiedz — chcesz, czy nie chcesz?

ANTONI.

Tak, proszę pani.

MARYNIA.

Więc nie chcę.

JAN.

I drugi hep!

CELESTYNOWA (*na stronie*).

Otóż radź im, opiekuj się niemi — głupstwo — i teraz nie wiedzieć jak będzie zreperować.

FERDYNANDOWA (*do Celestynowej*).

Droga siostruniu. I to podobno harbuz.

JAN (*na stronie*).

Wyraźnie, nic się nie domyślają — domyślają — już to prawda, że takiegom im zagiął kruczka — będzie surpryza, surpryza. (*Głośno.*) No, a teraz nam Maryniu powiedz, kogo chcesz, kogo chcesz?

FERDYNAND.

To nie sztuka, że tego nie chcesz, i tego nie chcesz — powiedz kogo chcesz?

CELESTYN.

Tak, kogo chcesz?

MARYNIA.

Wiadomo wam, drodzy stryjowie, jakie było życzenie rodziców moich — więc kiedy mi koniecznie wybierać każecie — podług ich życzenia

wybieram. Józefie, za zezwoleniem opiekunów, tobie powierzam przyszłość moją.

Widzisz, że i wprost przed siebie drogą obowiązku idąc, można szczęście napotkać.

JÓZEF.

Jak to — i toby wszystko rzeczywistością być miało?

JAN.

A, to znowu coś nowego, nowego — surpryza, surpryza pf, pf. (*Na stronie.*) Więc to, to w życiu wypróbowany, wypróbowany?...

CELESTYNOWA.

Drogi braciszku, nie udawaj proszę — rzecz jasna, że to twoja sprawka — ale to jeszcze nie koniec, drogi braciszku.

JAN (*na stronie*).

Oto mnie wystrychnęła na dudka, na dudka, najmniejsza spodniczka — i to jeszcze jak się zdaje nie chcący? co by to było chcący, chcący?

Ej Jasiu, zastanów się tylko — byłbyś kapitalne głupstwo zrobił — pantofel jawny, jawny. Ot, i daj ojcom Karmelitom na mszę, żeś cały, żeś cały.

MARYNIA (*do stryjów*).

Czy potwierdzacie mój wybór?

JAN.

Potwierdzamy, potwierdzamy — tylko się panie Józefie trzymaj — bo będziesz pantofel numero trzy.

FERDYNAND.

Zgoda — ale... aniołeczku...

CELESTYN.

Zgoda na to, co Jaś powiedział — to jest nie zgoda na to, co powiedział pantofel.

CELESTYNOWA.

Głupstwo.

LUDGERD (*na stronie*).

Bessa piętnaście na sto, bessa stanowcza — jednak sobie nie mam nic do wyrzucenia — wyciągnąłem z tej Beocyi, co było można — 1mo trzy tysiące rubli — 2do udały mi się wierszyki — będzie skandal ogromny, i bravo dla autora powszechne.

No, ale tu już nie mam co robić — zobaczmy listę (*dobywa listę*). Na kolei nro sześć, panna Danielewska — posagu pięćkroć stotysięcy — mało — djable mało — cóż robić. Teraz — trzeba zamknąć Ferdynandowi drogę upominania się o te trzy tysiące rubli. (*Głośno do Ferdynanda.*) Pan mnie skompromitowałeś, i... jak honor kocham...

JÓZEF (*przerywając*).

Ponieważ mnie Marynia obrać raczyła, do mnie pan zechcesz regulować wszystkie pretensye.

LUDGERD.

Ja żadnych pretensyi nie mam.

FERDYNANDOWA.

Panie Ludgerd — to jeszcze nie skończone.

LUDGERD.

Dla mnie skończone — wyjeżdżam — natych-

miast wyjeżdżam — żegnam. (*Przechodząc koło Antoniego.*) Mówiłem że nie pan, i nie pan! (*Wychodzi.*)

JÓZEF.

Spotkało mnie tu szczęście, zbyt wielkie, zbyt niespodziewane — i wytłumaczyć sobie nie mogę, jak na mnie przyszło.

MARYNIA.

Z natchnienia Bożego, Józefie.

JÓZEF.

Nie przerywaj mi, aniele. — Zresztą, rzecz jest z siebie zbyt ważna — więc nim przyjmę ten wybór — wpierw powtórnie, każdego z was osobno o pozwolenie prosić będę.

CELESTYNOWA (*do Józefa półgłosem*).

Panie Józefie — słuchaj — zachodzi tu interes. — Oto, jak wiesz zapewne, wychowanie kosztuje — nie trzymałam ja wprawdzie madam...

JÓZEF (*przerywając*).

Niech ci Bóg płaci, pani, za to wychowanie w Bogu, prawdzie i ojczystym języku — to też się wychowało dziecko z sercem czystem i głową nieskrzywioną.

CELESTYNOWA (*półgłosem*).

Widzisz, żeś kontent z wychowania — i zapewne nie zechcesz się z nami rachować z opieki, bo śmierciąby było dla mnie.

JÓZEF (*przerywając*).

Czy ja żyd? i jakież ja mam prawo mieszać się do przeszłości Maryni?

ANTONI (*półgłosem do Celestynowej*).

No, proszę pani — jakże będzie — bo ja i hreczki nie obsiałem — i ekonom na konto tej konkurencyi ukradł, lekko rachuje dziesięć korcy pszenicy — to już proszę pani lekko rachując po dwa ruble, dwadzieścia rubli. — No, a inneż koszta, a jeszcze może i na kasztankach stracę.

Już to, proszę pani, tylko wdaj się z kobietami.

CELESTYNOWA.

Głupstwo — nie chciałeś pan słuchać — to masz — hm, hm; już to ja zawsze byłam zdania nieboszczyka brata — tylko myślałam, że Józef o tem nie myśli.

ANTONI.

To ja, proszę pani, zaraz po obiedzie pojadę.

JÓZEF.

Chodź Maryniu — zacznijmy od najstarszego stryja. (*Idą do Celestyna.*)

CELESTYN.

Dalipan, że najchętniej zezwalam — tylko . . .

CELESTYNOWA (*zbliżając się*).

Hm, hm. Miło mi oddać ten hołd naturze, szanując wolę drogiego świętej pamięci brata. (*Wiąże ich ręcę.*)

CELESTYN.

A tak, ja mówiłem. — Dalipan dobrze — niech was Pan Bóg błogosławi — dalipan, że bardzo dobrze — i majątek w imieniu zostanie.

(*Młodzi zbliżają się do Ferdynanda.*)

FERDYNAND.

Aniołeczku. (*Wszyscy troje zbliżają się do Ferdynandowej.*)

FERDYNANDOWA.

Ja przeciw temu nic nie mam; — wyznaję, że życzyłam sobie coś dystyngowańszego dla Maryni — ale kiedy jaszczurka z wężem to sprawiły, że on nie chce, że on odjeżdża, Bóg z wami.

Panie Józefie — masz stosunki dystyngowane na Ukrainie — te staraj się uprawiać — a wtedy możecie wejść na drogę więcej elegancką — (*do Ferdynanda*) Ferdynandzie, jutro jedziemy.

FERDYNAND.

Pan Bóg z wami — Pan Bóg. On ci Józefie wróci stracone... trzy tysiące rubli, chcę mówić stracone, towarzyskie położenie — i od ciebie zależy, jak aniołeczek powiada, zrobić go dystyngowanem.

A jak będziecie szczęśliwi, to mi nie żal będzie i tych trzech ty...

FERDYNANDOWA.

Ferdynandzie! (*rusza ramionami*).

CELESTYN.

No, a ty Jasiu, coś prowadził — spodziewam się...

JAN (*do młodych*).

Maryniu, zrobiło się jakeś chciała, bezemnie, bezemnie.

Józefie — nie zazierałeś mi w kieszeń, to dobrze, dobrze — i dalej nie zazieraj, bo ja z sobą

tego nie wezmę, nie wezmę. — Szedłeś sobie szlachetnie, co czasem lepiej niż kruczki, kruczki.

Bóg z wami; ale czemu nie dają do stołu, do stołu, (*na stronie*). Mam w zysku sześć tysięcy rubli, rubli — bo czyby był oddał, czy nie oddał, zawsze to interes w familii djabła wart, djabła wart.

JÓZEF.

No, teraz Maryniu, — Bóg mi cię dał, ludzie nadspodziewanie nie odmówili, więceś moja.

MARYNIA.

Twoja, Józefie — mnie szczęście twoje pielęgnować, bo widzisz, że po czarnych godzinach Pan Bóg i jasne dni daje.

JÓZEF.

Ale — jeszcze — stary przyjacielu, chodź.

SZUMEJKO.

Teraz stary Szumejko już nie pójdzie na grzyby. — Bóg z wami, moje dzieci, i jedno tylko życzenie wam składam.

Ty, mój panie Józefie, nie zapominaj nigdy, żeś mężem — że cię żona o tyle kochać będzie, o ile uczuje w tobie zdanie i silną wolę, na którychby polegać mogła.

A ty, panienko moja droga, pamiętaj, że nic łatwiejszego jak męża zawojować. — Bo zwierz im silniejszy, tem szlachetniejszy — tak lew, tak i człowiek; a im szlachetniejszy, tem delikatniejszy dla żony. — Ale biada ci, biada, jeżeli z wy-

trwałością nieprzerwaną tej pokusie opierać się nie będziesz.

Tyś w domu Boga ojców nie odstąpiła nigdy — tyś za domem Boga ojców ciągle nosił w sercu — a za to — Bóg ojców strzedz was będzie od tej klęski — pantofla.

SŁUŻĄCY.

Dali do stołu.

(*Ruszają się z przyzwoitą ceremonią.*)

Kurtyna zapada.

SKĄPIEC.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH PROZĄ.

PANU

JANOWI KRÓLIKOWSKIEMU

TĘ DLA JEGO ZNAKOMITEGO TALENTU

UŁOŻONĄ SZTUKĘ

POŚWIĘCA

AUTOR.

OSOBY.

PAN JAN.
MARYSIA, jego córka.
MATEUSZ, jego sługa.
DOKTOR, KSIĄŻĘ, HRABIA — po lat dwadzieścia kilka.
KAMERDYNERZY, LOKAJE.

Rzecz się odbywa na wsi w domu pana Jana.

AKT I.

Pokój w domu pana Jana, z tyłu drzwi, z boku okno.

Scena I.

PAN JAN — MATEUSZ.

(*Moment medytacyi.*)

P. JAN.

Mateuszu... przyszło mi na myśl... Dla czego oni wieczorem palą świecę, w izbie stajennej?

MATEUSZ.

Bo jegomość sam kazał.

P. JAN.

Ja?

MATEUSZ.

A kiedy jegomość rymarza skasował, to przecie kazał dawać świecę stajennym, żeby reperowali uprząż.

P. JAN.

Tak to oni, i reperują łaskawco, ciągle się coś rwie.

MATEUSZ.

Jeszczeż to się dawniej tak nie jeździło, ale teraz... Panna co niedzielę do kościoła... parę razy na tydzień posyłaj po doktora.

P. JAN.

To przynajmniej łaskawco, że doktor poczciwe człeczysko.

MATEUSZ.

To jegomość mu nic nie daje?

P. JAN.

Jabym łaskawco nie śmiał... sąsiadowi...

MATEUSZ.

No, chyba. Ale jednak, koniska ustają; i jak jegomość nie każe powiększyć obroku...

P. JAN.

Nie czyszczą łaskawco, nie czyszczą, czyszczenie więcej znaczy niż obrok.

MATEUSZ.

Co to gadać, koniska wyzdychają i kwita. Otóż to, stare konie kupować, niby to taniej, a to... skąpy dwa razy traci.

P. JAN.

Mateuszu... przyszło mi na myśl... poproszę doktora, żeby swojemi końmi przyjeżdżał.

MATEUSZ.

No, chyba. (*Pauza.*)

P. JAN.

Ale, przyszło mi na myśl Mateuszu, kurom dajecie nadto pośladu.

MATEUSZ (*ironicznie*).

To może i z tego zdychają.

P. JAN (*żywo*).

Kury... zdychają?

MATEUSZ.

Już cztery, a piąte się nastawiło, ten duży kapłon biały.

P. JAN.

Wyraźnie poślad kradną; ty bo nie pilnujesz Mateuszu.

MATEUSZ.

A może i kradną, ja nie mogę być i tam, i tu, i tam; w trzech miejscach razem.

P. JAN.

Szczególna obojętność. Mateuszu... przyszło mi na myśl... zarżnąć białego kapłona.

MATEUSZ.

Tego co zdycha?

P. JAN.

Nie zdycha łaskawco, ma umrzeć, każdy z nas łaskawco, ma umrzeć.

MATEUSZ.

No, chyba. (*Pauza.*) Ale, Jacenty furman gardłuje, że butów nie ma.

P. JAN.

Butów?

MATEUSZ.

I powiada, że niech sobie jegomość robi co chce, a on nie wyjdzie ze stajni bez butów.

P. JAN.

Co też mnie się ten człowiek nie namęczy, niech mu Pan Bóg nie pamięta; to zły człowiek łaskawco. Niechno, zobaczę później.

MATEUSZ.

Zostało się dwie świece w garderobie paninej, jakoś im wydarłem.

P. JAN.

Ta garderoba, to otchłań.

MATEUSZ.

Co to gadać, jegomość sam widzi, co się dzieje od niejakiego czasu. Bo to i palą po piecach jak same chcą, a tej szarańczy coraz to więcej; jakieś wdowy, jakieś sierotki, a to je... A mnie się zdaje, że to doktor tak pannę buntuje.

P. JAN.

Gdzież tam łaskawco, to poczciwy człowiek. Ale cóż robić Mateuszu, panna na wydaniu, trzeba jej w domu dogadzać; nie tak to już długo łaskawco czekać, jak jej w domu nie stanie.

MATEUSZ.

Przynajmniej, że się do gotówki nie dobiera.

P. JAN (*na stronie*).

Wolę mu się nie przyznać. (*Z uczuciem.*) Bo to i daje, i posyła, i jeszcze na poczcie płaci.

MATEUSZ.

Co jegomość mówi?

P. JAN.

Nic łaskawco, chciałem cię się tylko spytać, czyś był przy przemiarze hreczki.

MATEUSZ.

A cóż, półtora korca nie staje.

P. JAN.

Skradli łaskawco, skradli.

MATEUSZ.

A może i skradli. Ja nie mogę bydź i tam, i tu, i tam, w trzech miejscach razem.

P. JAN.

Szczególna obojętność.

MATEUSZ.

Oni mówią, że myszy roztoczyły, bo to już dawno leży.

P. JAN.

Skradli.

MATEUSZ.

Ot, będzie szkoda i w zaprzeszłorocznej przenicy, sterty wyraźnie gniją. A dobre pieniądze dawali. Otóż to tak, skąpy dwa razy traci.

P. JAN.

Doczeka się łaskawco, doczeka. (*Lokaj wchodzi i oddawszy panu Janowi list, wychodzi.*) To pewnie o lokacyę, nie mam łaskawco, nie mam (*otwiera list*). A, nie, to pan Paweł pisze. (*Czyta.*) No, no, to komplementa, (*czyta dalej*) ale to zdaje się interes. „Nie masz panie sąsiedzie, jak miliony“ dobrze pan Paweł mówi. „A, że masz miliony.“ Jakie miliony łaskawco, chyba oni nie rachują ekspensy. „Więc oto masz jaśnie wielmożnych konkurentów, co do ciebie lada moment zawitają.“ Mateuszu! (*Mateusz się nachmurzył.*) „Pan hrabia

ma być skąpy, nikomu nie przymawiając," zawsze pan Paweł żartuje łaskawco, „a książe pan, perdygrosz, jak ty nazywasz, etc. etc." Mateuszu, konkurenci; trzeba ich przyjąć. (*Opuszcza ręce.*)

MATEUSZ.

Siano i owies jest w karczmie.

P. JAN.

Nie można łaskawco, tyś bo skąpy Mateuszu.

MATEUSZ.

A jegomość co?

P. JAN.

Oszczędny łaskawco, oszczędny; bo kto grosza nie szanuje, ten i szeląga nie wart.

MATEUSZ.

Niech sobie będę i skąpy, ale co to gadać, u panów to taki zwyczaj, owies i siano w karczmie.

P. JAN.

A, prawda łaskawco, dalipan prawda. Jakem bywało jeździł za procentem do księcia Janusza, to człowieka bywało grzecznie przyjmują, nie ma co mówić, i zbytek łaskawco, że człek się przeje i przepije, bo to takich łakoci w domu nie masz, więc się to bywało ładnie na czas jakiś; ale co konie, to do karczmy, a tam tak drogo łaskawco, że bywało, wolę żeby konie już stały bez obroku.

MATEUSZ.

Widzi jegomość.

P. JAN.

Do tego, że tam przepadły moje cztery ty-

siące rubli. To bo niesłychana rzecz łaskawco, co ja na tych lokacyach straciłem. Najprzód na pani Hetmanowej łaskawco, siedm tysięcy rubli, na...

MATEUSZ (*patrząc w okno*).

Ot, już coś na trakcie widać.

P. JAN (*zmięszany*).

To oni, pewnie już oni.

MATEUSZ.

No, to ja owsa nie dam.

P. JAN.

W karczmie łaskawco, w karczmie. Mateuszu... ale to konkurenci... może im spuścić trochę taniej?

MATEUSZ.

Jak jegomość każe.

P. JAN.

Szczególna obojętność. Mateuszu... przyszło mi na myśl... i niech szynkarz wydaje, na tę mniejszą miarkę.

MATEUSZ.

No, chyba. (*Pauza.*)

P. JAN.

Mateuszu, trzeba im dać stancye.

MATEUSZ.

Wszak są gościnne.

P. JAN.

Tak łaskawco, ale trzeba... opalić.

MATEUSZ.

Toż w jednej niema tygodnia jak palili.

P. JAN (*wzdychając*).

Trzeba łaskawco, cóż robić.

MATEUSZ.

Rąbanych drew nie ma, to niech jegomość da kwit do lasu.

P. JAN.

Do lasu? Nie łaskawco, nie; ja do lasu kwitów nie daję, weź sobie zkąd chcesz. No, to już i drugie jest.

MATEUSZ.

A obiad?

P. JAN.

A cóż łaskawco, u nas szlachty, niech się marcepanów nie spodziewają. Pieczyste jest.

MATEUSZ.

A na legominę?

P. JAN.

Coś ze śmietany. Tylko niech nie zbiera z tej świeżej, bo tam mało co i nazbiera, ale z dawniejszej.

MATEUSZ.

A cukru?

P. JAN.

Oni teraz słodko nie jadają.

MATEUSZ.

Jednak.

P. JAN.

To już lepiej do stołu dać, bo w kuchni

skradną, ale pamiętaj kaź utłuc, tylko nie bardzo wiele, i nasypać we flaszeczkę, co to z tem gęstem sitkiem.

MATEUSZ.

No, chyba. Ale to wszystko dobrze, proszę jegomości, tylko co panna powie?

P. JAN.

Ot, powiem ci łaskawco, że od pewnego czasu, Marysia nie spazmuje, jak my się cokolwiek menażujemy; bylem jej nie przeszkadzał...

MATEUSZ.

W stroikach?

P. JAN.

Żeby to stroiki łaskawco; to przynajmniej człowiek wie, że terefel jaki taki, kosztuje dajmy na to trzydzieści rubli, więc się też to menażuje, jak trzydzieści rubli, i to przecie w domu zostaje; ale łaskawco dawać na ewikcyę wdzięczności... a to lepiej łaskawco w błoto wrzucić.

MATEUSZ.

Albo co?

P. JAN (*na stronie*).

Nie, nie powiem mu, wziąłby mnie za waryata.

(*Wchodzi* MARYSIA, MATEUSZ *wychodzi.*)

Scena II.

P. JAN — MARYSIA.

MARYSIA.

Cóż to za powozy jadą a jadą, karety, furgony?

P. JAN.

Ale to ani się spodziewasz, po prostu łaskawco konkurenci, pan Hrabia i Książę pan. A w tem zaraz i duchowny obrok moja Marysiu, że jednak to ten miły grosz coś znaczy. Może cię to łaskawco nawróci?

MARYSIA.

Jestem zupełnie nawrócona.

P. JAN.

Jak to, względem potrzeby menażowania?

MARYSIA.

Względem potrzeby oszczędności.

P. JAN.

I najmniejszego grosza?

MARYSIA.

I najmniejszego grosza.

P. JAN.

Bo to łaskawco, kto grosza nie szanuje, ten i szeląga nie wart.

MARYSIA.

I najmniejszy grosz dobrze użyty...

P. JAN.

Dobrze mówisz, ziarnko do ziarnka, będzie miarka; miarka łaskawco, to kapitał.

MARYSIA.

Byle go dobrze użyć.

P. JAN.

Tak jest, lokacya, a tu łaskawco sęk. (*Jak wyżej.*) Bo to niesłychana rzecz łaskawco, co ja

na tych lokacyach straciłem. Najprzód na pani Hetmanowej, łaskawco, siedm tysięcy rubli, na księciu Januszu cztery tysiące, to już łaskawco jedenaście tysięcy, na...

MARYSIA.

Trzeba było lepiej umieścić, drogi ojcze, czyż to tak trudno?

P. JAN.

Gadasz jak dziecko, czyż to tak trudno? Już mnie się pewnie zdawało, że mnie nikt nie ułapi, a to tak zpodjazdują.

MARYSIA.

Znaleźć prawdziwie potrzebujących.

P. JAN.

Toż każdy co bierze, potrzebuje.

MARYSIA.

Nie na zbytki potrzebujących.

P. JAN.

Rozumiem łaskawco, rozumiem, na kupno majątku.

MARYSIA.

I prawdziwie zasługujących.

P. JAN.

Tak jest, zasługujących na kredyt, a tu sęk, bo to czasem łaskawco i hypotyka jest a wiary nie ma.

MARYSIA.

A wtedy drogi ojcze w dwójnasób włożony pieniądz odbierzesz.

P. JAN.

Tylko się na procent nie łakom, szósty łaskawco, szósty, kto daje więcej, nie ma u mnie wiary.

MARYSIA.

I właśnie chciałam ci proponować biednych Wilczyńskich...

P. JAN.

Co?

MARYSIA.

Prawdziwie potrzebujących, prawdziwie zasługujących, bo nawet nie z własnej winy upadłych, parę set rubli by ich podniosło.

P. JAN.

Czy kto ręczy?

MARYSIA.

Ręczy ci Zbawiciel, że swoje pieniądze w dziesięćkroć odbierzesz.

P. JAN.

E, ja bo seryo mówię.

MARYSIA.

I ja bardzo seryo, drogi ojcze.

P. JAN.

Ja, bo łaskawco, seryo mówię, a ty żartujesz.

MARYSIA.

Wcale nie żartuję. Ale w tym momencie nalegać na ciebie nie będę, boś dosyć rozdał temi czasy.

P. JAN.

A chyba bym zwaryował, Wilczyńskim, któ-

rych się grosz nie trzyma. Moje dziecko, nawet żartów takich nie rób, bo mnie to alteruje. Ot, mamy seryo do pomówienia, o jaśnie wielmożnych konkurentach, spodziewam się łaskawco, że nie będziesz odemnie wymagać, żebym występował na ich przyjęcie.

MARYSIA.

Gdyby to byli nasi równi, lub niżsi, tobym się ja sama zajęła tem przyjęciem. Ale dla tych panów, co się przyjechali umizgać do pięknych oczu twej szkatułki; przyjmij ich sobie jak zechcesz.

P. JAN.

Ot, kiedy rozsądnie mówi, cóż to oni myślą, że nam szlachcie zaimponują. Ot, kiedy rozsądnie mówi łaskawco. (*Na stronie.*) Pójdę, powiem Mateuszowi, że nie ma potrzeby tak zaraz spuszczać na owsie. (*Odchodzi.*)

Scena III.

MARYSIA.

MARYSIA (*sama*).

Biedny ojciec... dobrze on mówi, to kalectwo, kaleka godzien politowania... biedny ojciec.

Ale ja... jakże się czuję zmienioną. Dawniej te wyrazy konkurenci, Książę, Hrabia, jakżeby mi mile brzmiały w uchu, dzisiajem wyższa od próżności pospolitych ludzi, mam inną próżność,

panuję samowładnie w sercu nieugiętej prawości człowieka.

A może i ja go w sercu noszę... cóżby dziwnego było, on mi odkrył świat nowy, pyszne widoki Boga, cnoty; on mnie podniósł wysoko, wysoko.

Kiedy sobie przypomnę, czem byłam jeszcze niedawno, litość mnie bierze. Kaleka, tak jak biedny ojciec; tylko co onby szczędził wszystko, zbierał ciągle, to ja bym była rozrzuciła wszystko, i to czem prędzej, w dniu jednym, żeby użyć czem prędzej, żeby świat olśnić zbytkiem, ażeby kto broń Boże nie powiedział „i ona skąpa jak ojciec.“

Biednego ojca wstydziłam się... O, to były chwile gorżkie, złe, z których się coś potwornego wyradzało, coś jak pogarda. On mnie wyprowadził z tej toni, nauczył ojca kochać, tak jak mnie ojciec kocha, a nie wstydzić się śmieszności z kalectwa jego co moment wyrastających; nauczył cenić nawet tę nienawistną oszczędność ojca, bo dowiódł, że tylko oszczędny może czynić dobrze, rozrzutny nigdy; pokazał zresztą, jak tę wadę prostować dobroczynnością... O, on mnie wysoko postawił, zkąd się tak małe wydają zwyczajne próżnostki, i wy Książęta, Hrabiowie... otóż prawdziwie i zapomniałam o nich, jednakże trzeba się ubrać jakoś. Ale cóż ja włożę? dla tego nieszczęśliwego Doktora wyszłam zupełnie ze strojów... Cóż włożę... nie, bo to już prawdziwie za nadto, że się na strojach nie zna, stro-

jów nie lubi; a ja dla tego mam się jak szurgot pokazać. Scenę mu zrobię. A, w samą porę przychodzi.

(*Wchodzi* DOKTOR, *ściskają się za ręce.*)

Scena IV.

MARYSIA — DOKTOR.

DOKTOR.

Cóż to za zjazd?

MARYSIA.

Czy pan znasz tych panów?

DOKTOR.

Trochę. Hrabiego spotkałem parę razy w Paryżu u Gałęzowskiego a z Księciem kolegowałem na uniwersytecie.

MARYSIA.

I cóż mi pan o nich powiesz? Bo pojmujesz pan, że mnie to interesuje.

DOKTOR.

Bardzo pojmuję.

MARYSIA (*na stronie*).

Żeby mu głos zadrżał przynajmniej. Nie, to człek z lodu.

DOKTOR.

Z jakiego pani punktu każesz fotografować?

MARYSIA.

Z wysoka, z wysoka. Najprzód Hrabia.

DOKTOR.

Hrabia, natura silnie magnetyczna, dusza śpi w ciele śpiącym, tak jako było, niżeli Pan Bóg świat stworzył. Zbudzona, magnetyzmuje się odpychająco względem wszystkiego, i wyraża się wyrazem, nie. Zbliżona do metalu, lub tego z czego się robi metal, jako to interesu; obraca się biegunem przyciągającym, i wyraża się wyrazem, daj. Wtedy ta dusza nie dawno spiąca spotęża się niesłychanie, że widzisz przed sobą jasno widzącego, z okiem żywem, głosem drgającym, pojęciem genialnem, pasyami gwałtownemi. Ciągnie długo i nieprzerwanie, aż przyciągnie. W ogólności, te natury magnetyczne, są to natury silnej woli, chociaż natury ckliwe, zimne, nadęte. Był bardzo młody jeszcze, kiedym go poznał, a już umiał nic nikomu nie dać wśród Paryża; to też się bardzo dobrze rządzi, chociaż mu przyznać trzeba, że gdzie o próżność chodzi, nie żałuje.

MARYSIA.

A drugi?

DOKTOR.

To znowu inna natura, elektryczna. Tu wszystko rozstrzelone; rozum, dowcip, dobre i złe skłonności ciągle się rozchodzą w promienie; te promienie nigdy się nie skupiają w wolą. Książę goniąc we wszystkich kierunkach, ma co raz to nowe zachcenia, roztrwoni i czas i siły i majątek.

MARYSIA.

Nie rozumiem, i proszę o zmianę stanowiska.

DOKTOR.

Bardzo dobrze pani rozumie, ale zgoda, przemieńmy względy. Ze względu społecznego, Hrabia jest jednym z tych, na których stoi społeczeństwo, element konserwacyjny; tacy jak Książę rozkopują i na wiatr puszczają społeczeństwo. I proszę zauważyć niewdzięczność społeczeństwa; Hrabia mu zawsze będzie antypatyczną figurą, z musu go tylko znosić będzie, a wszystkie swe sympatye, swe macierzyńskie pobłażania zleje na Księcia.

MARYSIA.

Jeszcze proszę o wzgląd nowy. Ich przeszłość?

DOKTOR.

Przeszłość im nie sprzyjała. Drobne gospodarskie i interesowe namiętności ścieśniły Hrabiemu umysł i tak już ciasny, a naturę już i tak rogatą najeżyły rogami nowemi. U Księcia znowu, próżniactwo i dogadzanie zachceniom, ztąd brak środków i konieczność dostania onych jakobądź, starły młodzieńczą zacność.

MARYSIA.

A przyszłość?

DOKTOR.

Przyszłość Opatrzność im daje w ręce, sami ją sobie zrobią. Być może, że Hrabia zaskorupi się w sobie, i będzie tylko narością społeczeństwa; a być może, szczególniej jeśli sobie łagodną żonę u Boga uprosi, że to będzie dobry urzędnik, pożyteczny obywatel, to co u nas nazywają szanowny.

MARYSIA.

A Książę?

DOKTOR.

Może idąc koleją zwyczajną, fatalnym będzie wszystkim co go kochali, i coraz więcej spodlony, rozpije się wódką i zginie u żyda pod ławą. A może znowu uprosi sobie u Boga anioła, co nad nim jak nad dzieckiem czuwać będzie; i ciągle zdradzona i zapoznana, dopieści do lat późnych tego, przez całą społeczność pieszczonego Michasia czy Antosia.

MARYSIA (*na stronie*).

Fatalny dla wszystkich co go kochali, nawet dla swego anioła. Ciekawam go jednak poznać.

DOKTOR.

A może już dosyć o tych panach?

MARYSIA.

O, i bardzo dosyć. Pięknie pan mówisz, szkoda że nieco za długo.

DOKTOR.

Z rozkazu.

MARYSIA.

A szczególniej, kiedy się mam ubierać... Wszak pan przyznasz że mi się ubrać trzeba?

DOKTOR.

Dla mnie, pani i tak dość piękną jesteś.

MARYSIA.

Tak, ale niestety nie wszyscy są tego zdania; a tu dzięki panu wyszłam na kwakresę i prawdziwie nie mam co wziąść na siebie. (*Odchodzi.*)

Scena V.

DOKTOR *sam.*

DOKTOR.

Dostała nowe zabawki, więc rzuca dawną, czyż mogło być inaczej? a jednak ja jak głupiec ją kocham. Rozmarzyłem się był jak dziecko w snach słodkich, a teraz rozbudzenie, że jeszcze oczy przecieram, i pytam się czy to był sen.

Tak, i nie mogło być inaczej, wyjdzie za którego z nich z gustu, próżności, konieczności towarzyskiej, i będzie nieszczęśliwą; a wtedy może wspomni sobie, że miała przyjaciela, coby krew swoją całą oddał, kropelka po kropelce za każdy dzień jej szczęścia; coby swą duszę całą, silną duszę, porzucił jej pod nogi... Może zapłacze...

Nie, niech będzie szczęśliwą... z drugim? Tak, niech będzie szczęśliwą z drugim, niech się jej wszystko kwieci w życiu, ciernie niechaj mnie bodą, niech drugi . . .

Tak, ale ja patrzyć na to nie będę, nawet rzucę te strony, gdzie ona była, gdziem ją poznał, gdziem się tak długo napawał jej widokiem, dźwiękiem jej głosu ukołysał; wyjadę, na długo. Wrócę kiedy popiół zasypie płomień... kto wie, może nie wrócę nigdy, bo może prawdę mówi wieszcz boski, może w rzeczy samej „płonie wiecznie, tak jak lampa w rzymskim grobie.“

(*Wchodzi* MATEUSZ.)

Scena VI.

DOKTOR — MATEUSZ.

MATEUSZ.

Co to gadać, i kiedy już pan tu przyjechał?..

DOKTOR.

Co? Mateuszu.

MATEUSZ.

I to nie koniecznie do apteki, bo to ubogie człeczysko, chociaż gumienny.

DOKTOR.

Cóż gumienny?

MATEUSZ.

A cóż, ani go utrzymać na toku, bo mówi, że mu żona tak wrzeszczy, że się aż sąsiedzi zbierają. Są proszę pana baby, ale to nic nie pomaga; możeby pan z łaski swojej poszedł; a możeby się obeszło i bez apteki.

DOKTOR.

Idę Mateuszu, idę. (*Zabiera się do wychodzenia.*)

MATEUSZ.

A może pan każe zaprządz, bo to daleko a błoto; choć to prawdę powiedziawszy fatalnie się karyolka zaklapie...

DOKTOR.

Nie trzeba zaprzęgać.

MATEUSZ.

Bo to ja się boję, żeby się panna nie gniewała, żem tak pana puścił.

DOKTOR.

Panna się gniewać nie będzie, Mateuszu; idę.

MATEUSZ (*na stronie*).

Dobre człeczysko, i wcale nie kosztowne; chociaż to ja zawsze mam podejrzenie, że to on naprowadza panienkę na zbytki. Otóż to tak, skąpy dwa razy traci, zdaje mu się, że doktora nie płaci, to niby zysk; a tu mu nawtykali darmozjadów. I coś temi czasy chodzi jak nie swój, kto wie, może mu się do gotówki dobierają? Otóż to tak. (*Odchodzi.*)

Scena VII.

DOKTOR (*sam*).

DOKTOR.

Na co tu podróż, ot droga moja praca, specyfik powszechny, im cięższa tem skuteczniej działa, nuże do pracy, nadtom się był rozmarzył.

(*Chce wychodzić, spotyka pana Jana.*)

Scena VIII.

P. JAN — DOKTOR.

P. JAN.

Pewnie łaskawco do chorego, nie przeszka-

dzam, nie przeszkadzam, idź kiedyś już przyjechał; tylko słówko, no i cóż Marysia?

DOKTOR.

Dzisiaj się nie radziła wcale, widać nie cierpi.

P. JAN.

Co to łaskawco, takich konkurentów. Boję się, żeby się dziewczynie głowa nie zawróciła i nie zachciała występować. Co dom ma, co dom ma, nieprawdaż? bo na dobry rachunek łaskawco nieprawdaż? oni tu przyjechali, na umizgi, do miłego grosza, nieprawdaż? Co dom ma, co dom ma.

DOKTOR.

Zapewne.

P. JAN.

Ale ja cię tu zatrzymuję, a ty chcesz iść do chorego, kiedyś już przyjechał. Ja, bo to chciałem ci przedstawić, maleńką prośbeczkę...

DOKTOR (*na stronie*).

Cóżby to było?

P. JAN.

Oto ty niechcesz się przyznać, ale ja się domyślam...

DOKTOR (*na stronie*).

Może mi dom wypowie, jeszczeby tego brakowało.

P. JAN.

Że cię to nudzić musi, jeździć mojemi staremi szkapami. To możesz sobie łaskawco i swojemi przyjeżdżać.

DOKTOR.

Najchętniej.

P. JAN.

I co masz im w domu obrok dawać, to niech twój furman tu z sobą weźmie do zasypania, pewniej ich dojdzie.

DOKTOR.

W rzeczy samej.

P. JAN.

Nieprawdaż? bo cóż ci to szkodzi. No, a teraz łaskawco idź, nie zatrzymuję. (*Odchodzi.*)

DOKTOR (*sam odchodząc*).

Powinienbym tylko się uśmiechnąć i ulitować; ale przykro mi się do tego przyznać, że nie mogę w sobie wzbudzić szacunku dla tego biedaka.

Kurtyna zapada.

Zmiana sceny.

Inny pokój, na boku stół.

Scena IX.

KSIĄŻĘ — HRABIA.

(HRABIA *w niedźwiedziach i czapce, z zimna tupie nogami i ręce zaciera* — KSIĄŻĘ *w surducie z futrem.*)

HRABIA.

Słowo daję, że mi się to jeszcze nie zdarzyło.

KSIĄŻĘ.

Zimno nas przyjmują, panie Hrabio.

HRABIA.

Dobrze Księciu żartować, w pokoju Księcia przynajmniej znośnie, ale tu u mnie?

KSIĄŻĘ.

Kazałem u siebie parę garncy wódki wypalić.

HRABIA.

Słowo daję, bardzo dobra myśl, i zaraz poszlę do tego skąpca...

KSIĄŻĘ.

Ja posłałem do karczmy, panie Hrabio.

HRABIA.

O! co tego to nie zrobię! żebym miał jeszcze podnosić propinacyę temu sknerze, zresztą boję się bólu głowy.

KSIĄŻĘ.

A zimno, to rzecz zdrowa, nieprawdaż?

HRABIA.

Ale przejdźmy do rzeczy. Czy Książę nie przyznasz na przykład, żeśmy tu sobie jak żacy postąpili, i że to był wyskok nielada...

KSIĄŻĘ.

Przyznaję, że to spotkanie się dwóch rywalów w kołowrocie...

HRABIA.

Ten zajazd przed ten kurnik takich dwóch osób razem, jest lekceważeniem siebie, nie do darowania.

KSIĄŻĘ.

Trzy sceny. Scena pierwsza: Wincenty z wysokości kabryoletu spostrzega w przestrzeni punkt, ho, ho! żagiel! lunety grają, i rozpoznajemy wyraźnie flagę nieprzyjacielską. Scena druga: zetknięcie się rywalów w kołowrocie; przepaścisty ukłon Księcia, któremu odpowiada żółto-zielony uśmiech pana Hrabiego. Scena trzecia: zajazd rywalów, przed rozczochraną strzechę pana Jana; a to w takim zamieszaniu, że coupé pana Hrabiego, znalazło się między faetonem a furgonem Księcia. Napiszę natychmiast do Matyldy, jeżeli tu w tych stronach poczta odchodzi.

HRABIA.

Książę bo żartuje, a tu interes; rzecz seryo. Kiedy tego wszystkiego byłoby się mogło uniknąć za pomocą poprzedniczego porozumienia.

KSIĄŻĘ.

Trudne porozumienie, panie Hrabio, bo jak z jednej strony pan Hrabia by mię rad widział za dziesiątą górą, tak z drugiej...

HRABIA.

Są punkta, na których się zejść możemy.

KSIĄŻĘ.

Nie widzę...

HRABIA.

Naprzykład mamy wspólny interes, żeby się ten duży majątek nie rozpadł między szlachtę.

KSIĄŻĘ.

To przyznaję.

HRABIA.

A widzi Książę. Przez szczere porozumienie możemy zyskać, przez wojnę my tracimy, a trzeci zyskają.

KSIĄŻĘ.

Ja najszczerzej się tłumaczę z moich powodów. Oto mam interesa, metresy i fabrykę cukrową; oficyaliści mnie kradną i żyć muszę, a wyznaję, że nie umiem sobie odmawiać.

HRABIA.

Niebezpieczna.

KSIĄŻĘ.

Ale to wszystko rzeczy, z któremi długo żyć można, mam jeszcze innego raka; około czterdziestu tysięcy rubli długów lichwiarskich, winnych Izraelowi i zacnemu obywatelstwu. Otóż z tem żyć nie można, i chwytam się heroicznego lekarstwa, aliansu z domem pana Jana.

HRABIA.

A dopiąwszy tego aliansu?...

KSIĄŻĘ.

Naturalnie kredyt się znowu sprowadza na drogę szlachecką i można żyć. Matylda znowu metresą en litre... ale nie uwierzysz, Hrabio, że to nie ona mnie najwięcej rujnuje; to te damy z towarzystwa, temi pożyczkami forsownemi...

HRABIA.

Ależ wracajmy do rzeczy, kochany Książę. Jak to? więc Książę szuka, jak powiada, aliansu z panem Janem na to tylko, żeby wyżyć lat kilka? Przyznam się Księciu, że to się nie godzi.

KSIĄŻĘ.

Co chcesz Hrabio? wiele czyni, kto musi. Ale i ja ci się znowu przyznam wzajem, że jeślibym miał skrupuł jaki, ten byłby zupełnie innej natury.

HRABIA.

Zapewne fatalne pokrewieństwo dla dzieci.

KSIĄŻĘ.

Jeszcze nie to. Dawniej, kiedym był młodszy, wahałbym się był poświęcić dla swojego interesu dziewczyny, wartej może lepszego losu.

HRABIA.

Bah!

KSIĄŻĘ.

Dziś się otarłem z tych szkolarstw. Wiem, że i też przyszłej Księżnie o nic więcej iść nie będzie, jak o to, żeby została Księżną; a zresztą i przy wszelkiej skromności przyznać to sobie

mogę, że mało kto szlachetniej użyje tych zapleśniałych imperyałów.

HRABIA.

Temu nie przeczę, Książę umiesz używać, to tylko szkoda, że za prędko.

KSIĄŻĘ.

„Miał jedną wadę, bo któż jest bez wady?“ Ależ mój Hrabio, co się tak dla drugich wzdrygasz złego aliansu, jakimże sposobem sam?...

HRABIA.

To co innego, ja biorę rzeczy seryo, widzę przed sobą ściśle interes, i nie dla kilku lat używanki...

KSIĄŻĘ.

Tem bardziej, że to już u was w domu nie nowina podobno. Pański ojciec także tylko interes widział w ożenieniu się z jego matką.

HRABIA.

Mój ojciec nie miał przesądów, i w dziewiętnastym wieku, w naszej Europie, któryż z panów by się wahał sterkoryzować swą ziemię; ale nie dla lat kilku używanki, a dla awantażów prawdziwych, trwałych. A właśnie klucz Złotopolski tego pana Jana, stanowi tak, jakby jedną nierozdzielną całość z moim Kuźminem; grunta o miedzę z gruntami, lasy łączne...

KSIĄŻĘ.

Słowem, ma to być małżeństwo graniczne.

HRABIA.

Nic łatwiejszego jak rzecz najbardziej seryo,

w żart obrócić. Ale wracam do tego, com mówił o wzajemnym porozumieniu, za pomocą którego unikniemy wyskoków takich, jak nasz jednoczesny tu przyjazd.

KSIĄŻĘ.

Słucham propozycyi.

HRABIA.

Punkt pierwszy. Jeden z nas mógłby się starać o względy ojca, drugi o miłość panny; tym sposobem nikt trzeci nic do zyskania mieć nie będzie.

KSIĄŻĘ.

Bardzo słuszna uwaga, i zgoda na ten punkt pierwszy. O kogożby się pan Hrabia wolał starać? czy o pana Jana, czy o pannę Janównę.

HRABIA.

Ja Księciu ojca ustąpię, jeżeli na to zgoda.

KSIĄŻĘ.

Więc biorę p. Jana.

HRABIA (*na stronie*).

Złapałem tego pana, co tak lubi żartować; byle mi pannę ująć, a ojciec z natury rzeczy pójdzie za mną.

KSIĄŻĘ.

Chociaż wiem co ryzykuję, bo jak pannę zbałamucisz... (*na stronie*) ale bo ten rubel doprawdy myśli, że się dziewczynie podobać może.

HRABIA.

A ojciec, że jak za Księciem przepadać bę-

dzie, (*na stronie*) słowo daję, rodziłem się do dyplomacyi.

KSIĄŻĘ.

No, dalej, punkt drugi.

HRABIA.

Żadna z wysokich stron kontraktujących, ani directe, ani indirecte, stronie drugiej na jej drodze przeszkadzać nie będzie.

KSIĄŻĘ.

Jakto? i nie wolno mi będzie żartować? kondycya ciężka.

HRABIA.

Żartować, jest to zawsze przeszkadzać. Choć na żarty mam i ja żarty . . .

KSIĄŻĘ.

Lekkie. (*Na stronie.*) A hipopotam. (*Głośno.*) Więc zgoda. To jest, że panu Hrabiemu nie wolno niczem dać poznać, iżem na przykład rozrzutny, lub że mam metresy; a mnie nie wolno napomknąć nawet na przykład pannie, że źli ludzie mówią, że pan Hrabia skąpy.

HRABIA.

Ludzie lekcy. (*Na stronie.*) Sam się zarzyna, bo już też pan Jan, kapitalista ostrożny, wie przecie, jak stoi Książę pan zachwytujący u wszystkich; a więc milczenie z mej strony będzie wcale zgrabne. Jak to tych lekkich ludzi łatwo w pole wyprowadzić.

KSIĄŻĘ.

Czy już koniec?

HRABIA.

Punkt trzeci. Gwarancyą traktatu, wzajemne słowo honoru.

KSIĄŻĘ.

O tem nie warto było wspominać, to słowo; chyba pan Hrabia wynajdziesz gwarancyę słowa.

HRABIA.

Z myśli mi to Książę wyjąłeś, bo właśnie słowa lecą a tylko pismo ma walor; a więc traktat ułożę w trzech punktach z motywami, i przedstawię do ratyfikacyi Księcia.

KSIĄŻĘ.

Zgoda, jeżeli taka być powinna forma traktatu. A tymczasem ja proponuję punkt czwarty; oto, ponieważ nam nie wiele rokuje obiad pana Jana, kazałem zrobić śniadanie, i jako rywal szlachetny wzywam pana Hrabiego.

HRABIA.

Słowo daję, przedziwna myśl, ale pozwoli Książę i mnie się do śniadania przyłożyć.

(*Klaszcze w dłonie, wchodzi kamerdyner z dobrą miną.*)

Scena X.

(HRABIA — KAMERDYNER — KSIĄŻĘ.)

HRABIA.

Podaj do śniadania, co tam masz z prowizyi podróżnych.

KAMERDYNER.

Słucham pana Hrabiego, ale to bardzo daleko zapakowane, i w skrzynce, a gdzieś mi się klucz zapodział.

HRABIA.

Zawsześ niedbały. To daj co masz na wierzchu . . .

KAMERDYNER.

Jest tylko szynka, zaczęta wtedy . . . dla Księcia Kaźmierza i butelka cheresu nadpoczęta także dla . . .

HRABIA.

Dosyć, dosyć, tego niewarto dawać; niezapominajże do jutrzejszego śniadania dać swoje prowizye kucharzowi Księcia.

(*Kamerdyner odchodzi, słudzy podają śniadanie.*)

KSIĄŻĘ.

Hrabia go krzywdzisz wyrazem nięd bały, bo dbały i o mienie i o honor pański; ale siadajmy.

(*Siadają.*)

HRABIA (*jedząc*).

Przedziwne, kotlety z rusztu.

(*Wchodzi* PAN JAN.)

Secna XI.

(KSIĄŻĘ — HRABIA — PAN JAN.)

KSIĄŻĘ (*do Hrabiego*).

Ależ nas złapał na gorącym uczynku.

P. JAN.

Nie przeszkadzam łaskawco, nie przeszkadzam. Panowie widać zapaśni (*siada przy stole*).

HRABIA (*poważnie*).

Może pan przekąsi z nami?

P. JAN.

Pachną kotleciki łaskawco, najchętniej (*bierze się do jedzenia*).

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Oba nieoszacowani.

P. JAN (*jedząc*).

Ależ tu zimno łaskawco. Dalipan dobrze pan Hrabia zrobił, że wdział niedźwiedzie, to i opału nie potrzeba.

HRABIA.

Jednakże...

P. JAN.

Bo to łaskawco, człowiek ma w sobie ciepła dosyć, byle mu wyjść nie dać. Pozwoli pan Hrabia, jeszcze zjem kotlecika.

HRABIA.

Bardzo proszę.

P. JAN.

Książę pan nie je? niech Książę pan zje cokolwiek, a zaraz się ogrzeje.

KSIĄŻĘ (*z uśmiechem*).

Że i opału nie będzie potrzeba.

HRABIA (*cicho do Księcia*).

Bezecny skąpiec.

P. JAN.

Panowie nie wierzą łaskawco, to wiele znaczy do ciepła jak żołądek nie próżny. Ależ bo to ja kazałem Mateuszowi dać drewek.

KSIĄŻĘ (*do Hrabiego*).

Mateusz klucz zgubił... niedbały.

P. JAN (*pijąc do Hrabiego*).

Zdrowie gospodarza.

HRABIA (*pijąc do pana Jana*).

Ha, ha, zdrowie prawdziwego gospodarza.

KSIĄŻĘ (*pijąc do obu*).

Zdrowie prawdziwych gospodarzy; radbym was ucałował obu.

P. JAN.

Ale warto by doktora poprosić. Przedziwne śniadanie!

HRABIA (*do służącego*).

Prosić tu doktora.

(*Służący wychodzi.*)

P. JAN.

Bo to panowie nie myślcie, żebym się ja nie znał na tem, co dobre... jak to bywało obiadki u Księcia Janusza.

KSIĄŻĘ.

Mego wuja?...

P. JAN.

A tak łaskawco, straciłem na nim cztery tysiące rubli. To bo niesłychana rzecz łaskawco, co ja na tych lokacyach straciłem. Najprzód na pani Hetmanowej łaskawco, siedem tysięcy rubli,

na księciu Januszu cztery tysiące rubli, to już łaskawco jedenaście tysięcy rubli. Na...

HRABIA.

Cóż, taka bagatela...

P. JAN.

Piękna mi łaskawco bagatela, jedenaście tysięcy.

(*Wchodzi* DOKTOR.)

Scena XII.

(KSIĄŻĘ — HRABIA — PAN JAN — DOKTOR.)

P. JAN.

Chodźże Doktorze, pan Hrabia nam daje przedziwne śniadanie... jest jeszcze na kilka osób, siadaj. Ale, (*do Hrabiego*) panowie znajomi?

HRABIA.

Z Paryża.

KSIĄŻĘ (*ściskając za rękę Doktora, na stronie*).

Siadajże, siadaj, sto dukatów są warci, robią sobie wzajemnie honory mego śniadania.

DOKTOR (*siadając*).

Dziękuję, niegłodnym.

P. JAN.

Ty bo nigdy nic nie jesz, jest jeszcze na kilka osób. To chyba ja zjem za ciebie, bo szkoda zostawiać...

KSIĄŻĘ (*do Doktora*).

Cośeś dziś chmurny?

DOKTOR.

Niezdrówem.

P. JAN.

A tak łaskawco, komuż to chorować jak nie Doktorowi; bo to i rada nie kosztuje, i aptekarz łaskawco nie bardzo ci tak śmie podać aptekarski rachunek. Ale panowie podobno szkolni koledzy?

KSIĄŻĘ.

Z jednej ławy.

P. JAN.

Niemasz łaskawco jak koleżeństwo, to tak jak ja z panem Ignacym; tylkośmy się w przeszłym roku popsztykali trochę, o lokacyę, bo to łaskawco przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem.

HRABIA (*cicho do Doktora*).

Obrzydliwy skąpiec.

P. JAN (*do Hrabiego*).

Ale zostawmy ich, oni mają z sobą pono dużo do mówienia; chodźmy, zaprezentuję pana Hrabiego mojej córce.

HRABIA.

Tylko pan każ tymczasem napalić.

P. JAN.

Kazałem łaskawco Mateuszowi, kazałem, i jeszcze przykażę...

(*Odchodzą Pan Jan i Hrabia*)

Scena XIII.

(KSIĄŻĘ — DOKTOR)

KSIĄŻĘ.

Nie uwierzysz jak się dobrali, ale wiesz, że

mię tu już zaczyna dusić skąpstwo jak gaz węglowy, ratuj Doktorze.

DOKTOR.

Nie zginiesz ty od skąpstwa, ale...

KSIĄŻĘ.

Oho, już kazanie zaczynasz.

DOKTOR.

Słuchaj mnie. Czy od czasu cośmy się nie widzieli, upadłeś bardzo?

KSIĄŻĘ.

To zależy od stanowiska, z którego obserwujemy, jakeś dawniej mawiał.

DOKTOR.

Z naszego dawnego stanowiska.

KSIĄŻĘ.

Dawnom tam nie był.

DOKTOR.

Więc już nie możesz wrócić na nasze dawne stanowisko.

KSIĄŻĘ.

Mogę, dla ciebie, pamiętaj że dla ciebie jednego wracam na nasze szkolne stanowisko.

DOKTOR.

Jam sądził zacne, ale niechaj będzie i szkolne. I mówić będziesz szczerze?

KSIĄŻĘ.

„Szczerość, jeszcze mi jedna pozostała cnota.“

DOKTOR.

Więc mów.

KSIĄŻĘ.

Cóż chcesz, kolej zwykła. Wiesz jak mi się

życie uśmiechało, a jednak się z początku uwieść nie dałem tym uśmiechom; żyłem zacnie, szlachetnie, dobroczynnie...

DOKTOR.

Proszę cię tylko, nie nazywaj tego dobroczynnością, kto chciał brał, najczęściej najniegodniejsi.

KSIĄŻĘ.

Cóż chcesz, wiem że z serca dawałem. Przytem lubiłem sztuki piękne, i otoczyłem się pięknem. Tak szło blisko lat czterech, a na końcu tego wszystkiego wiesz com znalazł? nudę i znużenie.

DOKTOR.

Cóż dziwnego, bawiłeś się, a zabawa jest tylko po pracy spoczynkiem, snem. Tyś spał lat cztery z rzędu, cóż dziwnego, że cię to znudziło.

KSIĄŻĘ.

Slicznie moralizujesz, to tylko szkoda, że wszyscy śpią, i nikt, z tych co mogą spać, nie bierze się do pracy; a kto tylko może, od pracy bierze się do snu. Więc auctoritas publica bez repliki jest za mną.

DOKTOR.

Temu się też ja wiecznie dziwię. Tak, nikt, prawie nikt nie pracuje, z tych co nie pracować mogą; ale to u nas tylko. No, kończ swoje.

KSIĄŻĘ.

To piękne życie kosztuje wiele, ja nigdy rachować nie umiałem, a więc się pokazały długi; ofiarowania były serdeczne, zacząłem podpisywać...

DOKTOR.

Że oddasz, wiedząc że nie oddasz.

KSIĄŻĘ.

O nie, nawet mi na myśl nie przyszło żebym terminu mógł chybić, a pierwszy chybiony termin odchorowałem. Dzieciństwo, dzisiaj ci podpisuję, przysięgam, słowo honoru daję, a wiem, że termin to tylko iluzya. Kapitaliści, mój drogi, nie zasługują na żadne względy, to pierwsza zasada naszej ekonomii politycznej.

DOKTOR.

Mówisz o lichwie?

KSIĄŻĘ.

Mówię o kapitale w ogólności, a więc i o kapitale szlacheckim, i za mną jest auctoritas publica bez repliki.

DOKTOR.

Bah!

KSIĄŻĘ.

Jak to, i tego nie widzisz?

DOKTOR.

Mów dalej.

KSIĄŻĘ.

Ale zapomniałem powiedzieć, że jeszcze wcześniej pozbyłem się innego przesądu. Obiecanka cacanka, a że kobiety lubią cacanki, więc...

DOKTOR.

A to infamija!

KSIĄŻĘ.

Tak bym i ja myślał, gdybym wierzył w rozpacz kobiecą, a szczególniej w jej trwałość; ale

przeciwnie wierzę, że kobieta najwięcej kocha tego co ją uwiódł.

DOKTOR.

Chwalisz się.

KSIĄŻĘ.

Nie myśl, proszę, żeby to były teorye rozumowane, to wszystko po prostu z praktyki wyszło. Uwiedziony chęcią, uwiodłem; dla uwiedzenia obiecałem się żenić, ma się rozumieć nie dotrzymałem. Czy myślisz że mi się kto skrzywił za to? owszem, wszystko w ład poszło i jeszcze zyskałem na sławie. Mój drogi, i tutaj za mną auctoritas publica.

DOKTOR.

A kraść nie będziesz? bo sądzę, że dostrzegasz postępów auctoritis publicae na tej drodze.

KSIĄŻĘ.

Wiesz, że nie mogę, mam jakiś wstręt wrodzony. Zresztą mam żyłkę która się wypruć nie da, a z którą na tę drogę wejść nie mogę. Lecz na cóż kraść, jeszcze i tak na długo mi wystarczy pożyczać.

DOKTOR.

I może nie oddać, bo już zapewne masz długu tyle, co majątku...

KSIĄŻĘ.

Jest tam jeszcze majątek mego ojca, jeśli mu go kto nie weźmie. Zresztą to już nie moja rzecz, to rzecz tych, co mi pożyczają; moja rzecz, odsunąć jak najdalej granice mego kredytu, aż do bajecznych granic odsunąć.

DOKTOR.

Jednak to droga trudna, ciernista, potrzebująca natężeń.

KSIĄŻĘ.

Nie przeczę.

DOKTOR.

Więc czegoż idziesz?

KSIĄŻĘ.

Najprzód nie idę sam, idę z innemi; a potem idę bo muszę, bo mnie na tę drogę wepchnęła konieczność, i ciągle konieczność pcha mnie z tyłu.

DOKTOR.

Jaka konieczność?

KSIĄŻĘ.

Konieczność w rozmaitej postaci; raz jako komisarz, dowodzący, że potrzeba pieniędzy na początek kontraktów koniecznie; drugi raz jako żyd z brodą, utrzymujący, że mu trzeba zapłacić koniecznie; to znowu jako baletniczka, potrzebująca koniecznie tysiąca rubli, na wykupienie jakiegoś tam urwisza kuzynka. Słowem, muszę żyć, a nie umiem sobie nic odmówić, i to zagadka cała. Uważaj proszę, rzecz mała, nie umiem sobie odmówić.

DOKTOR.

O! rzecz wcale nie mała.

KSIĄŻĘ.

I przyznasz, że w nasze cnotliwe studenckie rozumowania wszystko wchodziło, oprócz tego maleńkiego „nie umiem sobie odmówić“. Nie tak

jak nasz pan Jan, co aż nadto umie sobie odmówić. Więc pan Jan górą, wiwat pan Jan, wiwat dom jego, i córa jego, z którą mi się dziś żenić przychodzi, dla doprowadzenia kredytu do najbajeczniejszych granic. Ale czegoś się tak zasępił?

DOKTOR (*zamyślony*).

Nie widzę sposobu jej ratować.

KSIĄŻĘ.

Fortuny pana Jana? puszczę ją.

DOKTOR.

Nie, córki, co będzie ofiarą tej fortuny. Kara opatrzna na skąpca, że z jego fortuną zginie to, co ma najdroższego po fortunie, dziecko. Ależ ona niewinna...

KSIĄŻĘ.

Coś cię bardzo interesuje?...

DOKTOR.

Nad życie.

KSIĄŻĘ.

A...

DOKTOR.

I nie widzę sposobu, żeby ją ratować.

KSIĄŻĘ.

Cóż chcesz, daję ci słowo, że ci przeszkadzać nie będę, ale po ślubie dopiero. Widzisz bo z tą szlachtą nic po prostu nie zrobisz; zaproponuj im naprzykład, oto sprzedaję pannie tytuł i położenie towarzyskie, za tyle a tyle posagu; gdzież tam? trzeba ją olśnić, głowę jej zawrócić, rozkochać, dopiero ojca nakłoni, więc ci ją muszę na moment zbałamucić.

DOKTOR.

Pójdę i wszystko jej powiem.

KSIĄŻĘ.

Oddasz mi prawdziwą przysługę, wystąpię od razu w Bajronoskim świetle.

DOKTOR.

Prawda. Słuchaj, tyś nie tak zepsuty, jak mówisz.

KSIĄŻĘ.

Zaczekaj i zrozummy się. Jeśli myślisz żem niegorszy od innych, zdaje mi się, że masz racyę; z tem tylko, że ja widzę jasno i nie udaję, a oni nie widzą, bo głupi i żyją tak, bo tak żyli ich ojcowie, nie widzą, bo nie chcą lub się boją widzieć, a w każdym razie nigdy na tej maskaradzie świata maski zdjąć nie śmieją... nigdy, nawet przed lustrem.

DOKTOR.

Więc odstąpisz?

KSIĄŻĘ.

Nie odstąpię, bo nie mogę odstąpić. Nie odstąpię, bo twe strachy, istne strachy nocne, co po dniu wielkiego świata nie chodzą, bo twoja Marya (vulgo Marysia) bardzo mi wdzięczną będzie, że z niej księżnę zrobię; że ty sam kiedyś mi podziękujesz, żem cię zawczasu wyrwał z Donkiszotostwa, w którym będziesz gonił wiatraki, dopóki ci jaki zpanoszony szlachcic albo głupi podpanek nie wydrze twej dulcynei, co pół rada, pół nie rada, porzuci cię na zawsze. Kiedy prze-

ciwnie, ja ci przyrzekam położenie wcale przyjemne, przyjaciela serdecznego wielkiej Pani...

DOKTOR (*przerywając*).

Dość, dość już tego, brodzcie bezemnie w swych brudach. A teraz chceszli wiedzieć jak ty (?) skończysz? mówię ci to bez zgrozy i gniewu. Oto, dojdziesz do najwyższego szczytu użycia, rozpijesz się wódką; i stopniami spodlony, ogłupiały stopniami, skończysz u żyda pod ławą, z choroby zwanej delirium potatorum. Na to jest także auctoritas publica bez repliki.

KSIĄŻĘ.

Czyli myślisz że i tej szansy nie widzę przed sobą? ale to najgorsza szansa; są lepsze, naprzykład, umrzeć gdzieś w jakiej wielkiej stolicy ambasadorem.

DOKTOR.

Bądź zdrów.

KSIĄŻĘ.

Jeszcze jedno słowo, to ostatnie, wiedz że są chwile znużenia, chwile coraz to rzadsze, w których mi żal życia dawnego. A teraz od dziesięciu lat nie zdjętą nakładam nazad maskę. Bądź zdrów Doktorze.

Kurtyna zapada.

AKT III.

Ten sam pokój co w akcie pierwszym.

Scena I.

(MARYSIA *ziewa, robiąc robotę, przy niej* HRABIA *kręci palcami. Pauza*).

HRABIA *(na stronie).*

Już nie wiem, z jakiej beczki z nią zacząć, fatalnie nudna *(po pauzie do Marysi).* Czy pani jeździ na koniu?

MARYSIA *(sucho).*

Nie. (*Pauza.*)

HRABIA.

I ja nie jeżdżę konno (*pauza*) i nie pojmuję wcale, jak można ten gust mieć na wsi (*pauza*), bo jeszczeż za granicą, gdzie tylko człowiek bogaty może mieć konia, to się to pojmuje; ale na wsi gdzie każdy ekonom na koniu jeździ... (*pauza*) jeszczeż to, kiedy gust tylko; ale jak pasya; naprzykład Książe rujnuje się na konie.

MARYSIA *(żywo).*

Książe lubi konie?

HRABIA.

Ale co to lubi, przepłaca, i to zawsze kilkanaście wierzchowych darmojadów dla każdego z gości; a któż to ci goście? szerepetki z okolicy.

MARYNIA.

Jak się nazywa faworytalny koń Księcia?

HRABIA.

Gülüzar.

MARYSIA.

Jakiej maści?

HRABIA.

Nie wielka klacz biała na czarnej skórze. Czy pani lubi konie?

MARYSIA.

Pasyami.

HRABIA.

Ja w Paryżu trzymałem konia wierzchowego, ogromny sobolowaty folblut; kupiłem go za bezcen, jak sprzedawano stajnię prezydenta; jednak piękny mi bezcen, ośmdziesiąt luidorów, to po naszemu czterysta rubli. (*Pauza.*) Powiem też pani z tej okazyi anegdotę dowodzącą, że i we Francyi jest gościnność. (*Pauza.*) Najwięcej mi w licytacyi przeszkadzał Vicomte de Mouchy, jeden ze lwów du Café anglais; więc ja, żeby mu dać poznać, powiadam mu, że ja pod siebie tego konia kupuję; a on mi na to „Alors je cède au comte ne fut-ce que pour le voir comme Henri IV., sur un si grand cheval“ i w rzeczy samej odstąpił od licytacyi, szkoda że nie pierwej.

MARYSIA.

Ależ to nadzwyczaj grzecznie, tem bardziej, że się to zapewne stosowało do znanej piosenki Beranżera.

HRABIA.

Tak mi to mówiono w Paryżu; i proszę pani uważać że to tem grzeczniej, że Vice-hrabia straszny legitymista, więc w jego ustach porównanie do Henryka IV. było wcale zgrabne.

MARYSIA (*śmiejąc się*).

Prawda, że zgrabne.

HRABIA (*na stronie*).

Przecież żem się nareszcie rozruszał, ależ fatalnie nudna.

MRAYSIA.

Pan Hrabia nigdy nie opowiadał tej anegdoty Księciu?

HRABIA.

Nie, wyznaję że nie lubię rozmowy z Księciem; dla niego nic świętego, nic poważnego, wszystko lubi obracać w śmieszki.

MARYSIA.

Tak, i tu by zapewne szukał czegoś śmiesznego.

HRABIA.

Nie nosi przyzwoicie swojej godności; a szkoda, człowiek tak urodzony, tak spokrewniony; ale nie umie sobie dać powagi.

MARYSIA.

Pan Hrabia dawno zna Księcia?

(*Wchodzi* PAN JAN.)

Scena II.

PAN JAN — MARYNIA.

P. JAN (*do Hrabiego*).

No i cóż?

MARYSIA (*wstając*).

Zostawiam panów. (*Do pana Jana na stronie*). Jak na dziś, dosyć tej pańszczyzny. (*Odchodzi*).

Scena III.

HRABIA — PAN JAN.

HRABIA.

Idzie nie źle, chociaż się przyznam panu Janowi, że nie łatwo utrzymać konwersacyę z osobą... wychowaną na wsi...

P. JAN.

Co też mówisz łaskawco, wychowaną, wychowaną; chyba nie wiesz łaskawco, co mnie to wychowanie kosztowało? bo to i guwernantce płać i metrom płać. To szczęście, że się to już skończyło.

HRABIA.

Widzi pan Jan, same koszta nie wystarczą, trzeba dyrekcyi.

P. JAN.

Tylko mi już nie mów o dyrekcyi łaskawco, proszę cię nie mów. Chciałem ja popróbować tego chleba, i udałem się do pana Niedouczyłły, Litwin łaskawco. Proponowałem mu tedy ośmset rubli, uważasz, ośmset rubli. A on łaskawco przy-

staje, pokorny Litwin łaskawco; a tylko dodaje maleńki waruneczek, że po trzech latach gratyfikacyi pięć tysięcy rubli. Uważasz łaskawco, pięć tysięcy rubli.

HRABIA.

I cóż to pięć tysięcy rubli, gdzie idzie o wychowanie? W Paryżu...

P. JAN (*przerywając*).

Tylko mi łaskawco nie mów o Paryżu, to musi być Sodoma i Gomora, co ztamtąd wyjdzie to perdygrosz.

HRABIA.

Ale mi pan Jan nie dajesz wyrazić mojej myśli. Oto mówiłem, że chociaż trudno utrzymać konwersacyę, z osobą (pozwoli sobie pan Jan powiedzieć) tak jakby niewychowaną, jednak śmiem powiedzieć, że to idzie nie źle.

P. JAN.

Tem lepiej łaskawco, tem lepiej; a więc już możemy trochę pomówić o interesach.

HRABIA.

A! o interesach, słucham.

P. JAN.

Bo to widzisz łaskawco, clara pacta, claros faciunt amicos. Ja mojej Marysi dam co będę mógł.

HRABIA.

Co?

P. JAN.

Wszystko łaskawco, wszystko po mojej śmierci zabierzecie.

HRABIA.

Pan Jan możesz żyć długo.

P. JAN.

Ej, gdzie tam.

HRABIA.

Suchy, zawiędły, pan Jan pociągniesz długo.

P. JAN.

Nie wierz temu, łaskawco.

HRABIA.

Ale to by mi było rzeczą obojętną, bo jużci pan Jan nie stracisz.

P. JAN.

Nie stracę łaskawco, nie stracę.

HRABIA.

Ale pan Jan nie masz tych intrat, co byś mógł mieć.

P. JAN (*wzdychając*).

Ach, prawda.

HRABIA.

Pan Jan jesteś skąpy.

P. JAN.

Oszczędny, łaskawco; oszczędny, bo kto grosza nie szanuje, szeląga nie wart.

HRABIA.

Nie ganię oszczędności, nawet na skąpstwo bym pozwolił; ale skąpy dwa razy traci.

P. JAN.

Tak, to mi i Mateusz mówi, ale naucz łaskawco, jak tracę? to się poprawię.

HRABIA.

Pan Jan za mało siejesz.

P. JAN.

U mnie łaskawco, już tak uregulowano, za to też nie mam nakładów.

HRABIA.

I niemasz pan Jan intraty.

P. JAN (*patrząc niespokojnie w okno*).

Słucham łaskawco, słucham; za pozwoleniem, minutkę, (*woła przez okno*), Mateuszu, Mateuszu, pójdźno zobacz, co to Ratuszniak wynosi z toku. (*Powracając do Hrabiego.*) Mam widzisz łaskawco okienko, z którego widzę wrota do toku, a wrota tylko jedne. Ale słucham łaskawco, słucham.

HRABIA.

Trzeba siać dwa razy tyle.

P. JAN.

Będę siać.

HRABIA..

Nie będziesz, bo na to trzeba nakładu, a nie wydasz.

P. JAN. (*wzdychając*).

Wydam.

HRABIA.

Nie wydasz. Trzeba natężyć gospodarstwo, trzeba chłopa naciągnąć.

P. JAN.

U mnie chłopi się mają Bogu chwała dobrze, i nie potrzebuję dawać.

HRABIA.

I cóż z tego? porachuj pan Jan tylko, ile to chłop marnuje na wódkę, na odzież, na wesela; o tyle pan Jan masz mniej.

P. JAN.

Prawda, dalipan prawda.

HRABIA.

Więc trzeba chłopa naciągnąć; a że chłop będzie krzyczał, trzeba dać.

P. JAN.

Nie, ja nigdy nie daję.

HRABIA.

Trzeba dać, i grubo dać, to się na chłopie znajdzie z nawiązką; a tego wszystkiego pan Jan nie zrobisz. (*Moment milczenia.*) Do tego, że się pan Jan nie zdecydujesz nigdy produktu sprzedać, i produkt gnije.

P. JAN (*ciszej*).

Sprzedam łaskawco, sprzedam.

HRABIA.

I intraty przyzwoitej, jak nie masz, tak i mieć nie będziesz; więc trzeba część majątku wydzielić córce, część znaczną.

P. JAN.

Kiedy, bo to łaskawco, i dziecko dać i majątek dać . . .

HRABIA.

Przynajmniej klucz Złotopolski.

P. JAN.

Ależ to oprócz wioski, gdzie mieszkamy, prawie wszystko.

HRABIA.

A kapitały?

P. JAN.

Co tam tych kapitałów.

HRABIA.

Znaczne, wiem, że znaczne; i do tych się nie wtrącam, bo wiem, że pan Jan ostróżny w lokowaniu.

P. JAN.

Gdzież tam łaskawco, gdzież tam; to niesłychana rzecz, co ja na tych lokacyach straciłem. Najprzód, na pani Hetmanowej, łaskawco ...

HRABIA (*przerywając*).

To moje ultimatum, klucz Złotopolski.

P. JAN.

Ależ łaskawco . . .

HRABIA (*przerywając*).

A może pan Jan wyda córkę za Księcia?

P. JAN.

Co bo mówisz łaskawco? perdygrosz!

HRABIA.

A więc trzeba przyjąć moje ultimatum.

P. JAN.

Niechno, niechno. (*Na stronie*). Może go Marysia uchodzi, bo to czasem kobiety umieją.

HRABIA (*odchodząc*).

Niech się pan Jan namyśli.

P. JAN (*sam*).

Ależ twardy; no, ten majątku nie straci. Tak, ale znowu, żeby dać klucz Złotopolski, ciężka kondycya.

Scena IV.

MATEUSZ — PAN JAN.

MATEUSZ (*wchodząc*).

To plewa.

P. JAN.

Djabłać tam plewa, klucz Złotopolski zaraz dać.

MATEUSZ.

Co to gadać, alboż to klucz złotopolski nasz? to pana komisarza.

P. JAN.

A jednak?

MATEUSZ.

Da co łaska; albo tam co dopilnować? co zamenażować?

P. JAN.

Więcbyś łaskawco wziął Hrabiego.

MATEUSZ.

Ha, to co innego.

P. JAN.

No gadaj, cobyś zrobił?

MATEUSZ.

Co to gadać, jabym naprzód Księcia pana odprawił, bo perdygrosz.

P. JAN.

Dobrze mówisz, łaskawco, bo perdygrosz; no, a potem?

MATEUSZ.

Potem bym kazał konie zaprządz panu Hrabiemu, i niech jedzie do pomsty.

P. JAN.

Ależ, takiego konkurenta łaskawco, nie wypuszczać.

MATEUSZ.

Co to gadać, skąpiec.

P. JAN.

Niby to ty Mateuszu też nie skąpy, no, i ja też oszczędny, bo to widzisz łaskawco, kto grosza nie szanuje, ten i szeląga nie wart.

MATEUSZ.

Co to gadać, to co innego. Niech szlachcic skąpy, to sobie skąpy, ot zwykle menażuje i kwita; ale kiedy pan skąpy, to na cudze skąpy i kwita. Niechże szlachcic, to na cudze nie bardzo i może bo przychodzi świecić baki między bracią; ale panowie, to się ludzkiej krzywdy między sobą nie wstydzą.

P. JAN.

Tak to, tak, trochę to tak.

MATEUSZ.

A co tam ludziska mówią? to ten Książę, to słyszę dobre panisko, ale ten Hrabia.

P. JAN.

Tak to, tak, ale to jednak łaskawco partya, a twardy . . . takich się to grosz trzyma.

MATEUSZ.

No, chyba.

P. JAN.

Ale łaskawco, a Ratuszniak?

MATEUSZ.

Mówiłem Jegomości, plewa.

P. JAN.

A, to o tem. A rozwiązywałeś worek?

MATEUSZ.

Juści.

P. JAN.

I patrzałeś łaskawco od spodu?

MATEUSZ.

Oczewiście. Ale co to gadać, czy jegomość nie miarkuje co panienka na to powie?

P. JAN.

Ona i wiedzieć nie będzie.

MATEUSZ.

Ja, bo nie o tem, ja o tamtych.

P. JAN.

A to o tem; otóż ci powiem łaskawco, że pan Hrabia zdaje się pewien swego, a mnie się coś widzi . . .

MATEUSZ.

Może tamtego woli?

P. JAN.

Co bo mówisz łaskawco? perdygrosz!

MATEUSZ.

Co to gadać, albo to w tych młodych głowach rozsądek?

(*Moment milczenia.*)

P. JAN.

Mateuszu, przyszło mi na myśl... Jak się Marysi zachce wyjść za Księcia.

MATEUSZ.

To co?

P. JAN.

To się uprę, Mateuszu.

MATEUSZ.

To i ona się uprze.

P. JAN.

Mateuszu, wiesz, że jak się uprę... o lokacyę... to mnie nikt nie przeprze. No, a tu łaskawco, prawie to, co lokacya.

MATEUSZ.

No, chyba.

(*Wchodzi* KSIĄŻĘ, MATEUSZ *wychodzi.*)

Scena V.

KSIĄŻĘ — P. JAN.

KSIĄŻĘ.

Dobrze, żem pana dobrodzieja spotkał.

P. JAN.

Sługa, uniżony sługa łaskawco.

KSIĄŻĘ.

Chciałbym rady pana dobrodzieja zasięgnąć w interesach.

P. JAN.

Słucham łaskawco; rada się nie odmawia, to nie lokacya.

KSIĄŻĘ.

I w tym celu go proszę o kwandransik czasu.

P. JAN.

Najchętniej łaskawco, najchętniej; czas nie kosztuje.

KSIĄŻĘ.

Rzecz idzie o to, że dają mi, jak się zdaje, nie złą cenę, za majątek krasnołucki. Pan dobrodziej to zna?

P. JAN.

A jakże łaskawco nie znam? traktowałem o to z nieboszczką matką pańską; smaczny to kąsek.

KSIĄŻĘ.

Idzie o to: 1) czy mam potrzebę sprzedać, czy nie mam? 2) czy mogę od nabywcy żądać więcej, czy nie mogę?

P. JAN.

Rozumiem, dajże mi swój bilans łaskawco.

KSIĄŻĘ (*dobywając z zanadrza papier*).

Ale wpierw radbym panu dobrodziejowi opowiedział, jak to było; bo kiedy ma być spowiedź, niechże będzie spowiedź powszechna.

P. JAN.

A tak łaskawco, tak jak księdzu, albo doktorowi.

KSIĄŻĘ.

Otóż jak panu dobrodziejowi wiadomo, skończyłem szkoły i uniwersytet, gdzie wszystkiego uczą, a nie uczą, że trzeba miły grosz oszczędzać, bo kto grosza nie szanuje, ten i szeląga nie wart.

P. JAN.

A tak łaskawco, z ust mi wyjąłeś, bo czego to oni nie uczą... arytmetyka, gramatyka, a tego nie uczą co człowieka dotyka, jak grosz składać najwięcej do grosza. To też wychodzą perdygrosze! ale przepraszam cię, łaskawco.

KSIĄŻĘ.

Nie obrażam się wcale, bo mi się ten epitet słusznie należy. Ale pan dobrodziej zauważ, gdzie się to mogłem przyzwoitej oczczędności wyuczyć? już też nie u mego wuja Janusza... Pan go podobno znałeś? dobry człowiek, ale rządu ani za grosz.

P. JAN.

Komuż to mówisz łaskawco? a jaki zbytek?... Jakże nie znałem? toż na nim straciłem cztery tysiące rubli; a do tegoż na pani Hetmanowej siedem tysięcy, to już jedenaście tysięcy; a do tego na...

KSIĄŻĘ (*przerywając*).

Więc tak puszczony na świat, co miałem oszczędzać, zacząłem poprostu tracić — żyć za granicą — (*za każdą pauzą, westchnienie pana*

Jana). A dalej długi, procenta, i byłbym niezawodnie doszedł do ruiny; kiedy mi właśnie w tym roku wpadł dekret rozbiorowy mego wuja Janusza.

P. JAN.

Dekret sądu zjazdowego, pisałem komparycyę, łaskawco.

KSIĄŻĘ.

I tabela spadłych wierzycieli, na której i pan dobrodziej...

P. JAN.

Cztery tysiące rubli.

KSIĄŻĘ.

I powiedziałem sobie: żeby to też takie (!) sumy przepadły; bo żeby to z gry, albo rachunków.

P. JAN.

Gotowiuteńkie.

KSIĄŻĘ.

Albo pieniądz lekko nabyty, ale to...

P. JAN.

Grosz do grosza łaskawco składane.

KSIĄŻĘ.

I odtąd dałem sobie słowo... menażować się.

P. JAN.

A prawda, co to się dziwić łaskawco; ot tak puszczony młodo na świat z groszem, to zaraz wydrwigrosze obsiędą.

KSIĄŻĘ.

I powiedziałem sobie... nim da Pan Bóg poradnika w domu, żonę z oszczędnego gniazda, z któ-

rąby się razem menażowało, to się tymczasem zaradzę szanownego pana Jana.

P. JAN.

Dobrześ łaskawco zrobił.

KSIĄŻĘ.

Bo to i ziemia jest piękna, i nadzieja sukcesyi kiedyś, i żalby to zmarnować.

P. JAN (*sięgając po papiery*).

Dawaj, dawaj, zaraz ci to przewertuję od nitki do nitki. (*Na stronie.*) A to zaraz Mateusz... odprawić. I czego? pomaleńku łaskawco. Jednak, gdyby przyjść miało, do lokacyi albo do deklaracyi... Nie mam łaskawco, nie mam.

(*Pan Jan z zabranemi papierami odchodzi.*)

Scena IV.

KSIĄŻĘ (*sam*).

Przedziwny! Jednak nie mogłem go dziś więcej pochwycić, bo czuję, żeby mi się wyśliznął jak węgorz. Ale niech się tylko dotknie tej ziemi, rachunków, inwentarzy, to się już jej nie puści. A że jej nie kupi bo zbyt droga, będzie wolał mi córkę oddać, byle ziemię zachował choć dla córki. Ta szlachta ma pasyę do ziemi.

(*Wchodzi* MARYSIA.)

Scena VII.

MARYSIA — KSIĄŻĘ.

MARYSIA.

Wszak to podobno Książe przywiózłeś tego pana Hrabiego, co mnie śmiertelnie nudzi, i pozbyć się go nie mogę.

KSIĄŻĘ.

Człek wytrwały.

MARYSIA.

Wyobrażenia nie miałam nudziarza podobnego.

KSIĄŻĘ.

Być może, ale wytrwały i wytrwałością dopnie celu.

MARYSIA (*żywo*).

Nigdy! Książę mnie nie znasz i nie wiesz, że kiedy powiem niechcę... Ale czyż w waszym świecie miękkim, bezwładnym, wiecie co to jest chcieć lub niechcieć?

KSIĄŻĘ.

A...

MARYSIA.

To a, może mieć rozmaite znaczenie, tu znaczy zapytanie, skąd (?) wiedzieć mogę, co się w tym pańskim świecie dzieje. Odpowiem, że lat kilka bawiłam na Wołyniu, gdzie się tem nadzwyczajnie zajmują, co panowie mówią, co robią; a chociaż z powszechnem zgorszeniem, przyjmo-

wałam to z ukraińską obojętnością, obiło mi się o uszy wiele.

KSIĄŻĘ.

A z tego wiele, wnioski?...

MARYSIA.

Nie korzystne dla was.

KSIĄŻĘ.

Jednak?

MARYSIA.

Jesteście duże dzieci, celem waszym wiecznie zabawa, ten z was lepszy, co umie lepiej bawić się, i was bawić.

KSIĄŻĘ.

Z nas kilku próżniaków, bierzesz pani miarę wszystkich. Są przecież między nami i fabrykanci...

MARYSIA.

Co się bawią w fabryki, tak jak inni bawią się w rząd majątku, a komisarz i plenipotent rządzą; a inni znowu bawią się w urząd, a sekretarz urzęduje; inni się bawią w wychowanie dzieci, a guwerner i guwernantka wychowują, a raczej nie wychowują. A jednak pan u nas, jest to rzecz... Przedstawiciel Opatrzności dla tysiąca poddanych, z szlachty wyrosły, w szlachtę wracający, naturalny przewodnik szlachty. Ale gdzież u was tradycya?

KSIĄŻĘ.

Jednak my tylko sami przechowujemy tradycye.

MARYSIA.

Jakie tradycye? tradycye Stanisławowskie, tradycye francuskiego, przedrewolucyjnego salonu.

KSIĄŻĘ.

Do skompletowania szkicu dodam pani rys jeden. Książę Marcin zwykł był często powtarzać maksymę „obowiązek przed wszystkiem.“

MARYSIA.

Rzymska maksyma.

KSIĄŻĘ.

A właśnie Książę wcale Rzymianinem nie był.

MARYSIA.

Więc cóż ta maksyma wyrażać miała?

KSIĄŻĘ.

Uczucie obowiązku, rewizyty, oddania ukłonu, i tym podobnych.

MARYSIA.

A więc Książę rozumiesz bardzo dobrze...

KSIĄŻĘ.

I to, i inne. Naprzykład szlachcica, co się ma za czystego, byle o nim nic, nigdy, nikt złego nie powiedział, i w tym celu wywija się jak wąż życie całe, żeby się nikomu nie narazić; więc przyklaskuje z równą serdecznością i za i przeciw, a tylko jedno zdanie stoi w nim trwałe, że godzi się pana naciągnąć dla zysku lub przyjaźni.

MARYSIA.

Z kilku bierzesz pan miarę wszystkich.

KSIĄŻĘ.

I widzę dalej chłopa, syna natury, co rzeczy widzi po prostu, i nie wzdryga się wcale pół korca zboża przenieść ze stodoły pańskiej do swojej. Ale oto się upił, i nóż ostrzy na bankiet, który mu się i nie zdarzy może. Więc widzi pani, że rozumiem bardzo dobrze.

MARYSIA.

I cóż Książę na to wszystko?

KSIĄŻĘ.

Nie Homerycznym śmiechem, bo to nie w mojej naturze, ale skrzywionym uśmiechem Mefistofelesa... śmieję się.

MARYSIA (*na stronie*).

Fatalny!

KSIĄŻĘ.

A wiesz pani, kto największy filozof wszelkich czasów?

MARYSIA.

Kto?

KSIĄŻĘ.

Ludwik XV, gdy mawiał: „To potrwa przynajmniej tyle, co ja, a po mnie niech sobie będzie i potop.“

MARYSIA.

I zgrozę Książę wzbudzasz we mnie, i żal mi cię... biednyś!

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Moja.

MARYSIA (*na stronie*).

Fatalny dla tej co go ukocha... Przepaść! Ależ można przynajmniej zajrzeć w tę przepaść, czy głęboka.

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Moja; a że dziewczyna energiczna, pociągnie za sobą ojca. Interes zrobiony, powiedziałby ten dowcipny Hrabia, a ja powiem tylko, zdaje się, że interes zrobiony.

Kurtyna zapada.

Zmiana sceny.

Tenże sam pokój co w akcie poprzednim.

Scena VIII.

PAN JAN — DOKTOR.

P. JAN.

Mówię ci to łaskawco, jako naszemu przyjacielowi.

DOKTOR.

Prawdziwemu przyjacielowi.

P. JAN.

Bo to łaskawco mówią, od przybytku głowa nie boli; i to prawda pod pewnym względem.

DOKTOR.

Tak przynajmniej przysłowie niesie.

P. JAN.

A tu łaskawco, aż dwóch zięciów, i właśnie od tego pęka głowa.

DOKTOR.

Zapewne, wybór trudny.

P. JAN.

Bo to jednak i Książę, i nie z tych jakich takich Książąt, i grzeczna osoba; choć to ja się zawsze tych grzecznych boję, bo to czy nie do lokacyi łaskawco?

DOKTOR.

A jednak pan sam jesteś tak grzeczny.

P. JAN.

Nie kosztuje łaskawco, nie kosztuje. A jakby się człowiek nadął, toby się to tak mogło wydawać, jak gdyby chciał coś dać; a ja nie dam łaskawco, nie dam.

DOKTOR.

Ale wróćmy się do Księcia.

P. JAN.

A tak, do tego delikatny człowiek, i jak siądzie do fortepianu, to nie tak jak ci, bum, bum, całą ręką, że aż po człeku mrowie przechodzi, żeby co nie pękło; nie łaskawco, on tak... delikatnie, palcami...

DOKTOR.

Ale jaka wartość człowieka?

P. JAN.

Ha, przejrzałem ja to zdaje się dokładnie, i mapy, i inwentarze; to łaskawco majątek jest, bez kwestyi.

DOKTOR.

Ale...

P. JAN.

No jest i ale, i porządne ale, tabela długów, to łaskawco pół arkusza; to jednak nie tak ciężkie jak się zdaje, przy kredycie.

DOKTOR.

Ależ mnie pan nie rozumiesz, może są rzeczy, o których pan nie wiesz.

P. JAN.

Myślałem ja o tem łaskawco, myślałem... że są ukryte długi. Ale nie. Znam ja stan każdego o mil dwadzieścia, konieczność łaskawco, konieczność, czasem bywa tam coś do lokacyi.

DOKTOR.

Ale panie łaskawy, tylko rachujesz, tylko wymierzasz.

P. JAN.

Kto mierzy, ten uderzy.

DOKTOR.

A tu panie pamiętaj, że dziecko oddajesz.

P. JAN.

Żeby to tylko dziecko łaskawco, ale to i dziecko daj, i posag daj.

DOKTOR.

Więc wiedzieć musisz komu (?) oddajesz dziecko, jego moralność, charakter.

P. JAN.

Dotykasz palcami rany, to sęk, jak to mówią. Przyznam ci się, że u mnie Książę nie dobrze notowany.

DOKTOR (*na stronie*).

Nie wiem czyli mam prawo korzystać ze zwierzenia, ale mam prawo i obowiązek przestrzedz.

P. JAN.

W złej rubryce łaskawco stoi, w kategoryi de perdentibus.

DOKTOR.

Mówią, że człowiek lekki, na którego rachować nie można.

P. JAN.

Cóż ci powiem, sam się do tego przyznał.

DOKTOR.

U którego nic nie masz świętego.

P. JAN.

Sam mówił, że był perdygrosz; tylko to niby ewikcya, poprawa, słaba ewikcya łaskawco, słaba; ja to znam, bo każdy co potrzebuje lokacyi, ofiaruje mi te ewikcyę.

DOKTOR.

Więc go nie przyjąć.

P. JAN.

To, bo znowu łaskawco, żal tego majątku, a do tego i spadek po ojcu... No, za to drugi...

DOKTOR.

Hrabia?

P. JAN.

Przeciwko temu, spodziewam się, że nic nie masz.

DOKTOR.

Owszem, i bardzo wiele.

P. JAN.

No, może powiesz, że majątek nie taki jak Księcia, to prawda, ale zawsze piękny majątek.

DOKTOR.

Nie o tem wcale mówić będę.

P. JAN.

Wiem co powiesz; tytuł jest, ale rodu takiego niema, ale takim łaskawco, lepiej pieniądze idą. Zresztą już i dziad był pan.

DOKTOR.

Nie, panie łaskawy, znowu się pytać będę o moralność, charakter.

P. JAN.

Już to pod względem charakteru nic mu nie zarzucisz łaskawco, stoi u mnie w rubryce de crescentibus, jeden z pierwszych; i moralność jest; kiedy winien, to pilnuje terminu, jak oka w głowie.

DOKTOR.

Samolub, kocha tylko pieniądz.

P. JAN.

Miły grosz, któż go nie kocha?

DOKTOR.

Człek twardy, nie użyty.

P. JAN.

O! to prawda że twardy, ani sobie wystawisz łaskawco, jak twardy.

DOKTOR.

Piękna przyszłość dla żony.

P. JAN.

Ja jednak mam nadzieję...

DOKTOR.

Szczęścia?

P. JAN.

Że na nim Marysia wymoże.

DOKTOR.

Wymoże szczęście?

P. JAN.

Ja, bo nie o tem; widzisz łaskawco, interes taki... Hrabia chce, żeby mu zaraz wypuścić cały klucz Złotopolski.

DOKTOR.

Jakto? już...

P. JAN.

Ale nie, dopiero po ślubie.

DOKTOR.

Ale już o tem mówi?

P. JAN.

Oczewista; ale ja łaskawco bym nie chciał, bo to tak przykro; i dziecko daj, i majątek daj... Może Marysia mu wyperswaduje.

DOKTOR.

To człek bez czoła!

P. JAN.

Myślisz, że nie przystanie? No, to i na to mam sposób; tenutę dużą przywiążę... a ewikcya dobra.

DOKTOR.

Wyraźnie pan Hrabia bez czoła.

P. JAN.

Cóż chcesz, i ja bym wolał Księcia, bo majątek piękniejszy, nie ma co mówić; ale jeśli perdygrosz! a znowu żal wypuścić... waham się. Ależ otóż i Marysia, wybadajno ją... teraz wiesz wszystko.

(MARYSIA *wchodzi,* P. JAN *odchodzi.*)

Scena IX.

MARYSIA — DOKTOR.

MARYSIA.

Wiesz pan wszystko? no mów pan, cóż pan wiesz?

DOKTOR.

Wiem, że ojciec się waha, między wyższym majątkiem Księcia, a wyższem skąpstwem Hrabiego.

MARYSIA.

A przyjaciel co radzi?

DOKTOR.

Przyjaciel najprzód bada siebie, szuka w sobie powołania.

MARYSIA.

I może nie znajduje?

DOKTOR.

Znajduje w sobie przyjaźń gorącą, która mu nakazuje mów! a znowu...

MARYSIA.

Co? znowu.

DOKTOR.

Ceni panią tak wysoko, wysoko, że nie widzi, ktoby po ten skarb nieoceniony sięgnąć wart.

MARYSIA.

Więc rada?

DOKTOR.

W tym stanowisku już zawiązek rady.

MARYSIA.

Rozumiem, co się tyczy Hrabiego; ale Książę? cóż o nim powiesz? (*Pauza.*) Wszakeście podobno byli przyjaciołmi w uniwersytecie? (*Pauza.*) Musiałeś pan przecież z nim mówić, po długiem nie widzeniu się? (*pauza*) i cóż?

DOKTOR (*na stronie*).

Nie godzi się powtarzać. To zwierzenie się dawnego przyjaciela.

MARYSIA.

Nie mówiłeś? i wiedząc w jakich tu zamiarach przyjeżdża nie starałeś się mówić? (*pauza*) żeby mnie oświecić... może przestrzedz?

DOKTOR (*na stronie*).

Wolałbym być pod ziemią o łokci sto.

MARYSIA.

Milczysz? i to nazywasz przyjaźnią?

DOKTOR (*żywo*).

Nie, nie milczę, nie mogę milczeć. Powtórzę ci pani słowo w słowo to, com ci już mówił.

MARYSIA.

Że fatalny?...

DOKTOR (*na stronie*).

I jak jej to w pamięci zastrzęgło. To ja jestem fatalny.

MARYSIA.

Fatalnym podobno być ma i dla tej, co mu życie poświęci.

DOKTOR (*na stronie*).

Coraz to lepiej. (*Głośno.*) Przestrzegłem panią.

MARYSIA.

„Serce i potok, przestrzegać daremnie.“

DOKTOR (*na stronie*).

Wyraźniem ja tego licha narobił.

MARYSIA.

Cóż chcesz? „Wilia bieży... i giną razem w głębokościach morza...“ razem.

DOKTOR (*żywo*).

Pani lecisz, jak komar w świecę... i to łojową.

MARYSIA.

Doktorze! mieliście z Księciem bardzo długą rozmowę; ojciec mi to mówił. (*Pauza.*) Coście mówili? powiedz.

DOKTOR.

Nie mogę.

MARYSIA.

Sekret przedemną? więc taka przyjaźń?

DOKTOR (*na stronie*).

Wolałbym być pod ziemią na łokci dwieście.

MARYSIA.

Pamiętaj, odejmujesz sobie prawo przełożeń.

DOKTOR.

Pani mnie fatalnie dręczysz; a jeżeli mi się Książę zwierzył z czego? mogęż (?) powtórzyć....

MARYSIA.

Zwierzenie czegoś tak długo trwać nie mogło.

DOKTOR.

Może zwierzenie z życia całego?

MARYSIA.

I to zwierzenie stawi Księcia w złym świetle?

DOKTOR (*żywo*).

Tego nie mówię, a tylko suponuję zwierzenie.

MARYSIA.

W świetle, które wyświeca całą przyszłość moją... może nieszczęśliwą? a przyjaciel milczy...

DOKTOR (*na stronie*).

O trzysta łokci.

MARYSIA.

Ale tak źle o panu nie trzymam. Wolę wierzyć, że te zwierzenia może wykrywały błędy młodości, ale razem i charakter szlachetny... wylany dla przyjaciół... szczery... otwarty... (*Pauza.*) Wylany dla przyjaciół.

DOKTOR (*na stronie*).

Nie, nie wolno mi mówić.

MARYSIA.

A znowu z drugiej strony nie mogę się

obronić od podejrzenia... że pan masz uboczne powody... chcieć żebym odmówiła Księciu.

(P. JAN *wszedł niepostrzeżony.*)

Scena X.

P. JAN — MARYSIA — DOKTOR.

P. JAN (*do Doktora*).

Masz powody? podejrzenia? co? perdygrosz! Na miłość Pana Boga mów, bo już wytrzymać nie mogę. Chodzę łaskawco, jak waryat, a tylko mi po głowie turkocze, perdygrosz nie perdygrosz. No mów, zmiłuj się mów, wszak to tak jak o lokacyę idzie.

MARYSIA.

Doktor dziś nadzwyczaj milczący.

DOKTOR.

Cóż dziwnego? mam wyjeżdżać z tych stron... na czas długi...

P. JAN.

Masz interesa?

DOKTOR.

Tak jest, interesa.

P. JAN (*przechadzając się*).

A więc mi nikt nie powie, czy perdygrosz? czy nie perdygrosz? (*Przechodząc koło okna, patrzy w okno i woła.*) Mateuszu! Mateuszu!

MARYSIA (*do Doktora.*)

Więc pan jedziesz?

DOKTOR.

Jadę.

MARYSIA.

I na długo?

DOKTOR (*czule*).

Na długo.

MARYSIA (*ironicznie*).

Życzę szczęśliwej podróży.

(*Wchodzi* MATEUSZ.)

Scena XI.

P. JAN — MATEUSZ — MARYSIA — DOKTOR.

P. JAN (*chodząc*).

Perdygrosz... perdygrosz... (*Spostrzegłszy Mateusza.*) Świnia!

MATEUSZ.

Niech ono będzie i świnia, kiedy już taka łaska jegomości; ale nie perdygrosz.

P. JAN.

Nie perdygrosz? (*pauza*) ale czemuż nie idziesz? szczególna obojętność.

MATEUSZ.

Dokąd?

P. JAN.

Mówiłem ci, że zostawili furtkę otwartą i świnia na tok weszła.

MATEUSZ.

No, chyba. (*Odchodzi.*)

(*Wchodzi* HRABIA.)

Scena XII.

P. JAN — HRABIA — MARYSIA — DOKTOR.

P. JAN.

Ot po prostu łaskawco, pan Hrabia mi powie o Księciu, czy perdygrosz?

HRABIA.

Co to pan Jan rozumiesz przez ten wyraz perdygrosz? zapewne utracyusz.

P. JAN.

Nazywaj sobie jak zechcesz, łaskawco, tylko mów.

HRABIA (*na stronie*).

No, teraz zobaczemy czym dyplomata, bo to położenie w rzeczy samej dyplomatyczne; z jednej strony można go jednym słowem enfonsować, a z drugiej umowa spisana, a tu jego przyjaciel świadkiem.

P. JAN.

No, mów łaskawco.

HRABIA.

Widzi pan Jan... zaprzeczyć trudno... że jak z jednej strony...

P. JAN.

Tak, z jednej strony... ale co?

HRABIA.

Tak z drugiej strony... można bydź przekonanym.

P. JAN.

Zapewne z drugiej strony... ale co?

HRABIA.

Pan Jan mnie stawisz w delikatnem położeniu.

P. JAN.

Ależ zmiłuj się, tu tak jak o lokacyę idzie.

HRABIA.

A, kiedy mnie pan Jan tak na honor wyciągasz... (*do Doktora*) sam pan widzisz, że muszę mówić. (*Do pana Jana.*) W rzeczy samej przyznać muszę, że Książę ma długi.

P. JAN.

Dobrze, ale czy perdygrosz?

HRABIA.

Czy pan Jan tego nie rozumie, że kiedy kto wziął majątek czysty, i obciążył go długami, do tego lichwiarskiemi długami...

P. JAN.

Ale czy się poprawił?

HRABIA (*na stronie*).

Już w studni, a teraz trzeba coś powiedzieć i dla dyplomacyi.

P. JAN.

Mów że, co wiesz łaskawco?

HRABIA.

Od niejakiego czasu się zreformował. (*Do Doktora.*) Słyszysz pan?

MARYSIA.

Zdaje mi się, że można poprzestać na tem, co pan Hrabia mówi, tem bardziej, że jak mi powiadał, nie jest wcale w ścisłych stosunkach z Księciem. Zresztą do mówienia inaczej jak myśli, żadnego powodu niema.

HRABIA (*żywo*).

Żadnego powodu.

DOKTOR (*na stronie do Marysi*).

Lecisz pani jak komar w świecę.

Scena XIII.

MARYSIA — KSIĄŻĘ — DOKTOR — PAN JAN — HRABIA.

MARYSIA (*do Doktora podobnież*).

Łojową. (*Głośno do wchodzącego Księcia.*) Wystawże sobie Książę, że nasz Doktor opuszcza nas, wyjeżdża, i to na długo.

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Wyśmienity symptomat. (*Do Doktora.*) Jakto? i kiedy?

DOKTOR.

Za dni parę. (*Na stronie.*) Jej nie ocalę. A zresztą czyż ona ma być koniecznie nieszczęśliwą, może go niesłusznie potępiam, jak (?) sądzić człeka ze złego co sam o sobie mówi.

KSIĄŻĘ.

I czegóż tak nagle?

DOKTOR.

Cóż chcesz Książę, interesa nami rządzą; i ja mam interesa.

P. JAN (*na stronie*).

Zdaje się, że się przymawia; że ja też w tym zamęcie zapomniałem. (*Do Doktora.*) Ale... kogo też łaskawco, radzisz do Marysi, jakby w twojej niebytności zachorowała?

DOKTOR.

Zdaje się, że się obejdzie bez lekarza.

P. JAN.

Masz racyę łaskawco, zdaje się, że się obejdzie bez lekarza.

(*Doktor odchodzi. Marysia siada do roboty pokazując przy sobie miejsce Księciu. Książę zbliża się naprzód sceny do pana Jana. Hrabia siada przy Marysi.*)

Scena XIV.

KSIĄŻĘ — P. JAN — HRABIA — MARYSIA.

KSIĄŻĘ (*do pana Jana.*)

Więc pan dobrodziej przejrzał moje papiery?

P. JAN.

Od nitki do nitki.

KSIĄŻĘ.

I jakaż rada?

P. JAN.

Nie sprzedawaj łaskawco!

KSIĄŻĘ.

Ale czy tylko, oszczędnie zbierając, można wyjść z długów?

P. JAN.

Niezawodnie można.

KSIĄŻĘ.

Otóż powiem panu dobrodziejowi, że czarniej rzeczy widzę. Widziałeś tam pan około czterdziestu tysięcy rubli długów lichwiarskich.

P. JAN.

To trzeba koniecznie spłacić.

KSIĄŻĘ.

Tu właśnie sęk. A że nie mogę spłacić, chyba nowymi lichwiarskiemi długami, więc postanowiłem sprzedać.

P. JAN.

Zgubisz się łaskawco.

KSIĄŻĘ.

Cóż robić? sam pan widzisz, że nie mogę inaczej.

P. JAN.

Ale poczekajże.

KSIĄŻĘ.

Nie mogę czekać, bo nabywca czeka odpowiedzi.

HRABIA (*do Marysi*).

Czy pani jeździ na koniu?

MARYSIA (*sucho*).

Nie.

P. JAN (*do Księcia*).

Widzisz łaskawco, ja bym to mógł spłacić z naglejszego, i nabyć na imię Marysi, a wybyście... ale rozumiesz łaskawco, to nie tak zaraz... Niechno...

KSIĄŻĘ.

Więc odpiszę, że nie sprzedaję.

P. JAN.

Oczywiście. (*Patrzy w okno i prędko wychodzi*).

Scena XV.

(HRABIA — MARYSIA. — KSIĄŻĘ.)

HRABIA (*do Marysi*).

To pani nie jeździ na koniu?

MARYSIA (*jak wyżej*).

Nie.

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

Więc tylko dopilnować dziewczyny, żeby wymogła na ojcu skrócenie do kontraktów tego niechno. A w tym celu najprzód zbyć się tego hipopotama co klocem przy niej siedzi. Już też mi ją unudził dostatecznie (cuite à point) więc rola

jego skończona i natychmiast mi jak z procy wyleci. Hrabio!

HRABIA (*zbliżając się do Księcia*).

Ależ nudna!

KSIĄŻĘ.

Kiedy już i Hrabia ubawić jej nie potrafisz.

HRABIA.

Cóż chcesz Książę? bez wychowania.

KSIĄŻĘ.

Ale! chciałem ci powiedzieć, że twój sąsiad Lewandowski pięknie się spisał; nie płaci, bankrutuje, a mój komisarz, co coś tam ma u niego, pisze mi, że z desperacyi głowę traci. Jako sąsiad, jesteś mi odpowiedzialny za głowę mego komisarza.

HRABIA (*żywo*).

A to pięknie, a ja tam mam kilka tysięcy rubli.

KSIĄŻĘ.

Może to jeszcze nieprawda.

HRABIA.

Tak, zapewne, ale ja dzisiaj i tak miałem jechać do domu, to się tam dowiem, *(na stronie)*. Nie ma i minuty do stracenia. *(Odchodzi)*.

Scena XVI.

KSIĄŻĘ — MARYSIA.

KSIĄŻĘ (*do odchodzącego Hrabiego*).

I przyszlij mi oryginał naszego traktatu,

mam potrzebę go przejrzeć, (*na stronie*) wolę go mieć u siebie kiedy już rzeczy tak zaawansowane.

MARYSIA.

Widzę, że dzisiaj z Księciem wcale mówić nie będę.

KSĄŻĘ (*na stronie*).

A teraz rekapitulujmy. Doktora wysadziłem, Hrabia wyjeżdża, dziewczyna mnie ciągnie, ojciec mi pieniądze daje; zdaje się, że bez zarozumiałości powiedzieć mogę, jakby powiedział ten dowcipny Hrabia... Interes skończony. (*Zbliża się do Marysi*).

Kurtyna zapada.

AKT III.

Tenże sam pokój co w akcie poprzednim.

Scena I.

PAN JAN — MATEUSZ.

MATEUSZ.

Co to gadać, my niby się to menażujemy, składamy, a tu djabeł rozrzuca. Ludzisków w piekarni co niemiara; jeszczeż to ci książęcy, to choć robią intratę w propinacyi, ale ci hrabiowscy, hołota jakaś wygłodniała, bo to je...

P. JAN (*wzdychając*).

Cóż robić Mateuszu, może da Bóg, że się to skończy?

MATEUSZ.

Albo i posłańce to co moment; a to Jegogomość... za każdą razą do mnie, „cóż robić Mateuszu trzeba im dać obroku, choć z pośladem.“ Co to gadać, Jegomości się poprostu głowa zawróciła temi panami, Książętami, Hrabiami, a to ruina.

P. JAN.

I ja widzę że ruina, Mateuszu.

MATEUSZ.

A zdawało się, że się to jakoś wymenażujemy, że to nic; piękne mi nic.

P. JAN.

Mateuszu, ja to już od rana nad tem medytuję; raz łaskawco po prostu ruina, drugi raz niepewność lokacyi, więc drugi raz ruina. Słowem łaskawco, udałem się do Pana Boga.

MATEUSZ.

Dobrze Jegomość zrobił, kto z Bogiem, Bóg z nim.

P. JAN.

I zacząłem się modlić; ale jakoś nie tak łaskawco jak kiedy proszę o deszcz w posuchę, o urodzaje ziemskie albo o znalezienie rzeczy skradzionej; jakoś inaczej Mateuszu, bo to mi i dziecko łaskawco w oczach stało, i nieboszczka... modliłem się jakoś żarliwie.

MATEUSZ.

Dobrze Jegomość zrobił, bo to raz że i dobrze, a drugi raz że i nie kosztuje...

P. JAN.

A gdzie zaś nie kosztuje łaskawco; pan Bóg mię natchnął łaskawco, żeby dać biednym Wilczyńskim dwieście rubli.

MATEUSZ.

Dać?

P. JAN.

Dać.

MATEUSZ.

I Jegomość da?

P. JAN.

Dam.

MATEUSZ (*na stronie*).

Jegomość niezdrów. (*Odchodzi.*)

Scena II.

PAN JAN *sam.*

P. JAN.

O tak łaskawco, wolę już dać, niż żeby mnie tak dusiły, ten rozgardyasz... i ta niepewność, perdygrosz! nieperdygrosz!

(PAN JAN *dobywa pieniądze i rachuje—wchodzi* MARYSIA.)

Scena III.

PAN JAN — MARYSIA.

P. JAN (*do Marysi*).

Masz, masz dwieście rubli. Poczekaj, jeszcze raz przerachuję (*rachuje*). Dwieście rubli, bierz prędko, to dla Wilczyńskich; i lepiej zaraz im oddaj, zaraz. A co się tyczy tych panów, to rób łaskawco jak ci Pan Bóg da instynkt; instynkt łaskawco to od Pana Boga, mnie Pan Bóg dał instynkt dać, i dałem dwieście rubli, dwieście rubli. A tylko łaskawco na miłość Pana Boga uważaj dobrze, czy ten perdygrosz, czy nie perdygrosz; czy może u tamtego lokacya lepsza, chociaż majątek mniejszy; lub czy może łaskawco poprostu odprawić obu, tak jak Mateusz radzi. (*Szybko odchodzi*)

Scena IV.

MARYSIA *sama.*

MARYSIA.

Biedny ojciec!

A ze mną co się dzieje? co to jest, że się tak nie raduję jak pierwej i z możności dobrego uczynku? czyż bym tak upaść miała temi dniami? O! bo wyraźnie głowę zawróciłam sobie tym Księciem; tym blaskiem świetnego wychowania, świetnego położenia, świetnej przyszłości. Sama świetność...

Ale czy on mnie kocha? dla czegoż wątpię, wszak mi to tyle razy powiedziały oczy jego. A jednak... Niewiem; czuję pod tą całą świetnością jakiś chłód, coś jak lód lub żelazo. O! bo biedny przyjaciel, ten mnie kochał prawdziwie; a jam go tak dotkliwie raziła, i w samo serce. Jednak żeby też tak wyjechać, nie pożegnawszy; o! to boli, łzy w oczach stają.

Ale czegoż się dziwię, wszakem go odepchnęła sama; jednak nie powinien był tak odjechać.

(*Wchodzi* MATEUSZ.)

Scena V.

MATEUSZ — MARYSIA.

MARYA (*do Mateusza*).

Czego chcesz, mój dobry Mateuszu?

MATEUSZ.

Co to gadać, czy panienka nie uważała? że Jegomość...

MARYSIA.

Co?

MATEUSZ.

Coś niedobrze.

MARYSIA.

Jak to?

MATEUSZ.

A te dwieście rubli? czyż to panienka nie widzi, że jak by był przy zdrowych zmysłach...

MARYSIA.

To jałmużna Mateuszu.

MATEUSZ.

Jałmużna, to trzy grosze dziadowi; cóż to ja nie wiem, co to jałmużna. Ale co to gadać; panowie to nie dla nas, co u nas święte, z tego się u nich śmieją, a z czego my po prostu kpimy, to u nich ważne rzeczy. Co to gadać, mówiłem ja to Jegomości, Jegomość nie słuchał, (*pokazując na głowę*) sfiksował; niech ich panienka czemprędzej odprawi, bo nam nieszczęścia w dom naniosą.

MARYSIA.

W części masz racyę, Mateuszu, ale o ojca się nie bój, jest to zwykła jego przedkontraktowa niespokojność, tą razą skomplikowana niespokojnością o mój los. Jakoś to będzie Mateuszu.

MATEUSZ.

No, chyba, ale ja zapomniałem z czemem przyszedł. (*Oddaje Marysi list.*)

MARYSIA (*żywo*).

Od Doktora?

MATEUSZ.

Nie, to kozak od pana Hrabiego; a krzyczy, a hałasuje, żeby mu dać wygodę, tfu! (*Odchodzi*).

Scena VI.

MARYSIA *sama, przypatrując się listowi.*

MARYSIA.

Zapewne oświadczenie; dowcipny Hrabia już mnie unudził słowy a raczej milczeniem, a teraz chce donudzić listami (*otwiera list*). Co to jest? Mości Książę... a wszakże adres do mnie, zabawna pomyłka. Czy czytać? nie, nie czytać. Ale cóż to za drugi papier, i podpis Księcia?... to nie list, spojrzeć wolno. Dobrze że tu Doktora niema. (*Czyta.*) A... umowa między temi panami... Umowa o mnie „Strony kontraktujące przyjąwszy za zasadę że niemasz dla żadnej z nich zakały w projektowanym związku, gdyż w dziewiętnastym wieku powszechnie jest to w świecie przyjętem, że wolno jest panu bez zawalania się sterkoryzować swą ziemię... postanowiły.“ O, rumienię się od wstydu... i jam nim nie wzgardziła od razu (*czyta dalej*). „Książę się będzie starać o pana Jana, Hrabia o pannę Janównę.“ O jak słusznie, ale jak srogom ukarana za próżność. (*Przeziera resztę papieru.*)

Ależ jam niewinna! nie tyle przynajmniej

winna, żem się olśnić dała tym pozorom świetności, blasku życia, nieścieśnionego oględnością, ja wychowana w skąpstwie ciągłem; a zresztą zkądże wiedzieć miałam, że to wszystko fałsz, blichtra, pod któremi zepsucie i zgnilizna? zkąd wiedzieć miałam? czyż biedny ojciec troszczył się kiedy o to? on się tem tylko turbował, czy skąpy, czy nie skąpy.

Ale kłamię przed sobą. Miałam przyjaciela, przyjaciela co mnie szczerze kochał... i czyżem się go radziła szczerze? nie, on mi zawadzał, więcem się go pozbyła znieważając. O, gdybym teraz mogła! na klęczkach bym go o przebaczenie błagała.

(*Wchodzi* DOKTOR)

Scena VII.

MARYSIA — DOKTOR.

DOKTOR.

Nie mogłem się zdecydować odjechać, nie pożegnawszy pani, chociaż już pożegnany. (*Na stronie.*) Chciałem się jeszcze raz napić trucizny.

MARYSIA (*żywo*).

Doktorze, cóż to znaczy ten wyjazd?

DOKTOR.

Jak to, co znaczy; czyż pani byś jeszcze chciała, żebym był świadkiem?...

MARYSIA.

I ty byś mógł uwierzyć, żebym takiego przyjaciela jak ty, poświęcić mogła?... I dla kogo?

DOKTOR.

Jednak...

MARYSIA.

Jeśli cię to bawi? natychmiast ich odprawię obu.

DOKTOR.

Jak to? więc by to miał być... tylko żart?

MARYSIA.

I dla przywidzenia błahego, chciałeś wyjeżdzać?... zranić to serce?

DOKTOR.

Maryo!

MARYSIA.

Dosyć, zostajesz.

(*Wchodzi* KSIĄŻĘ.)

Scena. VIII.

MARYSIA — DOKTOR — KSIĄŻĘ.

MARYSIA (*do Księcia.*)

Mówiono mi, że Książę miałeś dziś szczęście odebrać list od Hrabiego?

KSIĄŻĘ.

Miałem, ale jeszcze nie korzystałem z tego szczęścia. (*Dobywa z zanadrza list zapieczętowany.*)

MARYSIA.

Ale ja wcale nie podzielam tej obojętności, gdyż jak powiada posłaniec, ma tam być inclusum dla mnie.

KSIĄŻĘ (*otwierając list*).

W rzeczy samej, i tylko inclusum i nic więcej. Listu do mnie zapomniał ułożyć Hrabia, Hrabia zakochany aż do dystrakcyi. (*Oddaje list Marysi*).

MARYSIA (*czytając list*).

Formalna deklaracya, powagi i godności pełna. Jak panowie na przykład znajdujecie ten frazes „Powołuję cię Pani do ciężkiej roli, noszenia godności, którą ze mną dzielić będziesz.“

KSIĄŻĘ.

Brawo, i prosimy o więcej.

MARYSIA (*czytając*).

„Mam nadzieję że odpowiedź nie będzie odmowną, upraszam żeby była prędką.“ Będzie prędką. (*Siada i pisze*).

DOKTOR (*na stronie*).

Wolałbym, żeby była tego wpierw odprawiła.

KSIĄŻĘ (*do Doktora*).

Zkąd to nasze kobiety nabierają tej pewności siebie? Będzie księżną, tak jakby się rodziła księżną.

MARYSIA (*czytając*).

„Czyniąc zadość żądaniu pana Hrabiego, odpisuję natychmiast; że nie czując się zdolną ani do ocenienia godności, którą mnie pan Hrabia chcesz zaszczycić, ani nawet do odegrania bez śmiechu roli, którą na mnie pan Hrabia łaskawie wkładasz, wolę pozostać po prostu i jak dotąd, jego najniższą sługą.

DOKTOR.

Pani sobie kupisz nieprzyjaciela.

MARYSIA.

Mogę dzisiaj coś ważyć, wszakżem dziś odzyskała przyjaciela; zresztą ma to, na co zasłużył, i wierzaj mi Doktorze, nie warto się żenować dla takich panów.

KSIĄŻĘ (*na stronie do Doktora*).

Słowo daję, królowa.

MARYSIA.

Książę niech z łaski swojej odda tę odpowiedź Hrabiemu. (*Oddaje księciu list.*)

KSIĄŻĘ.

Uczynię to z powagą przyzwoitą, a nawet nie parschnę od śmiechu.

(*Wchodzi* HRABIA.)

Scena VII.

KSIĄŻĘ — MARYSIA — DOKTOR — HRABIA.

HRABIA (*na stronie do Księcia*).

Wystaw sobie Książę, że przyjechałem, bo... Niewiesz? czy odebrała mój list?

KSIĄŻĘ.

Tak dalece odebrała kochany Hrabio, że oto masz odpowiedź; i radzę ci, przeczytaj od razu. (*Oddaje Hrabiemu list.*)

HRABIA (*przejrzawszy*).

Nie rozumiem.

KSIĄŻĘ.

Rzecz jednak jasna, odprawa.

HRABIA.

Pojąć nie mogę. (*Do Marysi.*) Czy to pani pisałaś ten list?

MARYSIA.

Przy świadkach, bo może pan Hrabia mnie samej uwierzyć nie zechcesz?

HRABIA.

Owszem, wierzę... Tylko nie pojmuję; wszak prawda Książę?

KSIĄŻĘ (*do Hrabiego*).

Cóż chcesz Hrabio? dowód złego gustu i nic więcej.

HRABIA.

Doktorze, jesteś tu przyjacielem, i jak mógłeś pozwolić?...

DOKTOR.

Perswadowałem jak mógłem, ale tu i doktor nie pomoże, niemasz lekarstwa na upór.

KSIĄŻĘ (*do Marysi na stronie*).

Sądziłem, że połknie i ani się skrzywi; źle wychowany.

MARYSIA (*podobnież*).

A Książę jakbyś zrobił?

KSIĄŻĘ (*podobnież*).

Niech pani spróbuje.

MARYSIA (*podobnież*).

Zobaczemy.

HRABIA (*do Marysi*).

To oczewiście nieporozumienie.

MARYSIA.

Żadnego nieporozumienia nie ma.

HRABIA.

W każdym razie zostawiam pani dwa tygodnie czasu do namysłu.

MARYSIA (*na stronie do Doktora*).

Jak to? za dwa tygodnie znowu tu będzie?

DOKTOR (*podobnież*).

Niechaj się pani przygotuje przynajmniej na siedm razy.

HRABIA (*biorąc na stronę Księcia*).

Wystaw sobie Książę, żeś mi takiego ćwieka zabił tem bankructwem Lewandowskiego...

KSIĄŻĘ.

Dowiedziałem się, że to bajka.

HRABIA.

A to ja tak się spieszyłem, że się już bałem, czym niezrobił niezgrabności; bo wystaw sobie Książę, że pisałem dwa listy, jeden do Księcia, odsyłając nasz traktat, a drugi do niej; otóż nie wiem dla czego, zdało mi się, żem przemienił koperty. I przyleciałem. No, szczęściem, że ona odebrała swój list, a więc pomyłki niema, i lecę nazad do Lewandowskiego.

KSIĄŻĘ.

List swój odebrała, i nic się złego nie stało; masz Hrabia szansę dobrą.

HRABIA.

Nieprawdaż? bo cóżto znaczy ta odpowiedź?

KSIĄŻĘ.

Tak dobrą, że ja nie mając już widoku, i swojej ci odstępuję; i wyjeżdżamy razem.

HRABIA (*odchodząc*).

A dobrze.

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

A, hipopotamie, kometo przeklęty, i to już nie raz pierwszy, bo przecież to on (!) stał przy mnie na klubie, kiedym się zgrał tak fatalnie. No, teraz pojmuję królewskie tony pani; a szkoda, rzetelnie jej żałować zaczynam, rodziła się na księżnę. (*Do Marysi na stronie.*) Pani masz mój list i nie wiesz, jak mi go oddać?

MARYSIA (*podobnież*).

Książę się mylisz, owszem wiem bardzo dobrze; ot tak (*oddaje papiery*). Ma się rozumieć, że listu nie czytałam, ale układ czytałam, i głęboką dyplomacię panów podziwiałam.

KSIĄŻĘ (*podobnież*).

Tylko upraszam o niestawienie nas razem; dowcip to wyłącznie pana Hrabiego, a ja przyjąłem tylko, bo mi potrzeba było zmusić do milczenia o niektórych grzechach moich... stosunkach kobiecych.

MARYSIA (*podobnież*).

Dosyć, nie dałam Księciu prawa nie szanowania mnie w oczy; za oczy wolno, to rzecz mężczyzn.

KSIĄŻĘ (*podobnież*).

Przyjmuję z pokorą, bom zasłużył, jednak przestrzegam panią, że Hrabia nie wie o kwiprokwo co zrobił.

MARYSIA (*podobnież*).

A więc nikt nie wie?

KSIĄŻĘ (*na stronie*).

I Doktor nie wie, więc tak daleko już byłem w jej sercu, prawdziwie żal mi jej szczerze.

(*Tymczasem się Doktor do nich zbliżył.*)

MARYSIA (*głośno*).

Kiedy Książę wyjeżdża?

KSIĄŻĘ.

Jadę z Hrabią natychmiast.

DOKTOR (*na stronie*).

Odetchnąłem.

MARYSIA.

A co się tyczy tej pożyczki, której Książę potrzebujesz na kontrakty, to mi się zdaje, że ją ojciec będzie mógł zrobić, ma się rozumieć, na jak najtwardsze opisy bezpieczeństwa; bo nie widzę, czemuby miała oszczędność nasza iść na tuczenie próżniactwa i lekkości waszej. Nieprawdaż Doktorze?

DOKTOR.

Od kilku minut widzę panią tak zpotężnioną, tak jaśniejącą, że tylko milczę.

KSIĄŻĘ.

Gdybym mógł odmówić, tobym odmówił, bo cóż mnie więcej upokorzyć może, jak ta przy-

sługa w tym momencie, ale przyjmuję. Z tego miarkować możecie, czem życie moje.

MARYSIA (*łagodnie*).

Radzibyśmy ci rzeczywiście pomódz.

KSIĄŻĘ.

Może ta pomoc, może to dobre słowo wyrzeczone w godzinie dobrej... kto wie, może się i dowiecie, żem życie zmienił; a jeśliby tak być miało, to wiedzcie, że wam to winien będę. Bądźcie szczęśliwi i życzcie mi dobrze. (*Odchodzi.*)

(*Wchodzą* P. JAN i MATEUSZ.)

Scena VIII.

MARYSIA — DOKTOR — P. JAN — MATEUSZ.

MATEUSZ (*do pana Jana*).

Co to gadać, niech jegomość po prostu powie.

P. JAN (*do Marysi*).

Bo to łaskawco nie uwierzysz, ale te wszystkie państwa, rewolucye, ekspensa, a nadewszystko łaskawco niepewność, do desperacyi mnie przyprowadzają; i przyznam ci się...

MARYSIA.

Już wszystko skończone, drogi ojcze, i ci panowie wyjeżdżają.

MATEUSZ.

No, chyba. (*Odchodzi.*)

MARYSIA.

Z warunkiem, że pomożesz Księciu w interesach.

P. JAN.

Jak to, łaskawco, lokacya?

MARYSIA.

Z ubezpieczeniem jak najtwardszem, z procentem zwykłym.

P. JAN.

Sześć od sta łaskawco.

MARYSIA.

I wracamy do naszego spokojnego życia, Doktor nas nie opuszcza.

P. JAN.

Będziemy się menażować. (*Patrzy w okno*). Mateuszu! Mateuszu! żyd na tok poszedł. (*Wybiega.*)

MARYSIA (*do Doktora*).

Wszak prawda, że nas nie opuszczasz?

DOKTOR.

I tak sobie darować nie mogę szaleństwa mego, niewdzięczności mojej.

MARYSIA.

Doktorze, tych dni kilka raz nazawsze wymazać z życia naszego, i o nich ani słowa nigdy. Chodźmy, czuję, że mi powietrza potrzeba; przejdźmy się, i wstąpiemy do biednych Wilczyńskich.

Kurtyna zapada.

NUDZIARZE.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

J. W.

JADWIDZE B.

TĘ JEJ CZYTANĄ SZTUKĘ

POŚWIĘCA

AUTOR.

OSOBY.

MARYA, młoda wdowa.

P. PIOTR }
P. JAN } stryjowie Maryi.

AUGUST, przyjaciel Maryi.

TERENIA, jego córka.

HRABIA, starający się o rękę Maryi.

TADEUSZ, ubogi krewny Maryi.

Scena I.

W ogrodzie.

MARYA (*sama siedzi na ławie*).

Sama, sama, wiecznie sama. A jednak mi się zdawało, że mój dobry August... jest mi czemś więcej niż przyjacielem... Ale to tylko złudzenie, szkoda. A znowu niepokoją mnie te dzieci. I pan Tadeusz i panna Terenia w niewinności ducha kochają się co najlepsze i sami nie wiedzą, jak daleko zajść mogą.

Ale otóż i pan Tadeusz, muszę mu zmyć głowę należycie.

(*Wchodzi* TADEUSZ.)

MARYA.

I cóżeś dziś robił, mój Tadeuszku?

TADEUSZ.

O świcie objechałem trzy folwarki.

MARYA.

Bardzo ci dziękuję, że dla mego dobra pracujesz; ale nie o to pytam, co robiłeś po świcie? niedawno...

TADEUSZ.

Jeździłem konno.

MARYA.

Sam?...

TADEUSZ (*ciszej*).

Nie... z Terenią.

MARYA.

A... o tom się właśnie pytała... Cóż? milczysz...

TADEUSZ.

Jak złodziej na indagacyi.

MARYA.

Alboż cię nie sam August wyprawił?

TADEUSZ.

Podwójny złodziej... co kradnie skarb sobie powierzony...

MARYA.

Ależ...

TADEUSZ (*żywo*).

Niemasz wymówki. Jestem złodziej, gorszy od tego, co witrychem dobywa się do cudzego kantorka i kradnie złoto. On mnie obcego sierotę jak dziecko swoje traktuje, jak rodzone; on mi najdroższy skarb swój, skarb nieoceniony powierza. A ja?...

MARYA (*spokojnie*).

A ty, co?...

TADEUSZ.

A ja, śmiem patrzyć na nią.

MARYA.

Masz oczy ku patrzeniu.

TADEUSZ.

Pani się śmiejesz. Nie tak patrzę na nią, jak na panią, jak na siostrę.

MARYA.

Prawda, uważałam; patrzysz w posadzkę. Ale żart na stronę, nie powiem ci że to dobrze, że się w Tereni kochasz.

TADEUSZ (*przerywając*).

Jeszczem sobie tego powiedzieć nie śmiał; ale tak jest, ubóstwiam Terenię, sto razy bym za nią życie oddał.

MARYA.

A co gorsza, że i Terenia ma się ku tobie.

TADEUSZ (*przerywając*).

Co pani mówisz?!

MARYA.

A to najgorsza, że ci mężczyzni nigdy nic nie widzą; i nasz rozsądny August.

TADEUSZ.

Od niejakiego czasu, zda mi się zimniejszym dla mnie.

MARYA.

I mnie się to wydało, a jednak każe ci jej wciąż towarzyszyć. Nie, on nic nie widzi.

TADEUSZ.

Tem podlejszy ten złodziej...

MARYA (*przerywając*).

Złodziej, nie złodziej. Jednak ci powtarzam, że to źle, bo, chcąc nie chcąc, prędzej czy później dojdziesz do tego, że zaufanie zdradzisz.

TADEUSZ (*przerywając*).

Nigdy!

MARYA.

Już dzisiaj zdradzasz.

TADEUSZ (*opuszczając ręce*).

Prawda.

MARYA.

Więc słuchajże cierpliwie. Jest to źle, i z tego złego koniecznie wyjść trzeba.

TADEUSZ (*ponuro*).

Choćby śmiercią.

MARYA.

Wreszcie mnie zniecierpliwisz. To dziwna rzecz z tymi mężczyznami, masz lat dwadzieścia cztery, skończyłeś uniwersytet i jesteś gospodarz zawołany; i ja także mam lat dwadzieścia cztery. Jam kobieta dojrzała, a ty...

TADEUSZ.

Myślisz pani, żebym nie potrafił umrzeć?... O! mylisz się pani.

MARYA.

Myślę... ale nie mam czasu do tracenia, bo oto August idzie. Wyjść z tego nie możesz inaczej, jak wprost oświadczając się Augustowi; a żeś ty dzieciuch, mimo wąsy, które w tym momencie zakręcasz, ja za ciebie mówić będę.

TADEUSZ.

Nie pani, odmówi niezawodnie; a wtedy...

MARYA.

A cóż zrobiemy, z złodziejem, wytrychami?

TADEUSZ.

Prawda. Mów pani! potrafię być nieszczęśliwym. (*Odchodzi.*)

MARYA (*sama*).

Kochają się... szczęśliwi.

AUGUST (*wchodzi, na stronie*).

Tu był... odszedł wzruszony. Nie, podejrzenia mnie nie mylą... Ona go kocha. Zazdrość... zazdrość... Ależ panie Auguście, masz lat czterdzieści, czas już przynajmniej umieć panować nad sobą. (*Zbliża się do Maryi.*)

MARYA.

Siadajże... (*August siada.*) Bo właśnie rada jestem żeś przyszedł, mój dobry przyjacielu, mój dawny przyjacielu.

AUGUST.

Jakże bo cię nie kochać? Maryo!

MARYA.

Dziś właśnie przechodziłam sobie w myśli, całą przeszłość moją. Świetności wiele, szczęścia mało; tak jak zwykle w związku dla świata skojarzonym. Przywiązania za mało.

AUGUST.

Jakto? ty Maryo skarżyć się możesz? tyś nie wzbudziła przywiązania?

MARYA.

Cóż chcesz?... Byłam panią swej woli, miałam wszystko, co próżności dogadza; wszystko

oprócz szczęścia. Grzeczność, najwyższa delikatność, nie zastąpią przywiązania. Było to pożycie światowe, a nie takie co to dwa ciała a jedna dusza; i kiedy tu dziś rano przyszedł biedny Tadeuszek, pomyślałam sobie...

AUGUST (*na stronie*).

A co? nie zgadłem? (*Głośno.*) Wierzaj mi Maryo, ty jesteś pod wpływem rozmarzenia. Ty byłaś szczęśliwa w pierwszém pożyciu i ta ziemia nie daje szczęścia innego.

MARYA.

Jakto? i ty na przykład Auguście, nie miałbyś przywiązania dla tej coby ci powierzyła swoją dolę?

AUGUST (*na stronie*).

Trzymaj się panie Auguście, bo niechaj tylko odgadnie twoją czterdziestoletnią miłość, w sam nos ci parschnie od śmiechu.

MARYA.

Nie mówię, miłości wymarzonej w romansach, ale przywiązania; dobrego, cichego, długiego przywiązania.

AUGUST (*na stronie*).

Nie wytrzymam. Ależ głupcze stary, czy nie widzisz, że tam pan Tadeusz na końcu każdego z tych złotych słówek.

MARYA.

Nie odpowiadasz?

AUGUST (*zimno*).

Nie lubię złudzeń Maryo, bo te na rozdroża

prowadzą; szczęście, to obowiązek spełniony; innego szczęścia niemasz.

MARYA.

Rozumiem cię, wystarcza ci przywiązanie do dziecka; szczęśliwyś.

AUGUST.

Nie mów o przywiązaniu Maryo! mówmy o obowiązkach.

MARYA.

Tak jest, masz obowiązki względem córki, Auguście. I ja mam obowiązki; mój ojciec mi powierzył krewnego, sierotę,... bo jego ojciec daleko...

AUGUST (*na stronie*).

A co, nie trafiłem? (*Głośno.*) A wiesz, co nas na drodze obowiązku utrzymuje? Oto tam stoją jakby poręcze, względy światowe; i tych się trzymać mamy.

MARYA.

A przywiązanie?

AUGUST.

Nie mów mi o przywiązaniu!

MARYA (*na stronie*).

A ja myślałam... nie, to tylko rozsądny przyjaciel. (*Głośno.*) Więc mówmy o względach światowych. Wszak wiesz, że Tadeuszkowi przeznaczam połowę majątku?

AUGUST.

Nie mówmy o tem. I ja kochałem, to jest kocham Tadeuszka jak syna; ale gdzie zasługi

jego, ażeby sięgać po tak wielkie, po tak niesłychane szczęście? czy pani myślisz żem ja ślepy i nie widzę? nie mów mi pani o tem!

MARYA.

Ależ cię dzisiaj nie poznaję, przyjacielu!

AUGUST.

Są bo rzeczy co i najcierpliwszego... nie mówmy o tem... Ale kiedyś wspomniała światowe względy, powiedz, co myślisz o Hrabi?

MARYA.

Wyznaję, żem nie myślała o nim dotąd.

AUGUST.

Człowiek wcale porządny, położenie wysokie, pan z panów, chociaż hrabia; ja bym ci radził, nie odrzucać tej partyi.

MARYA.

Znowu poświęcić serce świetności, i to mi serjo radzisz?

AUGUST.

Radzę ci, rozmarzenia chwilowe poświęcić względom trwałym.

HRABIA (*wchodzi w stroju spacerowym*, *oglądając sie w stronę zkąd przyszedł*).

Goni mnie, goni. (*Spostrzegłszy siedzących*, *zatrzymuje się*).

MARYA.

A kiedy radzisz, więc pójdę za twoją radą. Czy znasz Hrabiego?

HRABIA. (*na stronie*).

O mnie mowa... jak najniewinniej usłyszę.

AUGUST.

Znam, zdaje mi się jednak...

MARYA.

Że ma wady?

AUGUST.

Któż jest bez wady?

MARYA.

Zda mi się niecierpliwy?

AUGUST.

Być może, ale wiesz co, Maryo? zostaw go na próbę dni kilka; jeśli sobie stryjów ująć potrafi, da dowód cierpliwości.

MARYA.

Biedni stryjowie. Ale może masz racyę, więc zgoda. (*Słychać dzwonienie.*) Czas się ubierać na obiad. (*Oboje wychodzą, niepostrzegłszy Hrabiego.*)

HRABIA (*sam*).

Słowo daję, mam szansę niesłychaną, raz że mnie nie spostrzegli słuchającego, drugi raz że i samo odkrycie coś warto. Będę barankiem ze stryjaszkami, wlepię oczy w pana Piotra i słuchać będę, ale jak słuchać będę historyi co Kazio kazał powiedzieć Kajetankowi, i pana Jana słuchać będę, co mówił, co mówi, co mówić będzie, co zrobił, co robi, co robić będzie; wszystko wysłucham. (*Odwraca się.*) Aj! pan Piotr już dogania, zmykajmy. Ale prawda, właśnie zręczność... dam się nudzić. No, już też mi zostawi choć moment do przebrania się.

P. PIOTR [1]) (*wchodzi z ręką wyciągniętą jak do uchwycenia za guzik*).

Ależ chodzisz! od samego końca ogrodu biegnę za tobą i nie mogę dogonić. (*Chwyta Hrabiego za guzik.*)

HRABIA.

Trzeba było zawołać...

P. PIOTR.

Ej, czyż to ja nie wołałem? aleś nie słyszał.

HRABIA.

Widzisz pan, wiatr szumi po liściach.

P. PIOTR.

A to ja ci chciałem tylko powiedzieć... ale cóżem to ja miał mówić? ale, o to, wszakem ci ja nie skończył tej historyi.

HRABIA (*patrząc na zegarek*).

Tak, ale to już czas na obiad, a trochę przebrać się trzeba.

P. PIOTR.

Ej, będzie jeszcze czas na wszystko.

HRABIA.

Marya gotowa się obrazić.

P. PIOTR.

A tak, obrazić; powiem ci, że to u kobiety nie trudno się obrazić. I to mi właśnie przypomina historyą, jak się pani Stanisławowa obraziła na księcia Eustachego.

---

[1]) Pan Piotr mówi powoli, z przestankami.

HRABIA (*na stronie, patrząc na zegarek*).

Szansa przebrania się już stracona, jeszcze nadzieja, że się przynajmniej z kurzu otrzepać potrafię.

P. PIOTR.

Otóż tylko nie pamiętam, czy to było w tysiąc ośmset dwudziestym szóstym, czy w dwudziestym siódnym. Poczekajno, w dwudziestym siódmym. Tak, w dwudziestym siódmym, bo przecie w dwudziestym szóstym ja byłem u Księcia w Litwie. Ale nie przypominam sobie... (*Słychać drugie dzwonienie*).

HRABIA (*na stronie*).

I jak pastuch na obiad przyjdę, nie, to już na honór zanadto.

P. PIOTR.

Nie, to było w dwudziestym szóstym, ale w jesieni.

HRABIA.

Może na obiad pójdziemy? co?

P. PIOTR.

Co się tak spieszysz?

HRABIA.

Siadają do stołu. Wejdziemy kiedy już wszyscy siedzieć będą. (*Na stronie.*) Miła partya.

P. PIOTR.

No, to chodźmy, kiedyś taki niecierpliwy.

HRABIA.

Ja niecierpliwy?

P. PIOTR.

A ja idąc, dokończę ci tej historyi.

(*Odchodzą — wchodzi* PAN JAN *trzymający za guzik* TADEUSZKA.)

P. PAN.[1])

Bo wystaw że sobie acan dobrodziej, wyraźnie chciał mi chybić. Bo tak: ja go się pytam, czy pan Hrabia przejeżdżałeś przez Samochwały, a on, zauważ to acan dobrodziej, wręcz mi odpowiada, nie. A jako żywo przejeżdżał po pod sam mój wiatrak, co z galeryjką.

TADEUSZ (*na stronie*).

Już mnie tak od godziny trzyma, a tam Terenia przed wszystkiemi była w salonie. (*Głośno.*) Może pójdziemy na obiad?

P. JAN.

Dobrze, spieszmy się, więc zauważ acan dobrodziej, ja mu to zaobserwowałem; a on łaskawca fik-mik, nibyto nie uważał w przejeździe. A co gorsza powiem acanu dobrodziejowi, bo niby to się poprawia, i tu wyraźnie chęć uchybienia, przytyk, zręczny przytyk. Bo powiada „podobno przejeżdżałem obok cukrowarni, a zauważ acan dobrodziej, że nie może być, żeby nie wiedział, że ja nie mam cukrowarni, ale powiadam acanu dobrodziejowi, że postawię cukrownię, i to zaraz w tym roku. Bo ile razy słyszę wyraz postęp, to mi się zdaje że przytyk do mnie; zrę-

---

[1]) Pan Jan mówi prędko i jakby się gniewał.

czny przytyk, że nie mam cukrowarni; a jak na toż powiem acanowi dobrodziejowi, co moment koło siebie słyszę postęp, postęp; chociaż przyznam się acanu dobrodziejowi, że nie widzę tego postępu.

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Już siedzą u stołu, proszę pana.

P. JAN.

Spieszmy się, spieszmy; ale boś mnie acan dobrodziej tak długo zatrzymał. No, chodźże.

(*Wszyscy odchodzą.*)

Scena II.

(*Zmiana sceny. Altana w ogrodzie. Służący stawiają kilka krzeseł i stolik z czarną kawą — wchodzą* PAN PIOTR *i* AUGUST.)

P. PIOTR.

A kiedy chcesz, to ci opowiem tę historyę.

AUGUST.

Nie żenuj się, proszę.

P. PIOTR.

Bo to widzisz, ja ci mogę jak Cezar i kawę pić i cygaro palić, i razem dokończę ci tej historyi. (*Zapala cygaro, bierze kawę i siada na boku koło Augusta, którego od czasu do czasu trzyma za guzik — wchodzą Pan Jan i Hrabia.*)

P. JAN.

Bo chociaż się acanowi dobrodziejowi wydaje

że nie potrafię jeszcze w tym roku postawić cukrowarnię.

HRABIA.

Ależ ja łaskawy panie, niemam wyobrażenia o cukrowarni, i jakżebym miał decydować.

P. JAN.

Zręczny przytyk, zręczny przytyk — jakobym ja nie miał wyobrażenia. Może i nie mam wyobrażenia, ale mam to, co może zastąpić wyobrażenie; takt, uważasz acan dobrodziej, mam takt.

HRABIA (*na stronie*).

Desperacya. Nie, zacznę go bezczelnie chwalić, może się rozgniewa i puści. (*Głośno*). Pozwolisz sobie pan dobrodziej zauważyć, że kto taki wiatrak postawił.

P. JAN.

A więc acan dobrodziej uważałeś mój wiatrak... A położenie?

HRABIA.

Na cztery wiatry.

P. JAN.

To nie to; ale jak się z drogi prezentuje.

HRABIA.

Jak wieża.

P. JAN (*chwyta od czasu do czasu Hrabiego za guzik*).

Otóż powiem acanu dobrodziejowi, że tak jak widzisz mój wiatrak z drogi, tak nawzajem ci się prezentuje droga z mego wiatraku; i dla tego dałem galeryjkę.

HRABIA.

Uważałem.

P. JAN.

Ha, uważałeś? (*na stronie*) wcale przyzwoity człowiek... (*głośno*) Ale, zauważ też acan dobrodziej, jak pan Piotr złapał biednego Augusta, i za guzik go trzyma.

HRABIA.

Nawykłość familijna.

P. JAN.

Ą tak. — Ja widziałem w wielu familiach nawykłość...

HRABIA (*na stronie*).

Zimne poty biją na mnie, ha, emetyk.

AUGUST (*podaje Panu Janowi cygaro*).

Czy pan Jan nie zapali? (*na stronie*), czas go uwolnić, przez cały obiad go tak trzyma.

P. JAN (*do Hrabiego*).

Zaraz służę acanu dobrodziejowi. (*Do Augusta*). Zauważ acan dobrodziej, że pan Hrabia wcale porządny człowiek. (*Idzie zapalić cygaro*).

HRABIA (*na stronie*).

Uf... przecie puścił. — Ale... aj, aj... drugi rusza się... tu idzie... czuję że tu idzie.

(PAN PIOTR *idzie z ukosa do* HRABIEGO *i chwyta go za guzik.*)

AUGUST.

Złapał go.

P. PIOTR (*do Hrabiego*).

Ale bo jeszczem ci nieskończył tej historyi.

HRABIA.

Słucham! o słucham!

P. PIOTR.

Ale na czem że bo to ja stanąłem? ale, o to. Otóż to było, poczekajno, kiedyż bo to było?

HRABIA (*żywo*).

W tysiąc ośmset dwudziestym szóstym w jesieni.

P. PIOTR.

A prawda? ale czy tylko się nie mylisz?

HRABIA.

Z pewnością.

P. PIOTR.

A tak, w jesieni. Otóż książę wyjeżdżał za granicę i zatrzymał się dni parę w Warszawie. Kiedyż bo nie słuchasz.

HRABIA.

Owszem słucham, w Warszawie.

P. PIOTR.

Trzeba żebyś wiedział, że Książę miał słabość do mnie, nazywał mnie swoją hipekakuanną, rozumiesz?

HRABIA.

Rozumiem, miał słabość z hipekakuanny, to tak (*robi giest*).

P. PIOTR.

Ale kiedy, bo nierozumiesz... Żartem...

HRABIA.

Tak, żartem.

P. PIOTR.

Nazywał mnie hipekakuanną.

HRABIA (*na stronie*).

Tak jest, tamto emetyk, a to hipekakuanna.

P. PIOTR.

Ale kiedy bo mi nie dasz skończyć tej historyi.

HRABIA.

Kończ pan dobrodziej, owszem kończ, ja nie mam nic przeciwko temu.

P. JAN (*wracając do Hrabiego*).

A co, pan Piotr trzyma acana dobrodzieja.

HRABIA.

Rozmawiamy.

P. PIOTR.

Już pan Jan przyszedł przeszkadzać, chciałem ci tylko skończyć tę historyę.

HRABIA.

Owszem, proszę, ja to pasyami lubię.

P. JAN.

Nie przeszkadzam, nie przeszkadzam; trzymaj pana Hrabiego, panie bracie. (*Do Augusta*) Tylko momencik zadrzymię. (*Odchodzi.*)

HRABIA (*cicho do Augusta*).

Tamten przynajmniej sypia.

P. PIOTR.

A więc powiadam Księciu, warto by być u pani Stanisławowej, a właśnie jej niema w domu, bo widziałem taranty przed panią Połaniecką. Uważaj, bo tu najzabawniejsze.

HRABIA.

Pan dobrodziej nie sypia?

P. PIOTR.

Poczekajno. A Książę na to: dobrze, ale niech Biń pojedzie za mnie, a Obniski właśnie był w pokoju. A wiesz, dla czegom ci powiedział poczekaj? bo na to „nie sypia“ — mam ci opowiedzieć historyą.

HRABIA (*cicho do Augusta*).

Auguście ratuj, bo już wszelka cierpliwość wyczerpana.

AUGUST.

Ale, panie Piotrze, Marya chciała się ciebie w interesach zaradzić i zapomniałem ci powiedzieć, że czeka na ciebie w bibliotece.

P. PIOTR.

Biegnę, biegnę, że też ona nic bezemnie zrobić nie umie, (*do Hrabiego*), zaczekaj, zaraz wrócę, i dokończę ci tej historyi. (*Spiesznie odchodzi.*)

AUGUST.

Możesz być spokojnym, Maryi w bibliotece niema, on się tam trochę pokręci, usiędzie na sofie i zaśnie. — Ale czegoż boś taki niecierpliwy?

HRABIA.

Ja? niecierpliwy? a czyliż jest pod słońcem cierpliwszy baranek, albo niewinna owca? co to gadać, niby ty nie widzisz co oni dziś ze mną wyrabiają.

AUGUST.

Cóż nadzwyczajnego?

HRABIA.

Ten ciap — ciap — ciap, a tamten butdu — butdu — butdu. Nie, odrzeknę się żony, posagu; wyrzekłbym się cygar, polowania i wyścigów konnych — ciap — ciap — ciap; butdu — butdu — butdu.

AUGUST.

A Jednak cierpliwość jest jedyną drogą dojścia do celu; a cel...

HRABIA.

Prawda, że piękna, i ma coś, coś czarującego. (*Obziera się.*) Ale czy tu z nich który nie wróci?

AUGUST.

Więc idź w aleę, tam się ona zwykle przechadza sama.

HRABIA.

Auguście, czemże ci się wypłacę?

AUGUST.

Szanuj jej szczęście, pamiętaj, że ona coś więcej warta niż inne.

HRABIA (*podając mu rękę*).

Wszak mnie znasz, i wiesz, że nie jestem wstanie, chybić kobiecie. (*Odchodzi.*)

AUGUST (*sam*).

Tak, dzisiaj i to już zasługa, nie chybić kobiecie, biedna Marya, znowu mieć będzie wszystko, prócz szczęścia. A jednakże ona o tak mało prosi u Boga; o trochę przywiązania; i czyżby go już ona znaleźć nie mogła? I czyżbym ja

sam... Panie Auguście! głupiś; ty sam, masz lat czterdzieści, a to przywiązanie, ten przyjaciel, to pan Tadeusz.

TERENIA (*wchodzi z rysunkami w ręku i zasiada do rysowania*).

Miał mi pan Tadeusz pomagać, ale go pan Piotr w bibliotece złapał i trzyma; zaczęła się historya o Kaziu i Kajetanku, to już będzie na godzinę przynajmniej. Ale ty ojcze, jeślibyś tylko chciał, dać mi radę. Patrz, ta dziewczynka przedziwna, nieprawdaż? a chłopczyk że? Ale to pan Tadeusz zrobił z niego takiego zucha, u mnie jak panienka wyglądał. Ale patrzno,... Maciejowa... otóż z tą Maciejową desperacya. — Ja mówiłam panu Tadeuszowi, jak tylko naszkicował tę Maciejowę, że będzie naburmoszona, ale on powiedział... (*moment milczenia*).

AUGUST.

Cóż powiedział pan Tadeusz?

TERENIA.

Powiedział... powiedział... jak się jej pani dotkniesz, to złagodnieje... otóż ja się jej dotykam, i dotykam, i...

AUGUST.

I, co mężczyzna zepsuł, tego kobieta nie naprawi. Ale moja Tereniu, pan Tadeusz ci widzę pali komplementa.

TERENIA.

On to tak naturalnie mówił.

AUGUST.

A tyś naturalnie słuchała. Moja Tereniu, czy też kiedy przychodzi ci na myśl, żeś już nie dziecko i że od dni kilku masz lat siedemnaście?

TERENIA.

Ośmnasty, ośmnasty, to tak prawie jak ośmnaście.

AUGUST.

I że nie od jednego usłyszysz komplementa, nietylko od pana Tadeusza.

TERENIA.

Będę ich miała dziesięciu, co będą tak wzdychać, jak ten ostatni, co go Marya odprawiła, a ile razy westchnął, to milutki r r r r r...

AUGUST.

Będą ci mówić komplementa, nie słuchaj ich.

TERENIA.

Nie, ja z nich żadnego nie chcę; wybieram sobie swego bohdana według serca, i upadniemy ci do nóg, pobłogosław!

AUGUST.

I twój bohdan uwiezie cię daleko.

TERENIA.

Dokąd?

AUGUST.

Prozą mówiąc, do swego majątku.

TERENIA.

Mój bohdan nie ma majątku, i zostaniemy tu z tobą.

AUGUST.

O nie! nie tak się na świecie dzieje, moje dziecię. „I ciebie obcy przychodzień oddali z ojczystych dolin;“ a co gorsza, że w sercu twojem ojcowskie, pierwsze zajmie miejsce.

TERENIA.

Nigdy!

AUGUST.

Taki rzeczy porządek, a biedny ojciec zostanie sam... sam.

TERENIA (*łkając*).

Kiedy, bo mi przeszkadzasz... Ale patrz! patrz! Maciejowa mi się przedziwnie udała. Patrz, jaka poczciwa baba; a co? widzisz! że pan Tadeusz dobrze mówił. Chodź, muszę mu pokazać tę Maciejowę.

AUGUST (*na stronie*).

Widzę, Hrabia idzie tu z Maryą; więc nie trzeba im zawadzać. Nie, bo to znowu zbyt głupia rola. Ale chodźmy. (*Odchodzą*).

(*Wchodzą* MARYA *i* HRABIA.)

MARYA.

Więc tedy panie Hrabio, zaczęła się nasza rozmowa w sferach nadpowietrznych, a teraz toczy się naturalnie po ziemi.

HRABIA.

Strzepnęłaś, pani, pyłek po pyłku, wszystek róż i blansz, któremi się upiąkszyłem, występując na scenę jako konkurent.

MARYA.

I wierzaj mi pan, że tak panu więcej do twarzy.

HRABIA.

A przynajmniej wygodniej. O! bo cóż to za głupia rola konkurenta?!

MARYA.

Ale bo samiście sobie winni. Niepotrzebnie się maskujecie, a nie wiecie, że nam się mężczyzna najczęściej z wad podoba.

HRABIA.

Jeżeli tak, to mam szansy wyborne.

MARYA.

Ale prawda, na cóż wam się zastanawiać jak się starać? kobiety waszego świata, oszczędzają wam tych zabiegów.

HRABIA.

Same się o nas starają; ale to już nas znudziło, i dla tego...

MARYA.

Pan Hrabia jesteś tu... Przynajmniej pan nieszczerości, do wad swoich liczyć nie masz prawa.

HRABIA.

Ale kiedy pani tak wszystko wiesz, to i to wiedzieć musisz...

MARYA.

Co?

HRABIA.

Wrażenie, jakie robisz na biednym pacyencie.

MARYA.

Na przykład?

HRABIA.

Najprzód zawrót głowy.

MARYA.

A...

(*Hrabia się zapala, Marya widzi idącego z prawej strony pana Jana.*)

HRABIA.

I jakby tysiąc gwiazd w oczach, i bicie gwałtowne krwi do tego, co nazywają sercem.

MARYA.

I podniesienie duszy...

HRABIA.

Tak.

MARYA.

Do poświęceń.

HRABIA.

Do miłości.

MARYA.

Do ofiary chociażby...

HRABIA.

Wszystkiego, prócz miłości.

MARYA.

Chociażby faworytalnej wady, na przykład niecierpliwości...

P. JAN (*wchodząc do Hrabiego*).

Wystaw sobie acan dobrodziej, że nie mógłem spać.

HRABIA (*zdeterminowany*).

Dzielę żal pański, i ja cierpię...

P. JAN.

Acan dobrodziej także cierpisz bezsenność. (*Chwyta go za guzik.*)

HRABIA.

Cierpię z powodu bezsenności pańskiej. (*Na stronie.*) Nie, nimeś tu doszedł w takim momencie, bodajeś był zkamieniał, w lód zamarzł, w topkę soli się zamienił jak Lotowa...

(MARYA *przechadzając się, odchodzi na bok*, HRABIA *się lekko wyrywa, pan* JAN *niepuszcza guzika.*)

P. JAN.

Bo to widzisz acan dobrodziej, acan dobrodziej sam jesteś poniekąd powodem tej bezsenności, bo już em miał zasypiać, kiedy mi przyszło na myśl, czy też acan dobrodziej znasz moje powozowe konie?

HRABIA (*na stronie*).

Chce mi pokazać swoje powozowe konie, zginąłem!

P. JAN.

Więc z jednej strony przychodziło mi na myśl, że te konie zna cała Warszawa; a z drugiej...

HRABIA.

Jakżebym nie miał znać koni pańskich, znam wszystko na bruku warszawskim.

P. JAN.

Ale poczekajże acan dobrodziej, dajże mi powiedzieć, co mi z drugiej strony na myśl przychodziło.

HRABIA (*na stronie.*)

Tymczasem Marya odejdzie.

P. JAN.

Że miałem niedawno inne konie, więc może to acan dobrodziej tamte znasz?

HRABIA.

Ale te!... (*na stronie*) Marya odchodzi.

P. JAN.

Jakiej maści?

HRABIA.

Gniade.

P. JAN.

A widzisz acan dobrodziej, właśnie kare.

HRABIA (*na stronie*).

Kare, a któżby tam się domyślał. Marya wraca...

P. JAN.

Ale widzę, że i tamtych acan dobrodziej dobrze nie pamiętasz, bo były kasztanowate; więc chodź, każę ci wyprowadzić.

HRABIA (*na stronie).*

Wraca, wraca. (*Głośno.*) Panie, mój dobry panie, wszak byłeś młody?...

P. JAN.

Jakto byłeś? zręczny przytyk, zręczny przytyk; byłeś młody...

HRABIA.

Chciałem powiedzieć, byłeś młodszy.

P. JAN.

Więc acan dobrodziej zauważyłeś żem stary.

HRABIA.

Ale bynajmniej...

MARYA (*wracając*).

Cóż to za dyskussya między panami?

HRABIA (*z desperacyą*).

Oto od półgodziny proszę się u pana dobrodzieja, żeby mi kazał wyprowadzić swoje kare powozowe konie, i nie mogę uprosić.

P. JAN.

Ale zauważ acan dobrodziej, że ja nic niemam przeciwko temu, zupełnie nie wierzę w złe oko, owszem chodźmy...

HRABIA (*na stronie*).

Jeden Bóg widzi, co oni dziś ze mną wyrabiają (*Głośno.*) Chodźmy. (*Porywa go gwałtownie za rękę*).

P. JAN.

Ależ powoli, rękę mi złamiesz... (*Do Maryi*). To bardzo porządny człowiek pan Hrabia. (*Odchodzą.*)

MARYA (*sama*).

Nie... nie mogę się przyzwyczaić do tonu tej dzisiejszej młodzieży, każde ich spojrzenie zdaje się uchybieniem kobiecie. W gruncie może tyle warci co i tamci dawniejsi, tylko, że ich ze-

psuło dotknięcie się tych ladajakich kobiet. Ale cóż robić, trzebaż z pomiędzy nich wybrać, boć nie zostanę przecie wiecznie samą; a więc przyjmę Hrabiego z ręki pana Augusta. O Auguście, Auguście! czemuż mnie zrozumieć nie możesz?... (*Tadeusz wchodzi powoli.*) No, chodź! i czegoż tak desperacko wyglądasz?

TADEUSZ.

Domyślam się, domyślam; bo gdybyś pani miała mi coś dobrego do powiedzenia, jużbyś mnie była dawno kazała przywołać.

MARYA.

Jak na zakochanego dość rozsądnie mówisz; w rzeczy samej nie mam ci nic pocieszającego do powiedzenia, chociaż z drugiej strony...

TADEUSZ.

Co mówił?

MARYA.

No, nie dobrze mówił. Na przykład wyrazy takie: gdzie zasługi jego, żeby sięgać po tak wielkie, po tak niesłychane szczęście?

TADEUSZ.

A czyż niema racyi? gdzie zasługi moje, żeby sięgać po tak wielkie, po tak niesłychane szczęście? czyż niema racyi?

MARYA.

I inne... naprzykład: „czy pani myślisz żem ja ślepy i nie widzę?...

TADEUSZ.

Więc widzi, wie, i gardzi mną — czyż niema racyi?

MARYA.

Otóż ci powiem... że chociaż się to wszystko wydaje bardzo jasnem...

TADEUSZ.

O, bardzo jasne; jaśniejszem być nie może.

MARYA.

Jednak mi mój instynkt kobiecy mówi... August dzisiaj tak jakoś rozdraźniony, że go nie poznaję wcale — za dni kilka to się wszystko wyświeci.

TADEUSZ.

Za dni kilka będę już ztąd daleko.

MARYA.

Czyś dziecko?

TADEUSZ.

Nie, pani, dojrzałem w tych godzinach kilku. Już ci nie mówię o miłości, z której się śmiejesz...

MARYA.

Nie, ja się z miłości nie śmieję, mój biedny Tadeczku, choć mi mówią, że to rzecz nie trwała...

TADEUSZ.

A jednak ja czuję tu, że jej obraz tu póki życia nosić będę; ale nie mówmy o tem, bo się rozmażę jak prawdziwe dziecko. Maryo, wskazałaś mi drogę obowiązku jasno, i będę miał męztwa tyle, żeby iść tą drogą, choć boli. Skoro

mnie August nie chce, każdy dzień dłuższego tu w kole waszem pobytu, jest zdradą.

MARYA.

Nie mam ci nic do powiedzenia, masz racyę. Ale dokądże jedziesz?

TADEUSZ.

O! dałbym wiele za to... żebym mógł gdzie życie ważyć w sprawie dobrej; ale wiek nie po temu, to wiek przemysłu; pojadę się rolnictwa uczyć. Pracować będę, praca mnie bronić będzie od rozmarzenia, od myśli o niej i o was wszystkich; boć to wyjazd taki na długo, to jak wygnanie.

MARYA.

Szczerze mi cię żal, mój biedny Tadeuszku, ale kto wie? może...

TADEUSZ.

Nie mów może, bo mi siły odejmujesz do spełnienia ofiary. Bądź zdrowa i ty, któraś mi ojcem i matką i siostrą.

MARYA.

Chodźże, trzeba cię wyprawić, i dać temu wyjazdowi pozór jakiś. (*Odchodzą*).

Scena III.

(*Zmiana sceny. Biblioteka, w kącie za szafą na sofie śpi* PAN PIOTR.)

TERENIA — TADEUSZ — PAN PIOTR — AUGUST — MARYNIA. — PAN JAN.

P. PIOTR (*przez sen, z długiemi przerwami*). Ale kiedy, bo nie słuchasz... Poczekaj, zaraz ci skończę tę historyę... Otóż Obniski był małego wzrostu... Ale bo, poczekaj... więc Szwajcar się czegoś domyślił, i tem się wszystko w ydało (*Głęboko zasypia i chrapie*).

TERENIA (*wchodzi z rysunkiem w ręku*).

Już go niema, a właśnie chciałam, żeby zobaczył. (*Wchodzi Tadeusz.*) Patrz pan, a co? nie prawda, żem pojętna uczennica; a co? Pan swoich lekcyi nie żałujesz, żebyś mnie pan tylko od tych gipsów uwolnił.

TADEUSZ (*smutno*).

Uwolnię panią i od gipsów i od lekcyi, bo wyjeżdżam.

P. PIOTR (*przez sen*).

I Kazio kazał powiedzieć Kajetankowi...

TERENIA.

Jakto? co to? i czegoś pan taki blady?

TADEUSZ.

Oto nie mam mocy nad sobą, żal mi was rzucać.

TERENIA.

Dokąd pan jedziesz? kiedy wracasz?

TADEUSZ.

Jeśli wrócę za lat wiele, zastanę panią zamężną, matką, daj Boże szczęśliwą... O bądź pani szczęśliwą!...

TERENIA.

Co to jest? daj mi pan wody. (*Siada na krześle i pije.*)

P. PIOTR (*budząc się*).

Wody? Kazio nie pijał wody. (*Rozbudza się i słucha niepostrzeżony.*)

TERENIA.

Mówże pan! co panu grozi?

TADEUSZ (*na stronie*).

Cóż ja jej powiem? (*Głośno.*) Nie... nic nie grozi, ale...

TERENIA.

Co, ale? pan milczysz... więc pan mnie tylko chciałeś nastraszyć?

TADEUSZ.

Nie pani. Wyjeżdżam w rzeczy samej, natychmiast i na długo.

P. PIOTR (*na stronie*).

Ho, ho, to coś nowego.

TERENIA.

Więc pan nie myślisz starać się o moją rękę?

P. PIOTR.

Hi, hi.

TADEUSZ.

Nie pani! anim godzien, ani mogę być godzien szczęścia takiego.

TERENIA.

A ja myślałam... (*żywo*) otóż to nie czekać aż się kawaler oświadczy.

P. PIOTR.

Hi, hi, hi.

TERENIA.

Więc pan mnie nie chcesz?

TADEUSZ.

Nie śmiałem nigdy zamarzyć nawet o szczęściu tak niesłychanem, ale to pani wiedz, że jeśliby ofiara mizernego życia mojego mogła ci zapewnić dzień szczęścia, godzinę szczęścia... nie wahałbym się.

TERENIA.

Więc czegóż pan jedziesz?

TADEUSZ.

Jadę, bo mi się nie godzi zatruwać pokoju waszego, zdradzać zaufania ojca twego, co mi swój najdroższy skarb powierza.

P. PIOTR (*jak wyżej na stronie*).

Biedny chłopiec!

TADEUSZ.

To tajemnica moja... jedna Marya wie o niej, przyszedłem tu z zamiarem nie odkryć ci jej pani; ale inaczej się stało. Bądź zdrowa i szczęśliwa! (*Ściska ją za rękę i szybko odchodzi.*)

P. PIOTR (*goniąc za nim z ręką wyciągniętą, jak do guzika*).

Ale, poczekajno. (*Wybiega.*)

TERENIA (*sama*).

Co to jest? co to wszystko znaczy? Nie dobrze rozumiem, ale czuję, że się ojca poradzić muszę. Ależ on mówił, że to jego tajemnica, jego własność; Maryi się zapytam... (*Odchodzi.*)

P. PIOTR (*wraca z ręką wyciągniętą jak do guzika*).

Goń wiatr po polu! gdzież tam; otóż masz, i tej już niema. Żeby mi przynajmniej Augusta złapać, biegnę.

(*Wchodzą* P. JAN *i* HRABIA.)

P. JAN.

Prawda, sam acan dobrodziej zauważyłeś, że dobrze chodzę, i to acan dobrodziej nie jesteś pierwszy, któryś to zauważył. Kiedym był młodszy, bo przyznaję acanu dobrodziejowi, że byłem młodszy, ja wszystko sprawiedliwie przyznaję, tylko mi się wtedy ton powiedzenia acana dobrodzieja nie podobał.

HRABIA (*na stronie*).

Młyn, stępy i folusze; i żeby to na minutę popuścił. Nie, nie wytrzymam.

P. PIOTR (*do Hrabiego*).

A ja ciebie właśnie szukałem.

P. JAN.

Służę panu bratu, służę; (*do Hrabiego*) pan Piotr chce pana Hrabiego złapać. (*Chwyta go za guzik.*)

P. PIOTR.

O, już pan Jan przeszkadza. (*Do Hrabiego.*) Ja ci tylko chciałem powiedzieć... Ale cóżem to ja miał mówić? (*Chwyta go z drugiej strony za guzik.*)

HRABIA.

Ha, zwaryuję! ale nie... (*W rękę pana Piotra kładzie guzik pana Jana i nawzajem, odchodząc.*) Wyjeżdżam. Wyrzekam się żony, posagu, duszy bym się własnej wyrzekł; ale bo co też oni ze mną dziś wyrabiali. (*Odchodzi.*)

(*Po pauzie puszczają guziki.*)

P. PIOTR.

O, i uciekł...

P. JAN.

Słusznie powiadam acanu dobrodziejowi, bardzo słusznie; jakeś go acan dobrodziej zaczął nudzić, bardzo słusznie. Ale, któremi drzwiami wyszedł? (*Spostrzega drzwi niezamknięte i wychodzi.*)

P. PIOTR (*sam*).

O, już go złapie. (*Wchodzi August.*) A ja ciebie właśnie szukałem.

AUGUST.

Służę ci, nie żenuj się, proszę.

P. PIOTR.

Ale cóżem to ja miał mówić? Ale...

AUGUST.

Służę ci, nie spiesz się.

P. PIOTR.

O Tadeuszku, co się kocha.

AUGUST (*żywo*).

No co?

P. PIOTR.

Ale nigdy nie zgadniesz w kim. Bo ja podsłuchałem...

AUGUST.

Wiem, ale zmiłuj się, mów co wiesz?

P. PIOTR.

Ale kiedy wiesz.

AUGUST (*jeszcze żywiej.*)

Ale mówże!

P. PIOTR.

Kiedy, bo mi przeszkadzasz; ale cóżem to ja miał mówić? Ale...

AUGUST (*na stronie*).

O cierpliwości! święta cierpliwości!

P. PIOTR.

Co mówisz?

AUGUST.

Nic. Zacząłeś opowiadać coś słyszał.

P. PIOTR.

A tak, otóż tu na sofie, nie wiem zkąd mi się to wzięło, że zadrzymałem, ale kiedy bo niesłuchasz.

AUGUST.

Obiema uszami, tylko mów.

P. PIOTR.

A tak; i śniło mi się, żem opowiadał Hra-

biemu historyę, co Kazio kazał powiedzieć... nie, tamtę drugą...

AUGUST.

I cóż słyszałeś?

P. PIOTR.

Ale poczekajże; i oni weszli do pokoju i mnie nie widzieli.

AUGUST.

A...

P. PIOTR.

Już nie pamiętam jak weszli do pokoju, bo zdaje mi się, żem drzymał.

AUGUST.

Ale coś słyszał?

P. PIOTR.

Poczekajże no; mnie się śniło, żem opowiadał Hrabiemu tę historyę, jak się pani Stanisławowa obraziła... Ale ty pewnie znasz tę historyę?

AUGUST (*na stronie*).

Desperacya. (*Głośno.*) Mój dobry panie Piotrze, mów coś słyszał!

P. PIOTR.

Ona mówiła, że sądziła że się on starać będzie o jej rękę. Hi, hi, hi, o jej rękę.

AUGUST.

Cóż w tem śmiesznego?

P. PIOTR.

Ale, bo to tak naturalnie, tak poważnie mówiła, hi, hi, hi.

AUGUST.

I cóż dalej?

P. PIOTR.

No, on mówił tak, że mnie rozczulił.

AUGUST.

Coś dziś skłonny jesteś i do śmiechu i do rozczulenia; ale cóż mówił?

P. PIOTR.

Mówił, że nie jest godnym takiego szczęścia, i że wyjeżdża na lat wiele, bo mu się nie godzi nadużywać twego zaufania.

AUGUST.

Jakto, mojego zaufania?

P. PIOTR.

A tak, o mało com się nie rozpłakał, do tego mówił, że i Marya wie o tem.

AUGUST.

Jakto? albo któż ona była? nie Marya?

P. PIOTR.

Ale poczekajże, to ci widzę nie powiedziałem że Terenia; ale boś mi mówił, że wiesz. A to chyba nie wiedziałeś?

AUGUST.

Ale wiedziałem bardzo dobrze, jakże chcesz, żebym był nie wiedział.

P. PIOTR.

A teraz mi nawzajem powiedz... Nie widziałeś Hrabiego? bo mam do niego interes.

AUGUST.

W ogrodzie.

P. PIOTR.

Biegnę... (*Odchodzi.*)

AUGUST (*sam*).

A teraz... wszystko widzę jak na dłoni; Bóg mi układał szczęście podwójne, a ja... mędrkowałem. Teraz rozumiem wszystko co Marya mówiła, i o Tadeuszku, i o przyjaźni dla siebie; a ty głupcze postawiłeś sobie te lat czterdzieści jako stracha, i dalejże lękać się tego stracha. Masz lat czterdzieści, a nie masz rozsądku na czternaście. I teraz tego Hrabiego wciągnąłem... Kto wie, jak on daleko zaszedł?

HRABIA (*przez drzwi*).

Pst, pst, Auguście! czyś sam? czy niema tam żadnego z nich? pewnie? (*Wchodzi w stroju podróżnym.*) Bądź zdrów! wyjeżdżam!

AUGUST.

Cóż to się znaczy?

HRABIA.

Zforsowali mnie, ha! ale bo sobie i nie wystawisz co oni zemną wyrabiali.

AUGUST.

A Marya?

HRABIA.

Miałżem od niej żądać, żeby mi ich pozwoliła... wytopić? nie wypadało...

AUGUST.

Tak, była to propozycya nie do zrobienia; ale dokądże jedziesz?

HRABIA.

Wracam do Warszawy.

AUGUST.

Czy tam nudziarzy nie znajdziesz?

HRABIA.

Komuż to mówisz? toż to oni na mnie, jak muchy na miód, ale w Warszawie mam przecie środki obrony.

AUGUST.

Przejść na drugą stronę ulicy?

HRABIA.

Nie pomoże, złapie; chyba boczna ulica się nadarzy? i to nie zawsze pewne.

AUGUST.

Wejść do sklepu?

HRABIA.

Broń cię Boże! to Ulm; ale co to gadać, to tak jak na wojnie, że nie masz stałych przepisów. Masz jak ryś stąpać lekko i ostrożnie, a dopiero w niebezpieczeństwie, niech ci twój geniusz podszepnie; czasem dom pierwszy lepszy, przechodnia kamienica... a nadewszystko przytomność.

AUGUST.

Ale, boś zbyt łaskotliwy.

HRABIA.

Cóż chcesz, taka moja natura, ale wiesz co?

ty, co się ich nie boisz, ty powinienbyś się starać o Maryę; ona lubi sentymenta, ty jesteś także, przepraszam cię z dawnej daty...

AUGUST.

Kto wie? Może masz racyę... sprobuję.

HRABIA.

Pst! nie słyszysz?... szelest... pewnie oni ciap, ciap, ciap, butdu, butdu, butdu, brr... Bądź zdrów, pożegnaj odemnie Maryę. (*Odchodzi.*)

AUGUST (*sam*).

Zdaje się, żem jeszcze głupstwem moim nie przeciął nici dobrej, co mi ją Bóg dał. (*Marya wchodzi.*) Maryo! przebacz... przebacz...

MARYA (*wyciągając ku niemu obie ręce, które August ściska*).

Więc mi się wraca mój dawny August; ale to niedość, żądam od ciebie Tereni dla Tadeuszka.

AUGUST.

Niech się stara, cóż ja mieć mogę przeciwko temu?

MARYA.

Więc cóż to wszystko było?

AUGUST.

Wstyd mi się przyznać, mam lat czterdzieści.

MARYA.

Wiem o tem, i cóż z tego?

AUGUST.

I boję się śmieszności...

MARYA.

I tę twą słabość znam, ale to nie wszystko.

AUGUST.

I zazdrość... bo zdało mi się, że kochasz Tadeuszka... nie jak brata.

MARYA.

No, takiego głupstwa, nic dziwnego, że się domyśleć nie mogłam.

AUGUST.

Przebacz!

MARYA (*do wchodzącej Tereni*).

Moja Tereniu! (*Tadeusz wchodzi z drugiej strony*). August zezwala, żeby się Tadeuszek, jak powiadasz, starał o twoją rękę.

TADEUSZ (*na stronie*).

Co słyszę!

TERENIA (*do Augusta*).

A widzisz, wszakem ci to dziś mówiła, że przyjdę z bohdanem moim, i pobłogosławisz.

TADEUSZ (*do Augusta z najwyższém uczuciem*).

Panie! zastanów się! czyżem ja godzien szczęścia tak niesłychanego? (*August całuje go w głowę.*)

TERENIA.

Ale wy się wiecznie śmiejecie, jak ja co mówię. I teraz jeszcze... wiesz co Maryo... tobie bym jednej nie pozazdrościła przywiązania ojca; i kiedyś odprawiła tego ostatniego pana, co to tak przeraźliwie wzdychał... pomyślałam sobie...

MARYA (*do Augusta na stronie*).

Widzisz, ona niema lat czterdziestu. Ale cóż z Hrabią zrobiemy?

AUGUST (*do Maryi podobnież*).

Hrabia nie wytrzymał próby; uciekł do Warszawy i kazał mi cię pożegnać.

(*Wchodzi* HRABIA, *prowadzony przez* P. JANA *i* P. PIOTRA.)

HRABIA (*do Augusta na stronie*).

Wystaw sobie, że kazałem koniom zajść z tyłu przed bramę ogrodową, a sam zmykałem ogrodem; aż tu na zakręcie alei straciłem przytomność, i samem się na nich natknął. Ale bo tak cicho stali...

P. JAN (*biorąc Hrabiego za guzik*).

Bo, jakto miałem honor acanu dobrodziejowi zauważyć, acan dobrodziej miałeś kompletną racyę, nie było innego środka z panem bratem.

P. PIOTR (*biorąc Hrabiego za guzik z drugiej strony*).

Kiedy, bo pan Jan przeszkadza... Ja ci tylko chciałem dokończyć tej historyi; bo już wiesz, że w Kijowie Kajetanek zawsze mówił Kaziowi że głupi, że głupi i że z niego nic nie będzie.

HRABIA (*do Maryi*).

Chciałem cię pani pożegnać, ważne powody każą mi spieszyć do Warszawy.

MARYA.

Po herbacie, bo mam panu do powierzenia ważne komisa do Warszawy.

HRABIA.

Podejmuję się najchętniej.

MARYA.

Oto, powiesz pan naszym znajomym, że tu od kwadransu zaszły ważne zmiany w naszem kółku; August mi się oświadczył i biorę go za męża, a nasz Tadeuszek stara się o naszą Terenię i ma szansy.

HRABIA.

Szczerze winszuję; co do Augusta, to i ja dzwoniłem na to kazanie.

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Herbata w ogrodzie.

MARYA (*podając rękę Hrabiemu*).

Chodźmy, i biorę pana Hrabiego pod swoją protekcyę.

HRABIA (*wyrywając się z pomiędzy braci i podając Maryi rękę*).

Chyba. *(August oddaje Terenię do prowadzenia Tadeuszkowi.)*

P. PIOTR (*do publiczności, spiesząc się, bo go pan Jan odciąga*).

To już wam chyba, skończę tę historyę; otóż jak Maszka zapytał w Wiedniu Kazia co ma od niego Kajetankowi w Kijowie powiedzieć? Powiedz, coś widział! że Kazio głupi! na kolmarkcie mieszka i robi partyę księcia Meternicha. Ale, kiedy bo nie słuchacie.

P. JAN (*odciągając pana Piotra*).

Pan brat ich złapał, ale drugi raz nie złapie. Chodźmy na herbatę.

P. PIOTR.

Kiedy, bo pan Jan przeszkadza.

Kurtyna zapada.

POWTÓRNE ŚLUBY.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

PANI N. B.

TĘ JUŻ JEJ CZYTANĄ SZTUKĘ

JAKO DOWÓD GŁĘBOKIEJ CZCI

POŚWIĘCA

AUTOR.

OSOBY.

KSIĄŻĘ STANISŁAW.
MARYA, jego żona.
PUŁKOWNIK, stryj Maryi, dawny wojskowy.
HRABINA JULIA.
LEON.
SOBKOWICZ.
IZABELKA, panna Księżny.
KOCHANOWSKI, kamerdyner Księcia.
PAWEŁEK, lokaj Księcia.
KAMERDYNERZY i MASKI.

Scena w Warszawie.

AKT I.

Scena przedstawia pokój.

Scena I.

KOCHANOWSKI *z piórkiem do zczyszczania* — PAWEŁEK *z serwetą do ścierania prochów.*

KOCHANOWSKI.

Widzisz Pawełku, ja, jak tylko na posadę wchodzę, pytam się sam siebie, kto tu pan? i patrzę... zczyszczajże mazgaju ze środka.

PAWEŁEK.

Proszę pana, i ja się casem pytam som siebie, po co to ścierać psez środka, kiedy tam nikt nie widzi.

KOCHANOWSKI.

Słuszna uwaga Pawełku, wcale słuszna, widzisz, to zależy od tradycyi domu, jak mówi stary Książę. Jakem był u Sobkowicza, to tam tylko z wierzchu zczyszczali, ale tu, już takie zaprowadzenie.

PAWEŁEK.

Fontozya prosę pana.

KOCHANOWSKI.

Widzisz Pawełku, to Angliki mówią, że w domu, to co widać, niech będzie czyste, ale to czego nie widać, niech będzie jeszcze czyściejsze, a u nas, od Anglików.

PAWEŁK.

Prosę pana, cy to wsystkie Angliki, takie nikłe i koślawe, jak na wyścigach?

KOCHANOWSKI.

Mylisz się Pawełku, wcale się mylisz, znałem u księcia Eustachego kamerdynera, Dżodż się nazywał, taka familia, wcale porządny człowiek i tuszy przyzwoitej.

PAWEŁEK.

To zabawne, prosę pana, bo ja myślałem . . .

KOCHANOWSKI.

Ale, cóżem to ja mówił Pawełku, ale o to, więc pytam się, kto pan? i patrzę. Najprzód na panią, zawsze na panią najprzód patrzę Pawełku, potem na pana patrzę, a jakem jeszcze pana nie znalazł, to dalej Pawełku patrzę, patrzę na pannę starszą, co panią ubiera, i kamerdynera starszego co pana ubiera, (bo juści komisarz to tylko w interesach pan,) a jeślim jeszcze nie znalazł, idę dalej Pawełku, patrzę na tych, co bywają w domu. No, Pawełku, któż u nas pan?

PAWEŁEK.

No, juści że nie Księżna pani, prosę pana. Bo choć to Książę pan powiada, że słuchać Księżnej pani, więcej niż jego; to tylko odpowiedzieć

prosę pana, słucham Mości Książę, i na tem koniec.

KOCHANOWSKI.

Słuszna uwaga, Pawełku, wcale słuszna, więc któż? Książę pan?

PAWEŁEK.

Ej gdzie zaś prosę pana, Książę pan. Raz ze Książę pan i nie uwaza, a choć i zauwazy, to zadko kiedy połaje; a chociaz i połaje, prosę pana, to ksyknie tsysta djabłów, i na tem koniec.

KOCHANOWSKI.

Już też i nie ja Pawełku, i nie panna Izabelka, więc któż?

PAWEŁEK.

A juści, ze pani hrabina prosę pana, bo to i dobrze złaje, i na kilka półmisków rozbierze.

KOCHANOWSKI.

Słuszna uwaga, Pawełku, wcale słuszna, a tenże proch, mazgaju.

PAWEŁEK.

To prosę pana, dawne.

KOCHANOWSKI.

Tem więcej Pawełku zczyszczać trzeba. Mebel nie lubi żeby go zaniedbywać, jak mówi stary Książę. Ale, cóżem to ja mówił Pawełku, ale, oto. Słuszna uwaga Pawełku, pani hrabina tu pan, z jej łaski trzymam posadę, i z jej niełaski ją stracić mogę. A chociaż u Sobkowicza, i honorarium było dobre, i też gotówką,

ale to tyle razy bywało człowiekowi wymówił, że i grosz obmierzł.[1])

PAWEŁEK.

A moze się widzi, prosę pana, ze nasa Księzna pani, często kwili. Bo ile razy wejdę za cem do pokoju jak sama, to prosę pana, ocy jak od cebuli.

KOCHANOWSKI (*żywiej*).

Nie słuszna uwaga Pawełku, wcale niesłuszna, a nawet kompromitująca uwaga, nam nic do tego Pawełku, nam nie płaczących pilnować; ale płacących, hm, hm.... a zresztą, od czegoż Sobkowicz Pawełku i pan Leon (*słychać dzwonienie*). Ktoś dzwoni, a tu pewnie tego mazgaja szwajcara, przy schodach nie ma.

PAWEŁEK.

On, prosę pana, tak jak Ksiaze pan, do dziesiątej śpi, a potem godzinę psy lusterku. (*Odchodzi.*)
(*Wchodzi* PUŁKOWNIK.)

Scena II.

KOCHANOWSKI — PUŁKOWNIK.

PUŁKOWNIK.

Nikogo przy schodach. (*Na stronie*). Ona pewno śpi jeszcze, ale już może Stanisław nie śpi. (*Głośno do Kochanowskiego*). Książę wstał?

---

[1]) W graniu można przepuścić.

KOCHANOWSKI.

Książę pan jeszcze nie dzwonił, to może Jaśnie pan, pofatyguje się za godzinę, (*tymczasem Pułkownik siada*) (*na stronie*). Jakiś intrus. Jakby tak u Sobkowicza, ale z Księciem panem, to i dla lada szaraczka, bądź grzeczny, już taka tradycya domu, jak mówi stary Książę.

PUŁKOWNIK.

To może przypadkiem, Księżna nie śpi?

KOCHANOWSKI.

Księżna pani już dawno w kościele. Jaśnie pan widać nie zna zwyczajów domu. Księżna pani bardzo rano wychodzi.

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Zkądże to taka zmiana.

KOCHANOWSKI (*na stronie*).

Oczywiście że intrus, o! jakby to tak u Sobkowicza, dawnoby już zleciał ze schodów. (*Głośno.*) Może Jaśnie pan się pofatyguje za godzinę?

PUŁKOWNIK.

Co?

KOCHANOWSKI.

Nic, to do woli Jaśnie pana, (*na stronie*) a jaka mina, (*słychać dzwonienie, żywo*). Pani Hrabina, to jej dzwonienie, i turkot jej powozu. No, będzie że miał szwajcar za swoje, dobrze tak mazgajowi, biegnę, (*Wybiega.*)

Scena III.

PUŁKOWNIK *sam.*

PUŁKOWNIK.

Otóż masz i kobiety. I to jeszcze wojewodzina, niby to rozsądniejsza od innych. Pisze mi, bym natychmiast do Warszawy przyjechał, lecę na łeb na szyję, i biegnę do pałacu, a tu pani Wojewodzina na dwa miesiące do Złotej Góry wyjechała, i ani słówka do mnie. Rzecz dziwna.

(*Wchodzi* JULIA.)

Scena IV.

JULIA — KOCHANOWSKI — PUŁKOWNIK.

JULIA (*do Kochanowskiego, co za nią wchodzi*).

Książę śpi, więc go zbudzić. (*Spostrzega Pułkownika.*) Ale cóż to ja widzę, zkąd? kiedy? mówże prędko, (*do Kochanowskiego)* i powiedzieć Księciu, że pan Pułkownik przyjechał.

KOCHANOWSKI.

Słucham Jaśnie pani. (*Wybiega*).

JULIA.

No, mówże, co za ważne pobudki sprowadzają cię na nasz płaski horyzont? Bo nie dla Wojewodziny przecie?

PUŁKOWNIK.

Wszak pani Wojewodzina wyjechała?

JULIA.

Tak mój drogi, wśród zimy, i to całe miasto, ogromnie intryguje. Tą razą zrobiła efekt. No, ale mówże, wiesz żem ciekawa.

PUŁKOWNIK.

Oto po prostu, czuję że rdzewieję na wsi, i przyjechałem się odświeżyć.

JULIA.

Kłamiesz.

PUŁKOWNIK.

Chciałbym was poznać, świat się zmienił.

JULIA.

Nudni, mój drogi, fatalnie nudni. Nie wiem jak to u was bywało, Wojewodzina powiada, że inaczej... Ale gdzież Marya?

PUŁKOWNIK.

Mówiono mi, że w kościele, i dziwi mnie, że tak rano.

JULIA.

Biedna Marya, biega za ekscentrycznością, choć to kobieta na palcach znać powinna, że nie każda ekscentryczność podnosi... Ale, wracam do zapytania, czy i wy byliście tacy nudni?

PUŁKOWNIK (*w roztargnieniu*).

Nudni... o... nudni (*na stronie*). Coś mnie tknęło, tak jak wtedy... kiedym przez górę przeczuł... ukryty batalion strzelców, i dwa działa.

JULIA.

Przedziwnie, dystrakcya.

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Coś mnie tknęło... że moja Marya nieszczęśliwa... i że oto sprawca jej nieszczęścia, Wojewodzina, nie mogła mi tego powiedzieć, i wyjechała.

JULIA (*śmiejąc się*).

Ależ, pytam.

PUŁKOWNIK.

Przepraszam cię pani, coraz to fatalniejsze miewam dystrakcye, i wkrótce będę jak Książę Wojewoda.

(*Wchodzi* STANISŁAW.)

Scena V.

STANISŁAW—PUŁKOWNIK—JULIA—IZABELKA.

STANISŁAW.

Przebaczcie mi moje marudztwo, dzień dobry Julio, a ty drogi... kiedy? (*ściska serdecznie Pułkownika*).

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Zawsze złoty chłopiec. (*Głośno*). Kiedy? w tym momencie.

STANISŁAW.

I gdzieś stanął?

PUŁKOWNIK.

Jeszcze nigdzie. Kazałem sobie u Obucha wziąść numer.

STANISŁAW.

A, toby pięknie było — mam przedziwny, i zupełnie osobny apartamencik mego ojca.

PUŁKOWNIK.

Widzisz, do mnie czasem łażą wąsate figury, których twój szwajcar nie przepuści.

JULIA (*przedrzeźniając ton szlachecki*).

O, dalej Stanisławie, ale proszę acana dobrodzieja, co mam łaski. — (*Po pauzie*). Czy nie widzisz, że nudzisz Pułkownika naleganiem? Każdemu najmilsza wolność.

STANISŁAW.

Nie, Julio, muszę nalegać, boby się mój ojciec seryo gniewał, jakby się dowiedział, że Pułkownik stał w Warszawie w hotelu, a nie w jego domu.

PUŁKOWNIK.

Niech i tak będzie.

STANISŁAW (*dzwoni, wchodzi Kochanowski*).

Pojedź natychmiast do hotelu wileńskiego — tam znajdziesz kamerdynera pana Pułkownika.

PUŁKOWNIK.

Jan, łysy, z długiemi wąsami — i czekać będzie o trzy kroki od wschodów.

STANISŁAW.

I przewieź go z walizami do pałacu — apartament starego Księcia. (*Kochanowski wychodzi*) A tymczasem chodźmy do ciebie. (*Odchodzi z Pułkownikiem.*)

JULIA (*sama, siada w fotelu*).

Po co przyjechał? — i to dziś właśnie — czyżby mógł wiedzieć? — nie — nikt wiedzieć nie może; wszak to tu jeszcze. (*Dotyka się czoła.*) Jednak — rzecz dziwna — i kiedy przyjeżdżam, ażeby zacząć działać, tu go zastaję. Nie nawidzę go — i jako przyjaciela Wojewodziny — i jako stryja tej co mi ją rzucono pod nogi, jako zawadę — a którą zdepcę pod nogami.

STANISŁAW (*dosyć wymuszenie*).

Ledwiem się go pozbył, moja najdroższa i wracam. — Czegoż tak rano?

JULIA.

Moja najdroższa a... a... a... (*ziewa*) więc cię już nudzę, Stanisławie.

STANISŁAW.

Zawsze, bo mi sceny robisz.

JULIA.

Może niezasłużenie? (*milczenie.*) Widzisz, jeszcze nie umiesz kłamać.

STANISŁAW.

Słuchaj Julio — dla miłości twojej poświęcam żonę, która mi siostrą nie żoną.

JULIA.

I właśnie żałujesz tego.

STANISŁAW.

I właśnie od niej ani skargi, ani cierpkiego słowa — a od ciebie...

JULIA.

Bo ona cię nie kocha — ona nie umie ciebie kochać — dla niej miłość taka — jak Sobkowicza — Jak Leona.

STANISŁAW.

Co też gadasz? — Wiesz dobrze, że gdybym był tego na wyraźne żądanie twoje nie wymagał — toby ich i nie przyjmowała wcale.

JULIA.

O! niepojęty, a zawsze jednaki rodzie mężów. — Otóż ci powiem, że pan Leon — już bardzo blizko.

STANISŁAW (*żywo*).

Kłamstwo.

JULIA.

A ha — zazdrosnyś — jeszcze ci tej śmieszności brakowało, żeby być kompletnym mężem.

STANISŁAW.

Nie — ale bo nie lubię niesprawiedliwości — Marya, jest moją żoną, ale mimo to, jej przymioty widzieć mogę, tak jak jej wady widzę — ona jest zimna, skrępowana wyobrażeniami obowiązku, i jakiejś przyzwoitości — i nie zdolna tak jak ty Julio do ofiar i walecznego poświęcenia się dla miłości. Ale, żeby już miała słuchać, tak źle wychowanego głupca, jak Sobkowicz — albo tej bańki mydlanej, co ją zowią Leonek — tego we mnie nie wmówisz.

JULIA.

No — dajmy temu na ten raz pokój — tylko

cię proszę, nie bądź zazdrośny, i na tę niesłychaną smieszność, się nie narażaj — szczęściem, że i dla mnie, znalazło się jakieś tam dobre słowo. — Nie, Stanisławie, nie szukaj mi zasług w walecznej ku tobie miłości, bo ta miłość wplotła mi się w życie, i życiem chyba ustanie. — Ale zasługa moja w tem, że ja jedna, co cię rozumieć potrafię, Stanisławie.

STANISŁAW (*całując ją w rękę*).

Najdroższa Julio!

JULIA.

Ha, ha, ha! — Otożeśmy od skały wymówek dopłynęli do wyspy wylania uczuć. — Ale nie potom do ciebie tak rano przyjechała. — Przyjechałam, żeby cię uprzedzić, że w niedzielę, podasz mi rękę na maskaradzie — więc żebyś żadnych zobowiązań nie przyjmował.

STANISŁAW.

Ależ moja droga, cóż ja ze stryjaszkiem zrobię?

JULIA.

A może miałeś zamiar, ten wieczór w gronie familijnym przepędzić — przy drogiej małżonce.

STANISŁAW.

Już zrobię co chcesz, tylko mi znowu sceny nie rób.

JULIA.

No, idź już do najdroższego stryjaszka, uwalniam cię. (*Stanisław całuje ją w rękę i odchodzi.*)

JULIA (*sama*).

Te dorosłe popsute dzieci, koniecznie potrzebują... często... rózgi — zaprawdę, gdybym mu dzień jeden odetchnąć dała, i nie wstrząsnęła go dobrze kaprysem; uległby niezawodnie pociągowi, do cierpiącego anioła. Cóż, kiedy go ten anioł nie rozumie — ja go jedna rozumiem, ha, ha, ha. O mężczyzni — mężczyzni — i wam to mówić o próżności kobiety, wam próżniejszym od najpróżnieiszej. (*Po pauzie.*)

Ale już czas, zaprawdę czas; bo czuję, że i ta broń w ręku mi się łamie — czas zadać cios stanowczy. (*Wstaje i dzwoni.*) A może już i pora — drzewo zasadzone starannie, i powinnoby już wydać owoc. — Ale zkądże mi się dziś biorą, takie biblijne porównania? ha, ha, ha. (*Wchodzi Izabelka.*) No, i cóż?

IZABELKA.

Nic, proszę pani Hrabiny, nic nie ma — prawdziwie, że już ja dobrze patrzę.

JULIA.

Więc nic. — Ale cóż robi Księżna po dniach całych?

IZABELKA.

Tak jak zawsze, proszę pani Hrabiny, rano wstaje i biega po kościołach — a jak sama, to płacze, że aż żal.

JULIA (*żywo*).

Bo głupia.

IZABELKA.

Prawdziwie, że słusznie pani Hrabina mówi —

bo proszę pani Hrabiny, żeby to się ubierała kiedy — stroik przymierzyć, przy gotowalni posiedzieć, po magazynach biegać i kupować. — Ale tu i marchandemode nie zajrzy, że i człowiek zapomni to co umiał.

JULIA.

A ci panowie?

IZABELKA.

Nic, proszę pani Hrabiny, bo ja widzę z buduaru — nic, a nic. — Jeszcze to ten Sobkowicz, to gburzysko — ale pan Leon, prawdziwie, że jabym mu nic odmówić nie mogła, z tą czarną bródką, i zawsze żarty, jak człowieka napotka.

JULIA.

Więc jeszcze nic?

IZABELKA.

Nasza Księżna, to z przeproszeniem pani Hrabiny, głupie jak dziecko.

JULIA.

Może źle widzisz?

IZABELKA.

Prawdziwie, żeby nie tyle łask doznanych od pani Hrabiny, tobym się mogła obrazić. — Żebym ja nie widziała takich rzeczy. — Pani Hrabina nie uważa, że i sobie uwłacza, bo w czyichże się to usługach kształciłam. — Prawdziwie, żebym ja nie widziała.

JULIA.

Czy myślisz, że pojedzie w niedzielę na maskaradę?

IZABELKA.

Z Księciem?

JULIA.

Bez Księcia.

IZABELKA.

Za nic, proszę pani Hrabiny — i tak ledwie, że ostatnią razą z Księciem pojechała — i skarżyła się, że ją to znudziło śmiertelnie, chociaż, proszę pani Hrabiny, takie śliczne domino.

JULIA (*w roztargnieniu*).

Jednak trzeba koniecznie, żeby pojechała... (*Zabiera się do wychodzenia.*) Proszę cię moja Izabelko, patrz dobrze — ty wiesz, że czasem najdrobniejsza z pozoru rzecz...

IZABELKA.

Niechże pani Hrabina będzie spokojna.

JULIA (*na stronie*).

Musi pojechać. (*Wychodzą obie.*)

(*Zmiana sceny.*)

PUŁKOWNIK *i* MARYA *siadają.*

PUŁKOWNIK.

Moja Maryo, bardzom z ciebie niekontent.

MARYA.

I czy nie można wiedzieć, czem sobie zasłużyłam na te gniewy?

PUŁKOWNIK.

Oto naprzód, bardzoś mizerna.

MARYA.

To prawda — zdaje mi się, że mi miasto nie służy.

PUŁKOWNIK.

A dawniej bardzo dobrze ci służyło.

MARYA.

To powietrze warszawskie...

PUŁKOWNIK.

I powietrze warszawskie ci bardzo dobrze służyło.

MARYA.

I nie myśl, żebym mało dbała o zdrowie, bo nie mam życia na zbyciu — więc się radzę Malcza.

PUŁKOWNIK.

I cóż Malcz mówi?

MARYA.

On powiada, że to migrena — i istotnie strasznie na głowę cierpię.

PUŁKOWNIK.

Powtóre, byłaś sławny śpioszek, ani się dobudzić było — a teraz coś bardzo rano wstajesz?

MARYA (*żywo*).

To z rady Malcza — to jest, mówiłam Malczowi, że rano wstaję, a on powiedział, że to bardzo dobrze.

PUŁKOWNIK.

Hm, tak — ale zkąd ci to przyszło, tak rano wstawać — a po trzecie — oczy masz czerwone, więc płaczesz.

MARYA.

Cóż za myśl znowu — czegożbym płakać miała?

PUŁKOWNIK.

Nie wiem — ale coś jest między Stanisławem a tobą, czegom jeszcze nie doszedł, ale dojdę. Nie wdaję się ja zwykle w wielkie chmury młodego małżeństwa, bo z nich mały deszcz; a zresztą, Bogu jednemu, wdawać się między męża a żonę — ale czuję, że tu jest coś ważnego.

MARYA.

Oczywiście jakaś plotka — a jeżeli w niej nic nie ma przeciw memu Stanisławowi? słucham.

PUŁKOWNIK.

Mówię ci, że jeszcze nie wiem, ale dojrzę — przywiązanie ma bystry wzrok.

MARYA (*całuje go w rękę*).

Drogi stryju! — nie szukaj darmo, bo nic nie znajdziesz. — Płakać będę, jak się mój Stanisław splami nieszlachetnym czynem. — Jak ci się zdaje? czy mi blizko do płaczu.

(*Wchodzi* LEON, *za nim* SOBKOWICZ, *bardzo elegancko ubrani — piękne wejście — kłaniają się po angielsku skinieniem głowy — Sobkowicz nie widzi Pułkownika — Sobkowicz mówi głośno. — Ale upraszam aktora, aby nie szarżował tej roli*).

SOBKOWICZ (*do Maryi*).

Królowo! — wierni, a srodze maltretowani poddani twoi, przychodzimy... (*Spostrzega Pułkownika.*)

MARYA.

Drogi stryju — pan Sobkowicz, pan Leon.

(*Przybyli siadają — pan Sobkowicz się nadyma*).

SOBKOWICZ (*cicho do Leona*).

Co to za stryj?

LEON (*podobnież*).

Przecie Pułkownik...

SOBKOWICZ (*podobnież*).

Dobrze, że Pułkownik — ale, co za jeden?... bogaty?

LEON (*podobnież*).

Bardzo.

SOBKOWICZ (*podobnież*).

Dobra?

LEON (*podobnież*).

Klucz Płoński na Ukrainie.

SOBKOWICZ (*podobnież*).

Wiem, wiem.

(*Odtąd przybiera względem Pułkownika pozycyą nadskakującą.*)

MARYA.

Ale, przerwałam panu Sobkowiczowi przemowę.

SOBKOWICZ.

Nie, to tak, improwizowana.

LEON.

Słowo daję, że improwizowana, bom sam słyszał, jak ją nasz nieoczacowany Sobkowicz improwizował na wschodach.

SOBKOWICZ.

Ty, bo zawsze Leonku... (*Do Pułkownika*) Hrabia mieszka w Płońsku?

PUŁKOWNIK.

Szlachcic panie, szlachcic — mieszkam w rzeczy samej w Płońsku. — Pan dobrodziej zna tę okolicę?

SOBKOWICZ.

Ha, ha! Jakże nie znam — mam tam dobra — klucz Olszański.

PUŁKOWNIK.

Po Radziwiłłach.

SOBKOWICZ.

Tak jest — niedawno nabyłem — jeszcze to brutto, ha, ha! ale się urządzi — bo to ja wszystko lubię na wielką skalę, (*te trzy słowa, zawsze są powiedziane właściwą intonacyą*). Pałac trzeba ze wszystkiem przerobić, angielski ogród...

PUŁKOWNIK.

Ile pomnę, pałacyk letni w stylu Sasów, woda w długich kanałach, i śliczne drzewa.

SOBKOWICZ.

Tak, to się przerobi — sprowadzałem Miklera, ale on się bał tknąć tego, ha, ha! ja sam odrysuję angielski ogród.

MARYA.

Panie Sobkowicz, wracajmy do przemowy, stanęliśmy na — królowo.

SOBKOWICZ.

Zaraz, królowo, zaraz. (*Do Pułkownika*) Pan

Pułkownik może przejeżdżał przez moje dobra na Podolu — Suchodoły — dwa klucze — ha, ha! tam, to już wszystko urządziłem na wielką skalę.— Pałac, ogród angielski, oranżerye, trepauzy...

MARYA.

Ale ja się dopominam o moje królowanie, bo to prawdziwy specyał dla kobiety.

SOBKOWICZ.

Zaraz, brólowo, zaraz.

LEON (*cicho do Maryi*).

Niech go darmo Księżna nie zatrzymuje, bo nie stanie, aż wszystkie swoje dobra wyliczy — jeszcze w Podlaskiem.

SOBKOWICZ (*do Pułkownika*).

W Podlaskiem, mam znowu majątek Błotopole — to, już inaczéj urządziłem — tu, panie, po prostu, — park, dzika promenada.

LEON (*cicho do Maryi*).

I to wszystko, byłoby nas minęło, ale jak się dowiedział pan że Pułkownik bogaty — nie wytrzymał.

MARYA.

Panie Sobkowicz, chcę koniecznie przemowy, ale że się jej doczekać nie mogłam, zamienimy go w przysięgę, i ja ją dyktować będę, królowo, powtarzaj pan, królowo.

SOBKOWICZ.

Ha, ha! Niech i tak będzie — królowo.

MARYA.

Przysięgam.

SOBKOWICZ.

Przysięgam.

MARYA.

I na krzywoprzysiężcę n: będziemy wzywać Styxu i Acheronu, ale inaczej. — A jeśli złamię przysięgę — no, mów pan.

SOBKOWICZ.

Ha, ha! — A jeśli złamię przysięgę?

MARYA.

Niech stracę klucz Olszański, i dalej pan recytuj.

SOBKOWICZ.

Ha, ha! Olszański, Suchodolski, Błotopolski, i mój pałac Warszawski i mój pałac w Krakowie i papierki na różnych bankach, niech stracę — ale nie stracę.

MARYA (*cicho do Pułkownika*).

Jest tam kto w waszej okolicy z gustem?

PUŁKOWNIK (*cicho do Maryi*).

Na przykład Michałowski.

MARYA (*do Sobkowicza dyktując*).

Jeśli się młotkiem mularskim dotknę saskiego pałacyku — albo siekierę przyłożę, choćby do jednego Radziwiłłowskiego drzewa — jeśli się posadzić ośmielę, choćby jeden kij w słomę owinięty — bez wyraźnego pozwolenia pana Michałowskiego.

SOBKOWICZ.

Ależ to trzeba koniecznie przerobić — pełno mam myśli...

MARYA.

Proszę za mną powtarzać, a słowo w słowo.

SOBKOWICZ (*z powagą*).

No, to już lepiej, daję Księżnie słowo — kiedy ją tak interesują rudera z wysokim dachem i gonty dębowe — kawalerskie słowo.

LEON.

Ale, mój kochany Sobkowicz, jak się ożenisz?

SOBKOWICZ.

Kiedy bo ty Leonku, nierozumiesz... Kawaler, to znaczy co innego, wszak prawda Księżno?

MARYA.

Ja doskonale pana Sobkowicza rozumiem, i jestem zupełnie spokojna o stare drzewa.

SOBKOWICZ.

Ha, ha! nie prawdaż królowo?

LEON.

Ale wie Księżna, że się te damy na niedzielną maskardę szalenie wybierają — słowo daję, już trzem przyrzekłem rękę podać.

SOBKOWICZ.

To masz trzy ręce Leonku — ha, ha!

LEON.

I żeby żadnej nie obrazić, pójdę z którąś z dam... z baletu.

PUŁKOWNIK.

Krócej było tamtym nie przyrzekać.

LEON.

Myśli Pułkownik — jedna aż przyjechała do mnie prosić. — Nie chcę jej wymienić, ale Księżna zna.

MARYA *cicho do Pułkownika*).

A gwałtownieby chciał wymienić

SOBKOWICZ.

To ja wymienię, ha, ha! bo mi się Leonek przyznał.

MARYA.

Dziękuję panu Leonowi za ten względ dla mego salonu — jednak wolę wierzyć, że to żart.

LEON.

Słowo daję, niech Sobkowicz powie.

SOBKOWICZ.

Już to Księżna nie uwierzy, ale to bestya ten Leonek.

LEON.

I drugą Księżna zna bardzo dobrze.

MARYA.

Tą razą wolę nie znać.

LEON.

Słowo daję, bywa tu co czwartek.

MARYA (*cicho do Pułkownika*).

I to tak co dzień słuchać muszę ich głupstw, przynajmniej godzinę.

PUŁKOWNIK (*cicho do Maryi*).

Poczekaj, zaraz cię uwolnię.

MARYA (*głośno do Pułkownika*).

Czy i za waszych czasów, te damy tak się mało szacowały?

PUŁKOWNIK.

U nas bywało, więcej przechwałek niż prawdy — nie wiem jak teraz? (*Milczenie.*) Ale to zawsze od samejże kobiety zależy. I dziś, czemuż nikomu i do głowy nie przyjdzie, chwalić się łaskami pani Pelagii, chociaż i piękna, i młoda, i dowcipna.

SOBKOWICZ.

Ha, ha! wielka rzecz, kiedy z mężem jak dwa gołąbki.

LEON.

A tu mowa nie o gołąbkach, ale o lwicach.

PUŁKOWNIK (*z ironią*).

Więc to jedyna excentryczność, co w pewnym świecie nie ma wartości.

MARYA.

A z tego, miara wartości pewnego świata.

LEON.

Słowo daję, Księżna bluźni — byle się nie dowiedziały.

PUŁKOWNIK.

I to, zawsze tak bywało w Warszawie. — W tem co nazywają światem, tworzy się jakiś mały światek, co się napina, hałasuje i myśli, że panuje — a to trwa akurat tyle, co krój rękawa — kiedy tymczasem prawdziwy salon stoi zawsze.

LEON.

A w tym salonie się nudzą.

PUŁKOWNIK.

Mniej więcej. — Nudy, my za sobą ciągniemy wszędzie, jako skutek i chłostę próżniactwa, ale właśnie dla tego próżniactwa, wystawcie sobie państwo Warszawę bez salonu.

LEON.

Jest teatr, są inne miejsca.

PUŁKOWNIK.

Teatr czasem mniej nudny, ale to czasem — a dla tego co szyneczku i tych innych miejsc nie lubi? cóż zostanie? — Więc z natury rzeczy, stoi w Warszawie salon, jako coś koniecznego, konieczniejszego niż gdzieindziej, bo sam jeden musi zastąpić wszystko to, co jest gdzieindziej. — A w tym salonie, prawdziwa wartość, zawsze mieć będzie wartość, jak złoto, — nieprawdaż panie Sobkowicz? (*Leon ziewa*).

SOBKOWICZ (*ziewając*).

Tak, co złoto, to złoto.

PUŁKOWNIK.

Ale widzę Maryo, że cię nudzi ta dyskusya zbyt seryo — chodźmy panowie do Stanisława na cygaro. (*Wszyscy trzej wychodzą.*)

MARYA (*sama*).

O!... (*załamując ręce.*) I jak to ciężko, udawać spokój i wesele. — Bałam się, żeby nie dojrzał. — A teraz! długie godziny samotności —

niegdyś najmilsze godziny zatrudnień, kiedy spokój był w sercu.

Dzisiaj, do zatrudnienia, siły nie ma — a tylko myślą nurtuję w głębokościach mej nędzy, i dna znaleść nie mogę. Bo jam mu przysięgagła do śmierci — i czuję, że go do śmierci kochać będę, — może nie długo!... A tymczasem co rana, u stóp ołtarza — uproszę sobie u patronki mojej trochę siły — ale to ledwie do wieczora wystarcza.

A nocy — długie, bezsenne nocy. — (*Wchodzi Stanisław*).

STANISŁAW.

Mówił mi nasz przyjaciel, żeś cierpiąca?

MARYA.

Nie, to nic Stanisławie.

STANISŁAW.

Jak to nie — twarz masz zmienioną, oczy czerwone.

MARYA.

To ta fatalna migrena.

STANISŁAW.

Może posłać po Malcza?

MARYA.

Wiesz dobrze, że Malcz mi na to nie pomoże. (*Po pauzie*) To migrena.

STANISŁAW (*na stronie*).

Otóż to z kobietami. — Bierzesz dziewczynę świeżą jak róża, zdrową jak rybka — a ledwie

za mąż wyszła, masz spazmy i migreny. — Ale ona cierpi! (*głosem czułym*) Maryo! (*bierze ją za rękę.*)

MARYA (*jak ockniona — tymże głosem*).

Stanisławie!

JULIA (*z drugiego pokoju*).

Stanisławie, chodźże prędko — Leonek opowiada bardzo zabawną historyą.

(*Stanisław jak uderzony, puszcza rękę Maryi, która bezwładna na jej kolana upada i odchodzi.*)

Kurtyna zapada.

AKT II.

Tenże sam pokój.

Scena I.

JULIA — MARYA.

JULIA.

Nie udawaj daremnie przedemną, bo ja to widzę jak na dłoni. Ale wierzaj mi Maryo, twoja to wina.

MARYA.

Być może, a raczej tak być musi. Powiedz, a jeśli jest w mojej mocy, poprawię się.

JULIA.

Pozwól, że znam Stanisława doskonale, lepiej niż go ty znasz.

MARYA.

Możem nie była dosyć cierpliwą? Może?..

JULIA.

Przedziwnie. Ale proszę cię, na ten moment bądź cierpliwą, i słuchaj. Ci mężczyźni, o tyle

nas cenią sami, o ile widzą, że nas inni cenią, przyznasz, że to zasada, nie podlegająca kwestyi.

MARYA (*z westchnieniem*).

Być może.

JULIA.

A widzisz. I każdy z nich, niechaj tylko zobaczy, że inni za tobą szaleją, i sam wnet oszaleje, więc trzeba kokietować.

MARYA.

Zobaczmy tę teoryę do końca.

JULIA.

Toż samo i Stanisław, a gdybyś do tego potrafiła naprzykład zazdrość w nim obudzić, to ci się szansa poprawi, tak jak dwa do jednego.

MARYA.

Dalej, dalej.

JULIA.

Przecież że mnie rozumiesz. Więc gdyby cię na przykład zobaczył na maskaradzie, na przykład z Sobkowiczem, albo jeszcze lepiej z Leonkiem... Moja droga, miłość, jest to gra.

MARYA (*spokojnie*).

Nie Julio, miłość jest to uczucie, uczucie święte, z którem się igrać nie godzi. Ja kocham Stanisława miłością świętą, i ufam Bogu, że on mi jego miłość wróci. Bo czasem myślę... wiesz co myślę, Julio?

JULIA.

Coś bardzo rozumnego, bez wątpienia, zape-

wne, że postami co wtorku, miłość Stanisława odzyskasz.

MARYA.

Myślę... że między mną, a Stanisławem... jest ktoś...

JULIA.

Ha, ha, ha!

MARYA.

Ta myśl, jak zmora nocna, na piersiach mi siada, za gardło dusi, że aż tchu nie staje.

JULIA.

A więc i ty znasz zazdrość?

MARYA.

Zazdrość, ale jaką zazdrość. Tak silną, jak miłość moja. (*Pauza.*) Tę zazdrość wyrzucam sobie przed Bogiem, jako grzech straszny, ale jej wydrzeć z piersi nie mogę.

JULIA (*na stronie*).

Więc ona, prawdziwie czuje, prawdziwie nieszczęśliwa, może...

MARYA.

Czegoś zadrżała Julio? ty pewnie wiesz... ona jest piękna... piękniejsza odemnie, ale go nie tak kocha, jak ja.

JULIA (*łagodnie*).

Ty się daremnie dręczysz, Maryo!

MARYA.

Prawda, bo kiedy spojrzę w około siebie, na te, z któremi on żyje, gdzież? gdzież ta piękna?

JULIA (*żywo*).

Nie widzisz pięknej?

MARYA.

Ale, bo sama powiedz, moja droga, któraż?

JULIA.

Nie widzisz ani jednej pięknej?

MARYA.

Ta smagła, ta znowu żółta, tamta szkielet prawdziwy.

JULIA (*na stronie*).

Tu me lo pagera.[1])

MARYA.

Więc może i masz racyą Julio, może to tak mi się wydaje tylko.

(*Wchodzą* PUŁKOWNIK, LEON, STANISŁAW.)

Scena II.

LEON — SOBKOWICZ — PUŁKOWNIK — MARYA JULIA — STANISŁAW.

LEON.

Słowo daję, że nasz nieoszacowany Sobkowicz zwaryował, chce nam dziś dać na maskaradzie kolacyjkę na kilkanaście osób, a różnych rzeczy sprowadził, jakby na regiment cały. Dziwny człowiek, bo słowo daję, że go widziałem, jak się z ekonomem o sto złotych zasług przez godzinę

---

[1]) W graniu „zapłacisz mi za to.“

ujadał. (*Wchodzi Sobkowicz.*) Mój kochany Sobkowiczu, czyś ty oszalał, słowo daję, samych terrynek Strasburgskich kilkanaście.

SOBKOWICZ.

Ha, ha, u mnie na wielką skalę, przed każdym pasztet, tak jak chleb.

PUŁKOWNIK.

Ale każdy nie będzie musiał zjeść cały swój pasztet?

SOBKOWICZ.

Ha, ha, a może i pan Pułkownik mnie zaszczyci? zobaczy p. Pułkownik wszystkie nasze lwy.

PUŁKOWNIK.

Całą menażeryę.

SOBKOWICZ.

Lwy i lwice, ha, ha, ale damy się nie proszą... każda z swym kawalerem... i w maskach po wenecku ha, ha. Przy drzwiach saloniku dwóch kamerdynerów, którzy nie wiedzą kogo wpuszczają.

MARYA.

To wszystkie maski z maskarady wejdą.

SOBKOWICZ.

A od czegóż to, ha, ha, (*pokazuje głowę*) wymyśliłem parol, kto wie parol ten wejdzie.

MARYA.

Widzę, że to będzie prześliczna feta.

SOBKOWICZ (*cicho do Leona*).

Zobaczysz że pójdzie, uważasz jak się wypytuje?

LEON (*cicho do Sobkowicza*).

Ale gdzie tam, i z kim? chyba z tobą.

SOBKOWICZ (*cicho do Leona*).

Oczywiście, wszak moja feta.

LEON (*cicho do Sobkowicza*).

Ha, ha, ha.

SOBKOWICZ (*cicho do Leona*).

Ale spytajmy się Julii, (*cicho do Julii*) wszak ze mną pójdzie?

JULIA (*cicho do Sobkowicza*).

Z Leonem.

SOBKOWICZ (*mrucząc*).

To bestya ten Leonek, moje obiady zjada, moim ekwipażem jeździ, moje metresy bałamuci, i jeszcze jak do bonfortiunek, to mi zawsze z przednosa podchwyci.

LEON (*cicho do Sobkowicza*).

Za to cię proteguję, mój kochany Sobkowiczu.

SOBKOWICZ (*na stronie*).

To jeszcze dobrze, że mu nie daję do kieszeni zaglądać, a zaglądałby panek, ha, ha, (*cicho do Leona*). No, mniejsza oto, tylko sobie zamawiam, zaraz po tobie. (*Głośno.*) Szampańskie président, po cztery ruble butelka.

LEON.

Już to pozwolisz mój kochany Sobkowiczu, że się w tem na ciebie nie spuszczę, terryna to

co innego, to pieczęć, ale wszystko reszta przejdzie przez moją kontrolę.

SOBKOWICZ.

Zobaczy pan Pułkownik, co umie mój Markollini, to artysta. No prawda, że mu płacę tysiąc złotych na miesiąc ha, ha, to co radzca stanu.

MARYA.

A to uczta Baltazarowska.

SOBKOWICZ.

Ale moja Księżno, gdzież Baltazarowi do mego Markolliniego. (*Moment milczenia.*)

LEON.

Słowo daję, nieoszacowany Sobkowicz.

STANISŁAW (*cicho do Pułkownika*).

A co?

PUŁKOWNIK (*cicho do Stanisława*).

Nie lubię zabawy z plastronem.

STANISŁAW (*cicho do Pułkownika*).

Dobrze, ale taki, na wielką skalę. (*Te ostatnie wyrazy naśladuje z Sobkowicza.*)

MARYA (*do Julii*).

I czegożeś tak zamyślona, medytujesz nad Méne Tekel Fàre?

JULIA (*żywo*).

Ja zamyślona? myślisz żem niespokojna? Czegóżbym być miała niespokojną?

MARYA.

Niespokojną? nie, owszem i we mnieś trochę spokojności wlała.

STANISŁAW (*do Pułkownika półgłosem*).

Czy uważasz dziś Maryę? jakby opromieniona.

JULIA (*na stronie*).

Powiedział opromieniona, tak, uwieńczona... jak baran na ofiarę.

MARYA.

Ale chodźmy do mego saloniku, tu zimno bez kominka.

(*Wszyscy prócz* JULII *odchodzą*.)

Scena III.

JULIA — IZABELKA.

JULIA (*sama, miota się na wszystkie strony*).

Kości rzucone, i już nie czas rozbierać... czy wypada... czy się tak godzi... co to godzi, los taki. (*Dzwoni, wchodzi Izabelka.*) Moja Izabelko, mam ci poruczyć rzecz ważną.

IZABELKA.

Prawdziwie, że pani hrabina może wierzyć...

JULIA.

Więc pilnie słuchaj, o jedenastej wyjdziesz zamaskowana bocznemi schodami; na ulicy spotkasz Leona, który ci poda rękę.

IZABELKA.

Pan Leon, prawdziwie, że pani hrabina nie mogła lepiej ułożyć.

JULIA.

I tak cię zawiezie na maskaradę, a ztamtąd obok na kolacyą do Sobkowicza.

IZABELKA.

Dotąd to nic trudnego.

JULIA.

Ale trzeba, żeby cię wszyscy, i Leon najpierwszy, wzięli za Księżnę. Dość długo przy niej jesteś, znasz jej ruchy, jej akcent... potrafisz.

IZABELKA.

A może i potrafię być księżną, ale proszę pani hrabiny... jak się odkryje?

JULIA.

Wychodzisz o godzinie, w której was tylko dwie w apartamencie, księżna i ty, więc któż wiedzieć może, która z was wyszła, a dalej, to już rzecz twoja.

IZABELKA.

Prawdziwie, że i z panem Leonem będzie ambaras, żeby go utrzymać w respekcie.

JULIA.

Niema potrzeby tak bardzo trzymać.

IZABELKA.

Ale na cóż to pani hrabinie?

JULIA.

Z tobą udawać nie będę. Trzeba mi oddalić na zawsze Stanisława od Księżny.

IZABELKA.

A książę zanadto zna świat, i w żadnym razie hałasu nie narobi, więc pojadę.

JULIA.

Wiedziałam, że to od razu pojmiesz.

IZABELKA.

Prawdziwie... pani hrabina zbyt łaskawa, a zkąd domino?

JULIA.

Weźmiesz to prześliczne domino pomarańczowe, co go księżna miała, kiedy była z księciem na maskaradzie.

IZABELKA.

Jak to, proszę pani hrabiny? żebym ja nosiła rzeczy mojej pani?

JULIA.

Koniecznie. Bo to domino zna cała Warszawa, i w niem tylko możesz ujść za księżnę.

IZABELKA.

Prawdziwie, proszę pani hrabiny, ja mam zasady, ja nie mogę wziąść na siebie suknie mojej pani, a domino to suknia.

JULIA.

Ale moja Izabelko, domino to zupełnie co innego jak suknia, a potem, zapomniałam ci powiedzieć, że Szachrajewicz chce się starać o ciebie, winszuję ci, będziesz dóbr księcia kontrolerową jeneralną.

IZABELKA.

Prawdziwie, że pani hrabina zawstydza mnie swoją łaską, ale niech i pani hrabina będzie przekonana, że jako kontrolerowa jeneralna potrafię utrzymać ton, i z panami oficyalistami, i z panami dzierzawcami dóbr książęcych.

JULIA (*odchodząc*).

Ale, we drzwiach u Sobkowicza was zatrzymają, więc powiesz „la fosse aux lions“ to przepuszczą.

IZABELKA (*odchodząc*).

Słucham pani hrabiny.

(*Zmiana sceny.*)

Scena IV.

(*Wchodzi* PAWEŁEK *i zaczyna gasić świece, za nim* KOCHANOWSKI.)

KOCHANOWSKI.

I czegoż świece gasisz? mazgaju.

PAWEŁEK.

Bo już jedynasta proszę pana.

KOCHANOWSKI.

I cóż, że jedynasta?

PAWEŁEK.

A o jedynastej proszę pana, to juz zwykle księzna pani u siebie, a książę pan juz wyjechał na wiecór.

KOCHANOWSKI.

Niesłuszna uwaga Pawełku, tak zwykle by-

wa, ale tak dziś nie jest, księżna pani jeszcze nie poszła do siebie, książe pan jeszcze nie pojechał na wieczór, a do tego i pan Pułkownik jeszcze u księcia, więc zapal nazad świece i lampy popoprawiaj.

PAWEŁEK *(poprawiając lampy)*.

Prosę pana, jak się tez panu wydaje pan Pułkownik?

KOCHANOWSKI.

A cóż Pawełku, pan, nie ma co mówić, chociaż się nam wcale mizernie sprezentował.

PAWEŁEK.

Ale to ja nie o to, prosę pana. Jak się panu wydaje — cy pan pułkownik nie zdradzi?

KOCHANOWSKI.

Kogo zdradzi, Pawełku?

PAWEŁEK.

Mnie.

KOCHANOWSKI.

Pawełku, coś ci dziś jest.

PAWEŁEK.

Bo ja, prosę pana, mam mu taką zec powiedzieć...

KOCHANOWSKI.

Pawełku, zwaryowałeś!

PAWEŁEK.

Taką zec, ze pani hrabina psestanie u nas być panią.

KOCHANOWSKI (*żywo*).

Pawełku, do czubków pójdziesz, to mniejsza

Pawełku, ale skompromitujesz mnie, co cię słyszę. Pawełku, już jestem skompromitowany, żem to słyszał. Ale otóż i książę z panem Pułkownikiem, opamiętaj się na miłość Boską, Pawełku, i pamiętaj, żem ja nic nie słyszał, żeś ty nawet nic nie mówił, Pawełku.

(*Odchodzą oba — wchodzi* PUŁKOWNIK *i* STANISŁAW.)

Scena V.

PUŁKOWNIK i STANISŁAW.

STANISŁAW.

Mój drogi, przed tobą się nie taję, boś ty z naszego świata, i rozumiesz...

PUŁKOWNIK.

Bardzo dobrze rozumiem.

STANISŁAW.

Przyznasz, że i ja mógłbym tak jak drudzy, użyć, a potem porzucić, i że jest trochę bohaterstwa...

PUŁKOWNIK.

Pozwól, że tę rzecz wcale inaczej widzę. Znam Julię zdawien dawna, jeszcze kiedy Władysław...

STANSIŁAW.

To potwarz.

PUŁKOWNIK.

Niechaj będzie i potwarz, tyś pierwszy, otóż,

że znam Julię, więc wiem jak cię pilnuje, i że rad nie rad, musisz być bohaterem.

STANISŁAW.

Ba...

PUŁKOWNIK (*po małej pauzie*).

Powiedz mi jednak Stanisławie, czy też patrzysz kiedy, za siebie i przed siebie?

STANISŁAW.

Chcesz mówić o Selbstbewustsein.

PUŁKOWNIK.

Chcę mówić, że się to z Julią naturalnie zaczęło od tego, że ci się podobało jej cygańskie oko i arabska noga.

STANISŁAW.

Być może.

PUŁKOWNIK.

Ale toby było nie trwało i miesiąca, gdyby nie to... że...

STANISŁAW.

Gdyby nie co?

PUŁKOWNIK.

Że Julia, czy to przez kaprys, czy przez wyrachowanie, zaczęła maltretować Bolesława, tego tulipana kwitnącej, o włos com nie powiedział próżnującej młodzieży.

STANISŁAW.

Przyznasz, że i to nie mogło nie pogłaskać mnie trochę, widzieć wszystkie lwy ryczące przed kratą, która się dla mnie jednego otwiera.

PUŁKOWNIK.

To też próżnością dotąd stoi rzecz cała, i już kiedyś się żenił, byłeś znudzony Julią, bo Julia nic niema w sobie, czemby na twoje szlachetne serce działać mogła, chyba tylko na zmysły, a to nie trwa.

STANISŁAW.

Proszę cię, nic na Julią.

PUŁKOWNIK.

Byłeś znudzony, a ja głupiec myślałem, że się to już przerwało, i zezwoliłem na to nieszczęśliwe małżeństwo.

STANISŁAW.

I sama Julia zezwoliła.

PUŁKOWNIK.

Więc, albo czuła że cię zatrzymać nie może, albo może chciała sobie pozwolić Neronowskiej igraszki, że piękniejszą od siebie dręczyć będzie.

STANISŁAW.

I znowu ją potępiasz?

PUŁKOWNIK.

To nie ja, to najprostsza logika.

STANISŁAW.

Julia zrobiła ofiarę bohaterską, nadludzką, a teraz ma prawo żądać odemnie ofiary, może także nadludzkiej, bo sam przyznasz, że Marya... cóż ci mam mówić. Ale i ja potrafię tę nadludzką ofiarę spełnić.

PUŁKOWNIK.

Otóż ich masz, i bohatery, co najprostszego

obowiązku uszczęśliwienia żony spełnić nie umieją. Ale pozwól, że pomówimy o Maryi, którąm ci oddał w zupełnem zaufaniu, bo znam serce twoje, szlachetność twoją, a nawet i trochę charakteru widzieć mi się w tobie zdawało.

STANISŁAW.

Dziękuję i za to trochę.

PUŁKOWNIK.

Cóż z niej będzie?

STANISŁAW.

Czy myślisz, że mnie to nie boli, ale cóż ja na to powiedzieć mogę? Zresztą, bądź spokojny, to statua.

PUŁKOWNIK.

Otóż ich masz, z jednej strony bohatery, z drugiej statua, a ja ci powiadam, że bohatery to bezecni egoiści, a statua z bolu schnie, umiera. Czy widzisz co się stało z Maryą?

STANISŁAW.

To zwykłe zdrowie kobiet.

PUŁKOWNIK.

A jeśli (co da Pan Bóg) nie umrze, to wiesz gdzie pójdzie? bo stoi na rozdrożu, i dla tego ci o tem mówię.

STANISŁAW (*żywo*).

Gdzie?

PUŁKOWNIK.

Tam, kędy ją prowadzisz... tam gdzie Julia i inne.

STANISŁAW (*żywo*).

Nigdy!

PUŁKOWNIK.

Więc niechaj lepiej umiera, tak?

STANISŁAW.

Cóż ci powiem, dałbym życie, by jej życie osłodzić, ale to nie w mej mocy, to już los taki, *αναγκη*. [1])

PUŁKOWNIK.

A niechże was wszyscy diabli wezmą, z waszemi poprzewracanemi głowami, waryaty nie do uleczenia! Słuchaj Stanisławie, już tylko jedną mam nadzieję, że ci Pan Bóg w litości swojej ześle Tobiasza młodego, który ci cudownym sposobem wzrok otworzy, i przejrzysz.

(*Wchodzi* MARYA.)

Scena VI.

MARYA — STANISŁAW — PUŁKOWNIK.

MARYA.

I czemuście przerwali dyskusyę, sądząc po ożywieniu, obu ciekawą być musiała? Stanisławie, czy uważasz różnicę mówienia stryja? od tego co tu zwykle słyszemy, u niego słowa płyną, tak jak myśl.

STANISŁAW.

A u nas, jak płynąć mają, kiedy myśli nie ma.

---

[1]) Pozwoliłem sobie wtrącić wyraz grecki, jako znany słuchaczowi z „Notre Dame“ Wiktora Hugo.

MARYA.

Przepraszam, i między wami są, co myśli mają, ty na przykład, aleście się nauczyli wyrażać po angielsku formułkami, a u nas myśl inaczej buja, i nie da się tak pochwycić.

STANISŁAW.

Wracam do swego, kiedy myśli nie ma, cóż może być wygodniejszego, jak formułka?

PUŁKOWNIK.

Ja właśnie u was tej angielszczyzny nie widzę, widzę głupców, bujnie rozwijających swoją indywidualność, i to się nazywa ekscentrycznością.

MARYA.

Zaprzeczam, zaprzeczam. U nas ekscentryczność jest to proste naśladownictwo, ślepe naśladownictwo. (*Stanisław patrzy na zegarek i bierze kapelusz.*)

PUŁKOWNIK (*cicho do Stanisława*).

Wychodzisz na maskaradę?

STANISŁAW (*cicho do Pułkownika*).

Wierzaj mi, żebym wolał z wami zostać, ale muszę.

PUŁKOWNIK (*cicho do Stanisława*).

Co za mus?

STANISŁAW (*cicho do Pułkownika*).

Dałem jej słowo.

PUŁKOWNIK (*cicho do Stanisława*).

Więc idź, a drugi raz nie dawaj słowa, a raczej nie dawaj sobie przemocą brać słowa. (*Stanisław pożegnawszy się, wychodzi.*) (*Moment milcze-*

nia.) Co to w bawełnę obwijać. Maryo, ty jesteś nieszczęśliwa.

MARYA (*zmieszana*).

Mylisz się.

PUŁKOWNIK.

I ślepy dojrzy.

MARYA (*ciszéj*).

A jeślim nieszczęśliwa, któż temu winien? ja sama. Wszak ty wiesz, że on nie kocha żadnej innej kobiety... prawda... powiedz...

PUŁKOWNIK.

Nic nie wiem.

MARYA.

Widzisz, więc nie on winien, ale ja.

PUŁKOWNIK.

Dopóki w tej sferze próżniactwa i próżności będzie... staraj się go ztąd wyrwać, jedźcie na wieś.

MARYA.

Na lato wyjechać mamy, i Julia z nami i ci panowie.

PUŁKOWNIK (*na stronie*).

Otóż ich masz, w głowę zachodzę, a mówić nie mam prawa, zresztą na coby się to przydało. (*Wchodzi nieśmiało Pawełek.*) (*Do Pawełka.*) Czego chcesz? czy kto dzwonił?

PAWEŁEK.

To ja, prosę pana Pułkownika, i mam pomówić z panem Pułkownikiem.

PUŁKOWNIK.

I tego się skradasz? No, mów gapiu, co masz mówić?

PAWEŁEK.

Kiedy prosę pana Pułkownika (*pokazuje na księżnę*).

PUŁKOWNIK.

Głupiś, więc do mnie później przyjdziesz.

PAWEŁEK.

Kiedy to prosę pana Pułkownika taka zec, ze nagle, i nawet ze się tycy ksiązny pani.

PUŁKOWNIK.

Więc się nie skradaj, i mów.

PAWEŁEK.

To ja prosę pana Pułkownika, dziś byłem psypadkiem koło dzwi, jak pani hrabina zadzwoniła na pannę Izabelkę, prosę pana.

PUŁKOWNIK.

I cóż z tego?

PAWEŁEK.

I słysałem prosę pana Pułkownika, jak jej pani hrabina kazała wziąść, prosę pana Pułkownika, domino ksiązny pani, i pójść na maskaradę.

MARYA.

Co to jest? jakaś plotka, z garderoby. Idź ztąd.

PUŁKOWNIK.

Pozwól Maryo, bo mię coś tknęło, tak jak

wtedy, kiedym przez górę przeczuł... ale ty znasz tę historyę, (*do Pawłeka*) mów.

PAWEŁEK.

Otóz to ja prosę pana i dla tego psysedłem do pana Pułkownika, ze wiedziałem, że księzna pani powie, pójdź prec, a to prosę pana Pułkownika zec wazna, bo pani hrabina kazała pannie Izabelce udawać księznę panią.

PUŁKOWNIK.

Co?

PAWEŁEK.

I tylko co prosę pana, ze panna Izabelka zesła na ulicę, a cekał na nią pan Leon, ale prosę pana Pułkownika, pan Leon myśli ze to prawdziwa księzna pani.

PUŁKOWNIK.

Maryo, to jest rzecz ważna; (*do Pawełka*) i nie wiesz na co to wszystko?

PAWEŁEK.

Ja prosę pana Pułkownika, słysałem wsystko, choć dzwi były zamknięte, bom psyłozył ucho do dziurki, psypadkiem prosę pana Pułkownika. Otóż pani hrabina mówiła pannie Izabelce, że jej tak potsebno, zeby księcia pana na zawse oddalić od księzny pani. Otóz ja prosę pana Pułkownika nastrasyłem się, i dla tego psysedłem do pana Pułkownika.

PUŁKOWNIK.

Dobrze, idź i zaczekaj (*Pawełek odchodzi*), (*na

stronie) kto wie, może to będzie ów Tobjasz młody któregom mu w dobrej godzinie przepowiedział.

MARYA (*przestraszona*).

Cóż to jest?

PUŁKOWNIK.

Jakto? i nie rozumiesz, idzie o pokazanie cię światu i Stanisławowi, u ręki pana Leona.

MARYA.

Ależ to okropne... i któż może...

PUŁKOWNIK.

I jeszcze nie rozumiesz. Julia, od dawna kochanka Stanisława.

MARYA.

O...

PUŁKOWNIK.

Ale kiedy ci to mówię, muszę mieć ważną pobudkę do mówienia. Maryo, czy czujesz się silną?

MARYA.

Nogi drżą podemną, ale się czuję silną.

PUŁKOWNIK.

Bo tu trzeba krwi zimnej, i to zaraz, bo choćbyśmy i przekonali Stanisława jutro, jutro będzie esklandra.

MARYA.

Stanisława przekonać chcę, reszta mi obojętna.

PUŁKOWNIK.

Jutro będzie na całą Warszawę esklandra, której ty będziesz bohaterką.

MARYA.

O... za nic.

PUŁKOWNIK.

Więc mnie słuchaj, natychmiast ze mną pojedziesz na maskaradę.

MARYA

Ja?

PUŁKOWNIK.

Koniecznie. Na kolacyą tego dudka pójdziemy.

MARYA.

O...

PUŁKOWNIK.

Koniecznie, tylko... wszakem proszony, ale jak tu wejść, dobrze, Pawełek! (*wchodzi Pawełek.*) Nie mówiła pani hrabina Izabelce, jaki wyraz wymówić przy wejściu?

PAWEŁEK.

Mówiła prosę pana Pułkownika, fasola.

PUŁKOWNIK.

Jakto? fasola.

PAWEŁEK.

A tak, prosę pana Pułkownika, tylko ze ino pocątku takze la, la fasola.

PUŁKOWNIK.

To pewnie, la fosse aux lions.

PAWEŁEK.

Tak, tak, la fasola.

PUŁKOWNIK.

W tem jednem słowie cały Sobkowicz (*do Pawełka*) idź. (*Pawełek odchodzi.*) Bierzmy popielate domina i jedźmy, nie ma i minuty do stracenia.

Kurtyna zapada.

AKT III.

Salonik, z boku stół nakryty.

Scena I.

(*Sobkowicz w domino, maska w ręku, dwóch kamerdynerów z serwetami.*)

SOBKOWICZ.

I na mnie uważać. Jak zawołam szampańskiego, i podniosę tak rękę, to dawać tego co na cztery ruble, a jak zawołam szampańskiego i ręki nie podniosę, to dawać tego co na dwa ruble.

KAMERDYNERZY.

Będziemy pamiętać, jaśnie panie.

SOBKOWICZ.

A jak... ale pst, już jakieś maski wchodzą.
(*Odchodzi z kamerdynerami na bok. — Wchodzą* LEON *i* IZABELKA *zamaskowani, w dominach pomarańczowych.*)

Scena II.

SOBKOWICZ — LEON — IZABELKA.

LEON (*zdejmując maskę*).

IZABELKA (*piszcząc*).

Panie Leonie, jeżeliś grzeczny, to mnie nie znasz.

LEON.

Więc cię nie znam maseczko, (*bierze ją za rękę pieszcząc*) choć słowo daję, że i tę samą rączkę bym poznał, bo takiej drugiej w Warszawie nie ma. (*Na stronie.*) Słowo daję, przedziwna moja mała, tak mnie ściska za rękę. (*Głośno.*) Nie bój się moja droga, możesz na mojej dyskrecyi polegać.

(*Izabelka, która aż do końca mówić będzie piszcząc, siada w krześle, Leon zbliża się do Sobkowicza.*)

SOBKOWICZ.

A, to ty Leonku, a to kto?

LEON.

Moja mała, a nie mówiłem ci, że ze mną pójdzie, ale słowo daję, musiałem aż do pałacu chodzić, i na ulicy czekać, w ogromnym płaszczu, po hiszpańsku.

SOBKOWICZ.

A Stanisław?

LEON.

Jeszcze go nie ma, z Julią będzie, ha, ha, ha, Stanisław, to będzie zabawne.

SOBKOWICZ.

Ha, ha. Ale jak myślisz?

LEON.

Uda, że nie poznaje, a może i w samej rzeczy nie pozna. Bo to słowo daję, mąż, to tak jak mazur z pod ciemnej gwiazdy.

SOBKOWICZ.

To bestya ten Leonek, szczęśliwy.

LEON.

Wystaw sobie mój kochany Sobkowiczu, że moja mała, co to w salonie zda się niewiniątko jakieś, tu istny diabełek, słowo daję, wszystkich zaczepia, wszystkich intryguje, a to właśnie domino wszyscy znają.

SOBKOWICZ.

To bestya ten Leonek.

LEON.

Wystaw sobie, że Antoś tak się wściekł, że się nie zbliżył do mnie, słowo daję, a tylkośmy się skottowali.

SOBKOWICZ.

Ależ ona?

LEON.

Mówię ci, że delicyjka, słowo daję, tak mnie ściska za ręce, jak najdelicyjniejsza subretka.

SOBKOWICZ.

To bestya ten Leonek, ale pamiętaj, zaraz po tobie.

LEON.

Długo czekać będziesz mój kochany Sobkowiczu, bo słowo daję, nie prędko mnie znudzi.

IZABELKA.

Co to za długa konferencya. (*Do Sobkowicza.*) Jak się masz mój kochany Sobkowiczu, a co? kolacya będzie na wielką skalę.

SOBKOWICZ.

Na wielką skalę, królowo! (*Cicho do Leona.*) Alężem się fatalnie zdradził. Patrzno, otóż i Julia w różowem domino — i Stanisław.

(*Leon się maskuje, wchodzą dwa domina różowe pod ręce się trzymające.*)

Scena III.

STANISŁAW — LEON — JULIA — IZABELKA — SOBKOWICZ.

STANISŁAW (*na stronie*).

O jakże mnie to fatalnie nudzi, te głupie piski, te głupie zaczepiania, te głupie koncepta, i jak mi żal spokojnego wieczoru w domu.

LEON (*zbliżając się do Stanisława piszcząc*).

Znam cię maseczko.

STANISŁAW (*obojętnie*).

Bardzo mnie to cieszy, że mnie znasz (*Odwraca się, Leon się odsuwa.*)

JULIA (*do Stanisława*).

Wiesz, kto to cię zaczepiał?

STANISŁAW.

Nie ciekawym.

JULIA.

Zda mi się, że to Leonek, ale patrzajno na tę maskę co przy nim. Coś znam to domino.

STANISŁAW (*na stronie, żywo*).

Co to jest? to domino Maryi, zobaczę co to jest, czy to on, czy to ona. (*Zbliża się do Leona, piszcząc*). Znam cię maseczko.

LEON (*obojętnie i swoim głosem*).

Bardzo mnie to cieszy, że mnie znasz. (*Odwraca się.*)

STANISŁAW (*piszcząc*).

Aleś dopiero powiedział, że mnie znasz.

LEON.

Wiem, że jesteś królewicz Sahary.

STANISŁAW (*na stronie*).

To on. (*Do Leona piszcząc.*) A kto to ta maseczka co z tobą?

LEON.

Królowa Golkondy. (*Odwraca się.*)

STANISŁAW (*na stronie*).

To niezawodnie on, ale kto ona? kto ona? (*Do Julii.*) Julio, kto ona?

JULIA (*spokojnie*).

Domino Maryi, nawet ręka Maryi, zapewne Marya.

STANISŁAW (*żywo*).

To być nie może.

JULIA.

Jeśli chcesz, to się natychmiast przekonam. (*Puszcza rękę Stanisława i mówi z Izabelką.*)

STANISŁAW.

Na węglach rozpalonych stoję — ale to być nie może — to nie ona. — (*Do Julii, wracającej*) I cóż?

JULIA (*wracając do ręki Stanisława*).

A cóż, dobrze mówi nasz Szekspir o kobiecie, fragility her name. — To Marya — od razu mnie poznała — i mówiłyśmy z sobą.

STANISŁAW.

Jak to? mówiła do ciebie głosem swoim?

JULIA.

Tak jak ja z tobą mówię.

STANISŁAW (*żywo*).

To być nie może.

JULIA.

Słowo ci daję, ale nie wie, że tu jesteś — więc spodziewam się, że masz taktu dosyć, żeby udać, że i ty o niej nie wiesz — i sam się nie demaskuj, proszę, bo jej wieczór popsujesz. (*Po pauzie.*) Ale poczekaj na mnie, zaraz wrócę. (*Odchodząc, na stronie.*) Czuję po drganiu ręki, że się wulkan już burzy, niech się bezemnie wybucha. (*Idzie na bok do Sobkowicza*).

STANISŁAW (*tragicznie*).

Ha... popsuję jej wieczór. (*Zbliża się do Izabelki.*) Maryo!

IZABELKA.

Jestem Zelmira, a nie Marya.

STANISŁAW.

Ja, twój mąż...

IZABELKA.

Jestem panną, więc nie mam męża.

STANISŁAW.

Gardzę tobą...

IZABELKA.

I jestem nie do wzgardzenia wcale, bom królowa Golkondy.

STANISŁAW.

Żeś tu przyszła z tym...

IZABELKA.

Z moim narzeczonym, królewiczem Seringapatam. (*Przywołując Leona.*) Chodź tu królewiczu, wszak prawda, żeś mój narzeczony?

LEON (*zbliżając się*).

Przynajmniej na czas jakiś, śliczna maseczko. (*Całując ją w rękę, pieszcząc.*)

STANISŁAW (*szybko odchodzi*).

Bezczelna! — Piekło mam w sercu — jutro mnie palcem pokazywać będą, ale i oto już mniejsza. — Piekło mam w sercu, bo ją kocham — o, po boleści czuję, że ją kocham... (*Wchodzą dwa domina popielate, pod rękę się trzymające.*)

LEON (*do Izabelki*).

Ale patrzajno duszko, co to za popielate domina — kto to być może? uważajmy do kogo się zbliżą.

STANISŁAW.

W łeb sobie strzelę. — Nie — pierwej tego dudka zabiję — ale ona? — za tyle...

PUŁKOWNIK (*w popielatym domino*).

Śmiało Maryo, czego drżysz jak listek — zbierz co możesz zimnej krwi.

MARYA (*w popielatym domino*).

Gdzie on?

PUŁKOWNIK.

Jak to? nie poznałaś Julii, co mówiła z Sobkowiczem, w domino różowem? — więc to drugie domino różowe, co w tamtą stronę patrzy, to on.

STANISŁAW.

To prawda — za tyle... czego? — Czemże jej odpłaciłem jej miłość, jej słodycz, jej cierpliwość, to prawda — ale powinna była przeczuć, że ją kocham. (*Trochę głośniej*) milion djabłów...

PUŁKOWNIK (*czepia się prawej ręki Stanisława*).

(*Piszcząc.*) Jestem. (*Odtąd wszystko mówi piszcząc.*)

STANISŁAW.

Czego chcesz?

PUŁKOWNIK.

Wszak mnie wołałeś.

STANISŁAW.

Ja?

PUŁKOWNIK.

Wołałeś milion djabłów, a ja właśnie mam honor, być z nich jednym — nazywają mnie Mefistofelis.

STANISŁAW.

Daj mi pokój.

PUŁKOWNIK.

Tego jednego ci dać nie mogę, boś zbyt zajęty żoną, która tam oto siedzi, i jej kochankiem co za nią stoi.

STANISŁAW.

Głupie komeraże zbierasz.

PUŁKOWNIK.

Dziś ja to wiem, bom djabeł, a jutro całe miasto wiedzieć będzie.

STANISŁAW.

Jeśliby tak było, rzeczby mnie bolała, a nie gadanie.

PUŁKOWNIK.

Chybaś nie lew — ale, jam dobry djabeł, i na przypadek jakby tak było, dam ci radę.

STANISŁAW.

Słucham. (*Na stronie.*) Czuję, że głowę tracę.

PUŁKOWNIK.

Jeźliś lew prawdziwy, to dasz brawo żonie, i dalej żyć będziesz jak żyłeś, ty sobie, ona sobie.

STANISŁAW (*półgłosem*).

Nie mogę — zbyt mnie rwie serce i zazdrość — i miłość.

PUŁKOWNIK.

Nie czujesz się dość nikczemnym? więc inna rada — oto widzisz zapewne teraz, że z twojej winy wszystko poszło — a więc napraw coś popsuł, żonę przeproś, i zacznij życie inne. — Nie? nie czujesz się dość czystym.

(*Leon całuje Izabelkę w rękę pieszcząc.*)

STANISŁAW (*wskazując Izabelkę*).

Widzisz?... Jeszcześ djable zapomniał jednej rady — jutro tego dudka wyzwę i zabiję, — a potem sobie w łeb palnę. — O... bo ją kocham, kocham... Maryo...

MARYA (*rzuca rękę Pułkownika, i chwyta rękę Stanisława*).

Jestem.

STANISŁAW (*do Maryi*).

Czego chcesz?

MARYA.

Wszakżeś mnie wołał.

STANISŁAW.

Ja?

MARYA.

Wołałeś Maryo — a jam Marya — twoja żona.

STANISŁAW.

Czy od zmysłów odchodzę — czyli też na mnie piekło wyzionęło swe larwy — bo to jej głos... jej dźwięczny głos.

MARYA.

Czy mnie nie poznajesz Stanisławie?

STANISŁAW.

Na to... by mi pokazać... jakie mogło być szczęście moje...

MARYA.

Ależ Stanisławie, opamiętaj się.

STANISŁAW.

Gdybym nie był...

PUŁKOWNIK (*odtąd głosem naturalnym*).

Dudkiem — bo mnie już niecierpliwisz. — Nigdy nie jesteś w prawdzie, tacyście wszyscy, i tegoście się od Niemców nauczyli. — I terażeś na przykład, do piekieł wstąpił, a to właśnie nie pora hamletować — spłatali ci infamisowską sztukę...

STANISŁAW.

To stryj... więc to Marya... któż tamta?

MARYA.

To Izabelka... i jakżeś mógł przypuścić?...

STANISŁAW.

Przebacz mi Maryo, ja cię kocham.

MARAY.

Nie tyle, co ja ciebie, Stanisławie.

PUŁKOWNIK.

Otóż ich i masz — teraz to ja znowu zwaryuję. — Mówię ci, że tu się ratować trzeba... od potwarzy a nawet od esklandry, którejby ona była bohaterką...

MARYA.

Kiedym na tej ręce oparta — co mi świat szkodzi?

PUŁKOWNIK.

To są romanse — a tymczasem imię kobiety, nie powinno być w ustach świata, ani na złe, ani nawet na dobre. (*Do Stanisława.*) Czy rozumiesz, co się tu święci?

STANISŁAW.

Zda mi się, że rozumiem — bo jakżeby inaczej Julia zapewniać mnie mogła słowem że to ona?

PUŁKOWNIK.

Gdyby jej nie była wysłała sama — mamy na to niezaprzeczone dowody.

STANISŁAW.

I stofuntowy kamień spada mi z piersi — bo ta infamia, zrywa ciężki związek — i wolny jestem — i kochać mogę tę, którą kocham — Maryo, moja Maryo.

MARYA.

Stanisławie — mój Stanisławie.

PUŁKOWNIK.

Otóż ich masz — i znowu — na miłość Pana Boga...

STANISŁAW.

Nie bój się — już teraz jestem zupełnie przytomny, zobaczycie.

(*Temczasem kilkanaście dominów czarnych zebrało się za Izabelką na drugim planie. — Stanisław oddaje rękę Maryi, Pułkownikowi, a bierze rękę nadchodzącej Julii*).

JULIA.

No i cóż? jużeś się wyburzył, wygniewał?

STANISŁAW.

Wzgardziłem — i jestem tak spokojny, jak od dawna nie byłem — i przebaczyłem.

JULIA.

Jak lew?

STANISŁAW.

Nie Julio — lew nie przebacza zdrady, — a nawet nie mam zasługi chrześciańskiego przebaczenia — przebaczyłem, bo mi zupełnie obojętną ta, której przebaczyłem — chodźmy. (*Zbliżają się do Izabelki.*) No, teraz komedya skończona — pokaż nam swą śliczną twarzyczkę Izabelko — Julia cię prosi.

IZABELKA (*demaskując się*).

Prawdziwie, pani hrabina mnie nie przestrzegła — tak mam włosy niegładkie...

STANISŁAW.

I takeś dosyć ładna. Julio, przegrałem zakład — wyznaję, żem nie myślał, że tych panów tak łatwo oszukać — to prawda, że swoją rolę po mistrzowsku odegrała — i że ja sam wziąłbym ją był za Maryą, gdybym nie wiedział. (*Daje Julii peca.*) Płacę na salę ochrony — ale druga połowa zakładu, trudniejsza — przegrywający, winien się nie tknąć kolacyi Sobkowicza.

SOBKOWICZ.

To przynajmniej pić możesz, president.

STANISŁAW.

A szlacheckie słowo? — A że tej tantalowej męki nie zniosę, więc uciekam i bądźcie zdrowi. Julio, jutro z nami jesz obiad. (*Odchodzi do nietoperzy.*)

JULIA (*żywo do Sobkowicza*).
Kto są te maski?

SOBKOWICZ.
Wszystkich się pytałem — nikt nie wie — i nawet nie rozumiem.

JULIA (*na stronie*).
Ja rozumiem. (*Do Sobkowicza*). Chodź, przejdźmy się po sali — i pozwalam ci powiedzieć każdemu, żeś dawał rękę hrabinie Julii.

SOBKOWICZ (*podając jej rękę*).
Królowo...

JULIA (*odchodząc na stronie*).
To dobrze, że mam maskę na twarzy, bo mi wargi drżą od złości. — I jeszcze nibyto szlachetnie postąpiła ze mną.

STANISŁAW.
I przysięgam ci Maryo...

PUŁKOWNIK (*do Maryi*).
Bo to widzisz, ta przysięga, którą ci przy ołtarzu złożył, była nic warta — ale teraz w tem miejscu...

MARYA.
Stryju...

PUŁKOWNIK.
Te powtórne śluby na maskaradzie... to dopiero bohaterskie...

MARYA (*żywo*).
Kto mego męża dręczy, ten i mnie...

PUŁKOWNIK.

Otóż ich masz.

STANISŁAW.

Maryo, ja ciebie kocham!

PUŁKOWNIK.

Jeszcze lepiej — No, jedźmy, i herbaty mi dajcie, a jutro... do domu jadę.

STANISŁAW i MARYA.

Nie puścimy.

PUŁKOWNIK.

Tak, jutro nie puścicie — pojutrze, bardzo będziecie radzi, że was zostawię samych — jedźmy. (*Odchodzą.*)

IZABELKA (*u ręki Leona*).

Prawdziwie, że jak się zastanawiam, to rzecz dziwna — podobno, że przepadło kontrolerstwo jeneralne — a nawet i posada zachwiana, jak mówi Kochanowski — ale, jeśli mnie pan Leon pocieszy...

LEON.

Słowo daję, moja kochana Izabelko, że na tej zmianie nic nie tracę. (*Na stronie.*) Jednak, sądzić się już u kresu, i być odsadzonym przez kogo, przez męża. — Słowo daję, że mi to szkodzić może na reputacyi — a więc chodźmy na salę, udam żem był w sekrecie. (*Odchodzą.*)

(*Wchodzą dwa domina czarne w maskach,* KOCHANOWSKI *wsparty na* PAWEŁKU.)

KOCHANOWSKI.

Widzisz Pawełku — to rzecz dziwna, że nas tataj wpuszczono.

PAWEŁEK.

A jakze, prosę pana, kiedym im powiedział fasola.

KOCHANOWSKI.

A co dziwniejsza jeszcze Pawełku — to to — że książę pan, tu zostawił panią hrabinę, a wsiadł do powozu z księżną panią i panem Pułkownikiem.

PAWEŁEK.

I zawołał na stangreta, do pałacu, prosę pana.

KOCHANOWSKI.

To rzecz ważna, Pawełku.

PAWEŁEK.

To zec taka, prosę pana, że się panowanie pani hrabiny skończyło.

KOCHANOWSKI (*tragicznie*).

Jestem skompromitowany Pawełku — boć posadę mam z rąk pani hrabiny — a jak powiada stary książę... ale cóżem to ja mówił Pawełku... wyraźnie głowę tracę... ale, oto — że ty pójdziesz w górę, Pawełku.

PAWEŁEK (*przybiera minę uroczystą i powoli puszczają sobie ręce*).

Tak się spodziewam.

KOCHANOWSKI (*przechodząc powoli w pokorę*).

A ja się spodziewam, Pawełku, że raczysz dać za mną dobre słowo.

PAWEŁEK.

Tak — ale widzis wason — tylko się wason sanuj.

KOCHANOWSKI.

Ej, zmiłuj się panie Pawle.

PAWEŁEK (*bardzo uroczyście*).

Zobacemy.

(*Znowu się rękami zczepiają, ale położenie zmienione, teraz Pawełek oparty na Kochanowskim.*)

Kurtyna zapada.